



plyta CD - teledyski

STREFA CHWAŁY 2003

Przystanek Woodstock

FOO FIGHTERS
AVE LION
NEW DAY
MALEO
PNEUMA
RUAH
OX

24/2003
RUAH

MAGAZYN
MUZYCZNY

KWARTALNIK  14,90 zł
www.ruah.pl w tym VAT 0%

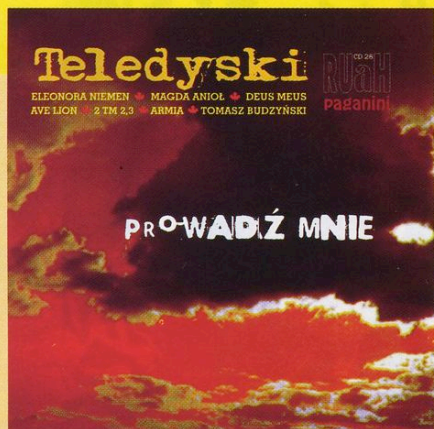


ISSN 1428-5983 INDEX 345385



9 771428 598035

nakład 7500 egz.



Większość utworów prezentowanych na naszym krążku pochodzi z płyt, które ukazały się, bądź ukążą się w najbliższym czasie w sprzedaży

- 1 **TOMASZ BUDZYŃSKI:**
„Aniolo, mój Aniolo”
muzyka i słowa: Tomasz Budzyński
Autor teledysku: Szymon Felkel
- 2 **ELEONORA NIEMEN:**
„Kochać będę”
słowa: Eleonora Niemen
muz.: Eleonora Niemen i Rafał Gorączkowski
Autorami teledysku są:
Marcin Fischer i Rafał Wieczorek
Realizacja: www.prowizorca.com
- 3 **DEUS MEUS:**
„Jahwe”
słowa: Andrzej Bujnowski
muzyka: Lidia Pospieszalska
Autor teledysku: Grzegorz Sadurski
Realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
- 4 **ARKA NOEGO:**
„Nie lękaj się”
muzyka i słowa : Robert Friedrich
Autor teledysku: Grzegorz Sadurski
Realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
- 5 **MAGDA ANIOŁ:**
„Aniolo Stróż”
muzyka i słowa: Adam Szewczyk
Autor teledysku: Grzegorz Sadurski
Realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
- 6 **AVE LION:**
„Guide me”
słowa: Łukasz Musiał
muzyka: AVE LION
Autor teledysku: Jacek Kościuszko
- 7 **2 TM 2,3:**
„Psalm 130”
słowa: Psalm 130
muzyka: Robert Drężek
Autor teledysku: Grzegorz Sadurski
Realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich

w numerze:

- 6 Newsy
- 10 OX
- 14 AVE LION
- 16 Rafał Boniśniak, Viola Brzezińska & NEW DAY
- 20 Boże Ciało 2003 w Rzeszowie
- 22 Strefa Chwały 2003 w Gródku n/Dunajcem
- 25 Maleo na Przystanku Woodstock 2003
- 28 Minimal techno (3) - Marek Horodniczy
- 30 Korespondencja z Wiednia - Patrycja Michońska
- 31 Sarmacja Wniebowzięta (2) - Jacek Kowalski
- 41 Good Religion na Węgrzech
- 44 PNEUMA
- 47 o „Sztuce Sakralnej” - Jakub Żmizdiński
- 48 SHOMER - reaktywacja
- 49 o Uwielbieniu (2) - Piotr Płecha
- 52 **FOO FIGHTERS** SPECJALNIE dla RUaH!
- 54 z **MARCINEM JAKIMOWICZEM** - rozmawia Cezary Sękalski
- 59 Grupa RUaH
- 64 Dzień Papieski 2003
- 68 Z archiwum Y - Anti Babylon System

RUaH numer 24

WYDAWCA / REDAKCJA:

paganini

Małgorzata i Weronika Kotarba
31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,
tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82
e-mail: firma@paganini.com.pl
RUaH w internecie: www.ruah.pl
www.paganini.com.pl

Druk: Drukarnia Kolejowa, Kraków
Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za treść i formę reklam.

Na okładce: Darek Malejonek
Fotografia na okładce: Jan Walczewski

ZESPÓŁ:

Redaktor naczelny: Janusz Kotarba
Redaktor programowy: Andrzej Bujnowski OP
Opracowanie graficzne: Andrzej Bujnowski OP,
Grzegorz Gielert

Sekretariat redakcji: Weronika Kotarba
Skład i tamanie: G2

Korekta: Kinga Chojnacka

Stali współpracownicy: Rafał Boniśniak, Natalia Budzyńska, Jan Bujnowski, Andrzej Cudzych, Andrzej Dziewit, Iwona Flisikowska, Piotr Iwicki, Marcin Jakimowicz, Jacek Kowalski, Antonina Krzysztoń, Michał Kulenty, Darek Malejonek, Beata Menceł, Marcin Oleksy, Marcin Perfuński, Barbara Pycel, Krzysztof Raczyński, Adam Rymarz, Cezary Sękalski, Leszek Tokarski, ks. Grzegorz Ułamek, Grzegorz Wacław, Jan Walczewski, Tomasz Wienke, Monika Zytke, Jakub Żmizdiński

news news news

15 czerwca w klubie Piec 'Art w Krakowie po raz kolejny polscy jazzmani wystąpili w koncercie na rzecz chorego **Andrzeja Cudzicha**. W trwającym ponad sześć godzin muzycznym meetingu udział wzięli m.in. Tomasz Stańko, Marek Balata, Piotr Baron, Adam Czerwiński, Bronek Duży, Krzysztof Dziedzic, Wojciech Groborz, Tomasz Grzegorski, Paweł Kaczmarczyk, Tomasz Kudyk, Piotr Kułakowski, Tomasz Kupiec, Joachim Mencil, Janusz Muniak, Bartłomiej i Marcin Oleś, Adam Piereńczyk, Jan Pilch, Maciej Sikala, Jorgos Skolias, Marek Stryszowski, Marcin Ślusarczyk, Jarek Śmietana, Karol White, Piotr Wyleżół oraz Łukasz Żyta. Ponadto odbyła się licytacja cennych płyt, zdjęć i unikalnych plakatów z autografami muzyków jazzowych.



Good Religion

Pod koniec czerwca zespół **Good Religion** zagrał kilka koncertów na Węgrzech, w tym podczas festiwalu „This is the Day! & Mission Expo” w Budapeszcie (patrz str.41), który jest jedną z większych imprez chrześcijańskich w Europie. Warto nadmienić, iż był to pierwszy występ polskiej grupy chrześcijańskiej na tym Festiwalu.

Pod hasłem „Jesteście światłem świata” odbyło się X Jubileuszowe Spotkanie Młodych w Wołczyńce (14-19 lipca). Na festiwalowej scenie wystąpili: Magda Anioł, New Life 'M, Chili My, Saruel, 40 Synów i 30 Wnułów jeżdżących na 70 ośletach, Jacek Dewoździ i Rewolucja oraz duet Jorgos Skolias & Bronek Duży. Odbyły się również spotkania z Jerzym Stuhrem, ks. Piotrem Pawlukiewiczem, Majką Dekert, o. Jackiem Totkowiczem i braćmi misjonarzami z Afryki. Natomiast w dniach 6-9 sierpnia trwał X Festiwal Piosenki Religijnej „Św. Góra” w Gostyniu. Wśród artystów zaproszonych na koncerty wieczorne X Festiwalu znaleźli się: Ewa Uryga i Przemyski Chór Gospel, 3miel, Robert Kasprzycki z zespołem oraz Natalia Kukulska.

Omega to nowe polskie radio internetowe, nadające 24 godziny na dobę i przez 7 dni w tygodniu wyłącznie muzykę chrześcijańską. Jego założycielem jest **Jacek Dudzic**, dyrektor wspólnoty misyjnej ICPE Polska. Radio działa legalnie, tzn. opłaca wszystkie należne tantiemy za emitowanie utworów, a swoje programy nadaje za pośrednictwem serwerów amerykańskiej firmy Live 365. Dwa razy dziennie emitowana jest audycja „Worship Café” (godz. 8.00-9.00 i 20.00-21.00), której czas wypełniają wyłącznie pieśni uwielbienia z przeznaczeniem do modlitwy i refleksji. W godzinach od 13.00 do 15.00 radio nadaje w języku angielskim. „O sile radia internetowego zawsze będzie stanowiła muzyka” – mówi Jacek Dudzic. „Ludzie słuchają radia w Internecie głównie podczas pracy i chcą mieć to, co najlepsze na rynku muzycznym, również chrześcijańskim. To dlatego gramy z najnowszych chrześcijańskich płyt i nie boimy się rozbieżnych na pierwszy rzut oka trendów muzycznych”. Strona Radia Omega: www.omega.icpe.pl



„Puma & Friends” to najnowszy projekt wokalistki **Julity Starbały**, laureatki programu „Szansa na Sukces”, związanej przez wiele lat z Ruchem Światło-Życie na warszawskim Ursynowie. Debiutancka płyta zatytułowana „W cieniu Twoich ust”, przynosi porcję muzyki inspirowanej amerykańskim funkiem, soulem i r'n'b. Stroną aranżacyjną albumu zajęli się Mirek Stępień (Mate.O, Budka Suflera), wokalnie Pumę wsparli: Patrycja Gola, Beata Bednarz i Adam Krylik (Chili My). W wakacje artystka zaprezentowała nowe utwory podczas Tygodnia Ewangelizacyjnego w Dziegielowie oraz na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Gospel w Osieku.



Tegoroczna edycja Song of Songs już za nami. Aby w jesienne wieczory móc powspominać gorącą atmosferę toruńskiego festiwalu warto odwiedzić stronę internetową fotografika **Krzysztofa Raczyńskiego**: www.photopage.kdm.pl/sos/2003, na której można obejrzeć autorskie zdjęcia zrobione podczas koncertów.

Prawdopodobnie już w październiku ks. **Andrzej Daniewicz**, absolwent słynnego Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej w Katowicach, wejdzie do studia wraz z nowym zespołem, aby zarejestrować materiał na trzecią autorską płytę (artysta ma już na koncie dwa krążki: „Z tamtej strony drzwi” i „Trasa wokół słońca”). Jasnym punktem tego projektu jest młoda wokalistka **Gosia Bieńkowska**, laureatka programu „Droga do gwiazd”, współpracująca na co dzień z chórem Trzecia Godzina Dnia (TGD). Wydawcą krążka będzie Studio DR z Wisły.



Grzegorz Gluch (Gospel Rain)

foto: J.B.

Nowa ekumeniczna inicjatywa o nazwie "Wieczór Chwały" ruszyła w Lublinie. Jej celem jest uwielbienie Jezusa Chrystusa poprzez śpiew i muzykę. To również czas „muzycznej modlitwy” o przebudzenie i odnowę miasta i kraju. Zespół tworzą lubelscy muzycy chrześcijańscy z katolickich i protestanckich wspólnot Odnowy w Duchu Świętym, wśród których znaleźli się członkowie formacji **Gospel Rain**. Spotkania odbywają się raz na dwa miesiące w sali koncertowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej w Lublinie przy ulicy Muzycznej 10. Najbliższy „Wieczór Chwały” zapowiedziano na 21 września.

Latem ukazały się nowe płyty **Maleo Reggae Rockers** (album koncertowy z udziałem Michaela Blacka), **Frühstück**, **40 Synów** i **30 Wnuków** jeżdżących na 70 ośłętach, **Joanny Rzyczniok**, **Jacka Kowalskiego** oraz składanka **SOS 2003**. Nadchodzący kwartał będzie obfitował w nowe wydawnictwa. Na jesień zapowiedziane są płyty m.in. **Tomka Kamińskiego**, **Armii**, **2 Tm 2,3**, **Pneumy**, **Violi Brzezińskiej** i zespołu **New Day** oraz grup **3siostry**, **Pytki Doś**. Pracę nad nowymi krążkami sygnalizują ponadto **Saruel**, **3miel** i **TGD**.



Leaf

foto: K.F.

W sierpniu „Studio Mix-Dźwięku” wydało singla z dwoma piosenkami wrocławskiej formacji **Leaf**. Piosenki **Tomka Bednarka** wykonywane dotąd najczęściej po angielsku, tym razem śpiewane są po polsku („Jeśli tylko chcesz” i „Wystarczy”) i ich autor zapowiada, że na przygotowywanej pierwszej płycie grupy również dominować będzie ten język. Muzyka **Leaf** powstaje pod dużym wpływem brytyjskich grup typu **Coldplay**, ma jednak wyraźny, sobie właściwy charakter. Płyta zapowiadana jest na 10 października.

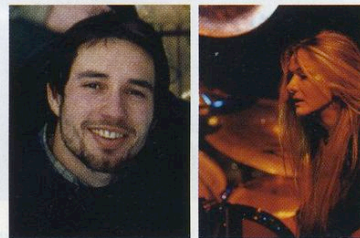
Zespół **Triquetra** nagrał płytę „Draka!” w białoruskiej wersji językowej. Tłumaczenia tekstów na krążek o znamienym tytule „Skandał!” dokonał **Vitali Voranau**. W lipcu „synowie grzmotu” wystąpili na Festiwalu Rocka Młodej Białorusi „Basowiszczu 2003” w Gródku, gdzie zdobyli nagrodę Wójta Gminy. Grupa zagrała również na głównej scenie tegorocznej edycji Przystanku Woodstock w Żarach.

Od dawna niedostępna na polskim rynku przepiękna, nastrojowa płyta duetu **Brad Terry** (klarnet, gwiazd) & **Joachim Mencil** (fortepian), zatytułowana „All about Spring” doczekała się wznowienia przez **Art of Life Records** w USA (www.artofliferecords.com.allaboutspring).



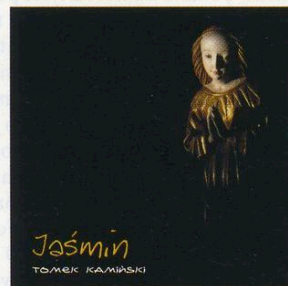
„Wszystko o wiosnie” to przede wszystkim klasyczne ballady, które emanują pokojem i budzą wzruszenie, a muzyka ma wymiar kontemplacyjny. **Brad Terry**, legendarny klarnecista, słynący też ze szczególnej umiejętności improwizowania gwiazdem, uczeń **Benny’ego Goodmana**, tak mówi o tej płycie: „Jazz może być ładny, nie musi wcale walić cię po głowie. Może być delikatny i subtelny. Nie musisz wcale grać wielu nut - tylko kilka odpowiednich. Zaś **Joachimowi** jakoś zawsze udaje się znaleźć właściwą rzecz we właściwym czasie. Nagranie to nie jest pokazem zdolności technicznych; myślę o nim raczej, jako o pewnego rodzaju muzycznym przesłaniu...” W naszym kraju płytę zdobyć można za pośrednictwem firmy „Paganini”.

15 sierpnia, w Poznaniu, na ślubnym kobiercu stanęli w kościele **Beata Kozak**, perkusistka **2 Tm 2,3** i **Armii**, i gitarzysta zespołu **3Siostry**, **Marcin Polak**. Redakcja **RUaH** życzy młodej parze błogosławieństwa Bożego i dużo dobrej, natchnionej przez Ducha Świętego muzyki w przyszłości!



Współpracujący z naszym kwaternikiem krakowianin, **Adam Rymarz**, zdobył pierwsze miejsce w konkursie piosenki, podczas tegorocznego **XI Ogólnopolskiego Festiwalu „Pokój i Dobro”**, który zakończył się w Zielonej Górze w niedzielę 24 sierpnia. Wokalista zaprasza do odwiedzenia swojej strony www.adamrymarz.kdm.pl gdzie m.in. można obejrzeć zdjęcia z Festiwalu.

Tomek Kamiński ukończył pracę nad swoją trzecią płytą zatytułowaną „Jaśmin”. Będzie to 10 nowych piosenek jego autorstwa, mówiących o miłości do najbliższych, a także do **Matki Bożej Skępskiej**, która nie tylko rozciąga opiekę nad rodziną **Tomka**, ale ma wyraźny wpływ na jego twórczość. Utwory zaaranżowane zostały przez znakomitych muzyków jazzowych tworzących jego nowy zespół. **Tomkowi**, który wykonuje wszystkie piosenki i gra na skrzypcach, w nagraniu towarzyszyli: **Jacek Pelc** – perkusja i śpiew, **Grzegorz Nadolny** – gitara basowa, **Piotr Olszewski** – gitary, śpiew. Materiał zarejestrowano w **Studio BUMS** w Bydgoszczy. Producentem i wydawcą płyty, która niebawem ukaże się w sprzedaży, jest **Tomek Kamiński**.



Newsy: AR, MK, AB

SONG OF SONGS 20 0 3

dla kogo ten Festiwal?

Na Festiwalu **Song of Songs** wszystko jest „naj”. To największa tego typu impreza w Polsce gromadząca na największej scenie najlepszych artystów chrześcijan, których przy najlepszym nagłośnieniu słucha najliczniejsza publiczność. Przy tak wywindowanym poziomie ludzie stojący pod sceną oczekują czegoś naprawdę wyjątkowego. Czy to otrzymują?

Choć od kilku lat organizatorzy S.O.S oferują nam świetnie przygotowany i do tego darmowy Festiwal, to jednak można odnieść wrażenie, że wciąż dostajemy to samo, tylko nieco inaczej podane danie. Artyści pojawiający się na scenie to w pewnej części stali bywalcy toruńskiej imprezy, choć prezentujący zwykle nowy materiał. Może w tym roku rzeczywiście nie było już dość mocno wyeksploatowanych Mietka Szczecińskiego, Tomka Kamińskiego czy 2 Tm 2,3, tym niemniej poczucie, że „gdzieś tu już widziałem” pozostało. Inna sprawa to ramówka. Trudno powiedzieć, jakie względy są brane pod uwagę przy układaniu programu koncertów, najwyraźniej jednak organizatorzy kierują się wymogami stawianymi przez Telewizję. Festiwalowy „prime time” (mniej więcej godziny 18.00 - 22.00, kiedy to TVP najczęściej uruchamia kamery) wypełniają najczęściej muzycy popowi, grający słodko, ładnie, zwykle jednak bez polotu, a już napewno nie prezentujący niczego oryginalnego. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich, jak np. Arki Noego, która pokazała nowe, drapieżniejsze oblicze, czy mocnego Anastasis, nazywanego przez niektórych polskim P.O.D.

To, co świeże i co faktycznie rusza publiczność, wystarczy obiektywnie popatrzeć na to, co się dzieje pod sceną, spychane jest albo na godz. 17.00, gdy jeszcze przypieka

słońce, lub w późne godziny nocne, gdy na polu boju zostają najwytrwalsi. Przez to znakomite występy młodych artystów, jak Ave Lion, Etny czy Mate.O, nie dość, że nie załapują się na telewizyjną transmisję, to jeszcze umykają tym, którzy na Festiwal przychodzą „pod wieczór, na chwilę”. Wielka szkoda, że interesujący multimedialny koncert modlitewny, jaki poprowadził Mate.O, nie został choćby w części zarejestrowany.

To, co oglądamy tydzień później w TVP 2, jest dziwnym tworem montażystów, którzy z i tak przeciętnego repertuaru - nagranych między godz. 18.00 a 22.00 - wybierają raczej te słabsze piosenki. W efekcie szumnie zapowiadana „transmisja z festiwalu Song of Songs” w niewielkim stopniu odzwierciedla to, co faktycznie na Festiwalu się dzieje. A przynajmniej to, co rzeczywiście najbardziej się podoba.

Inna sprawa, że od kiedy na S.O.S panoszy się Telewizja, Festiwal nie może odnaleźć swojej tożsamości. Bo czym on właściwie jest? Plenerową wielką imprezą dla tysięcy osób przyjeżdżających do Torunia z całej Polski, gdzie przy okazji pojawiają się kamery TVP, czy też może telewizyjnym widowiskiem, w którym te tysiące stanowią dobre tło dla przebiegów przy ostatecznym montażu? Zdaje się, że

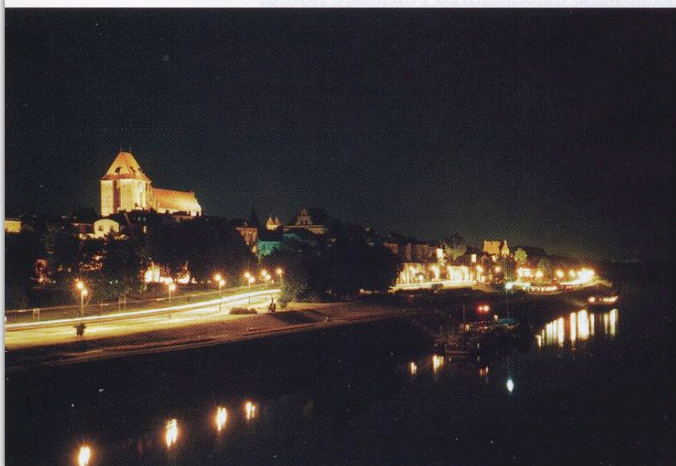
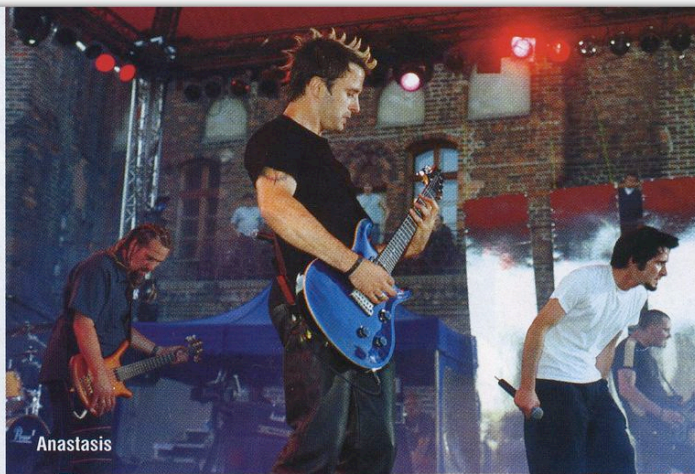
organizatorzy chcieli pogodzić oba te cele. Przynosi to jednak coraz gorszy skutek. Od kilku lat transmisje z S.O.S są raczej słabe, a oglądanie Festiwalu na własne oczy sprawia coraz mniejszą przyjemność. Bo co to za frajda kolejny raz słuchać tego samego utworu, który z jakichś przyczyn został źle nagrany, więc trzeba go zaśpiewać jeszcze raz? Albo ile razy można „witać widzów przed telewizorami”, co uporzycywie robili prowadzący, knocząc kolejne podejścia?

I tu dotykamy kolejnego problemu. W ciągu 6-letniej historii S.O.S prowadziło ok. 10 osób. Niestety, większość z nich była co najwyżej mierna. Z pewnym zażenowaniem patrzyłem na księży, którzy zapychając czasowe dziury pomiędzy montowaniem się na scenie kolejnych zespołów wymyślali coraz to nowe „zabawy z pokazywaniem”. Może odnoszą one dobry skutek na oazie Dzieci Bożych. Jednak na festiwalowej scenie przed tysiącami młodych ludzi, wśród których dzieci było może kilkanaścioro, wykrzykiwanie piosenki „Nie ma innego Boga” (o skądinąd słusznym przesłaniu) raczej odrzucało, niż budowało dobry klimat. Inna sprawa to obowiązkowa obecność na scenie pań z Telewizji. Rozumiem, że jest to jeden z warunków stawianych przez TVP. Słuchanie jednak wyuczonej kilkudzaniowej formułki opowiadającej o nawróceniu członków jakiegoś zespołu w ustach pani prowadzącej na co dzień gałę piosenki biesiadnej, brzmi co najmniej mało przekonywująco. Rozumiem, że nie każdy ma osobowość Janka Pospieszalskiego czy Jacka Dewódzkiego, ale przecież wśród prezenterek TVP znajdują się również osoby kompetentne do poprowadzenia S.O.S. Wystarczy wspomnieć znakomicie przyjęte na Festiwalu Grażynę Torbicką czy Monikę Richardson, których publiczność czasami nie chciała puścić ze sceny. Skoro panie z Telewizji być muszą, to może przy kolejnych edycjach warto wrócić do wspomnianych nazwisk?

Być może czytając ten tekst ci, którzy na S.O.S jeszcze nie byli, utwierdzą się w przekonaniu, że nie warto tam jechać. Nic bardziej błędnego! Słuchać muzyki tworzonej przez chrześcijan i nie być na S.O.S, to tak, jak być muzułmaninem i nigdy w życiu nie pielgrzymować do Mekki. Tak się po prostu nie da!

Festiwal S.O.S to przede wszystkim muzyka, a ta co roku jest znakomita, każdy napewno znajdzie tutaj coś dla siebie, choć nie wszystko będzie się podobać. Festiwal ma już 6 lat i od samego początku stoi na wysokim poziomie. Jednak dzisiaj zorganizowanie dobrej imprezy to za mało, takich festiwali jest w Polsce setki. Dzisiaj potrzeba imprez z charakterem, o których po powrocie do domu będzie się opowiadać miesiącami. O tegorocznym S.O.S nie ma za bardzo co opowiadać. Ot, był. I tyle. ■

Marcin Perfuński
zdjęcia: Krzysztof Raczynski



POST SCRIPTUM

Marcinie, dziękuję Ci za ten tekst, przepelniony szczerą troską o nasz Festiwal. W imieniu wszystkich, którzy współtworzą to dzieło, proszę o dyskusję i rozeznanie, jaki ma być kolejny Song of Songs, jeśli Pan Bóg pozwoli go po raz kolejny zorganizować. A wszystkich, którzy chcieliby – podobnie jak piszący te słowa – aby relacja telewizyjna z Festiwalu była obszerniejsza i emitowana w lepszym czasie, zachęcam, aby pisali do Telewizji Polskiej w tej sprawie: dzial.kontaktow.z.widzami@tvp.pl

Wojciech Zagula
Dyrektor Festiwalu



Krzysztof Raczyński

Grupa **OX**

na Festiwal S.O.S w Toruniu przyjeżdżać nie musiała, bo jej muzycy po prostu w nim mieszkają. W tym roku zostali zaproszeni przez Wojtka Zagułę na dużą scenę. Zabrali ze sobą tylko kilka kabli i instrumenty. Swoje płyty „demo”, „wyprodukowane” na komputerze „w domu”, w liczbie 6 egzemplarzy, przywieźli samochodem. Wszystkie zniknęły ze stoiska **pałanini** chwilę po ich koncercie, kiedy ludzie rzucili się by je kupować i zabrać ze sobą jako trofeum z imprezy. - *Gdzie można dostać płyty Ox?* – pytali się uczestnicy Festiwalu przez cały pozostały czas jego trwania. Następnego dnia po koncercie spotkaliśmy się z Danielem i Piotrem, muzykami Ox, w kawiarni w ruinach zamku krzyżackiego, niedaleko sceny festiwalowej.

Z muzykami grupy Ox rozmawiają:

[o. Andrzej Bujnowski OP](#) i [Agnieszka Trzeciakiewicz, dziennikarka Polskiego Radia.](#)

Andrzej Bujnowski OP: Od jak dawna gracie?

Daniel Dębniak: Trzy i pół roku, mniej więcej.

AB: Ile osób liczy zespół?

DD: Kiedyś było nas pięciu, teraz zostało czterech: Paweł Nowak (Pablik), Piotr Nowak (Hoody), Bartek Masłowski (DJ Bartas) i ja – czyli Daniel Dębniak.

AB: Jak się w ogóle spotkaliście i podjęliście decyzję, że warto grać?

DD: To wszystko postępowo ewoluowało. Każdy z nas gdzieś tam grał, oprócz Bartka. Byliśmy w jednej społeczności chrześcijańskiej, więc się ogólnie znaliśmy. Po jakimś czasie, kiedy nic nie wychodziło z pojedynczymi projektami, stwierdziliśmy, że koniec. Zaczynamy grać dla Boga. No i pojawił się Bartek. On kompletnie nie miał ani poczucia rytmu, ani nic (śmiej), i został kompletnie stworzony na próbach,

tak że muzycznie jesteśmy beznadziejni (śmiej).

AB, Agnieszka Trzeciakiewicz: (również śmiej) Nie bądźcie tacy skromni!

AB: Jak powstają wasze piosenki?

DD: Zawsze jest najpierw jakieś ziarenko, czyli jakiś tam pomysł, tekst, a później trzymiesięczne rodzenie na próbach. Często kawałek zmieniany jest pięćdziesiąt razy, pomysłów jest dwieście, ale mamy jedną zasadę: nie wypuścimy numeru, który nie

powala na nogi nas samych, inaczej nie obronimy go przed publicznością.

AT: Kto pisze teksty, a w zasadzie te „krótkie myśli”?

DD: Generalnie - ja, albo Hoody. Czasami Paweł, perkusista, coś rzuca, że chciałby, aby kawałek był o tym i o tym. Kiedy już powstanie cała muzyka, wplątamy w nią tekst i obrabiamy go.

AT: Ważniejszy dla was jest tekst czy muzyka, co jest głównym środkiem przekazu?

DD: Tekst właściwie od początku nie ulega zmianie. Muzyka jest dla nas tylko podkładem, muzyka otwiera duszę, a tekst jest najważniejszy.

AB: Czy wasze kawałki można nazwać jednak piosenkami? To bardziej wykrzykiwane strzępy zdań albo pytania zadawane wprost słuchaczowi. Próbujecie wejść z nim w bezpośredni dialog. Pierwszy utwór jaki graliście wczoraj, a właściwie wykrzyczane tylko dwa słowa: „NIE ŚPIJCIE, NIE!”, od razu postawił wszystkich pod ścianą... Przyznam, że dla mnie wasz występ był wczoraj głównym wydarzeniem artystycznym Festiwalu. Muzyka, którą zagraliście, zabrzmiała niesłychanie świeżo. Czuje się w niej prawdziwą oryginalność i pasję... Żadna muzyka dziś nie powstaje jednak w zupełnej próżni. Powiedźcie, czy jest ktoś, kto jest waszym muzycznym idolem?

DD: (śmiech!) No oczywiście, że tak! Jeśli chodzi o zachowanie, to dla nas źródłem jest przede wszystkim



Daniel Dębniak

foto: Marta i Rafał Pauchnielski



Piotr Nowak

foto: Krzysztof Raczyński

NLM (New Life Music – przyp.red.). Ogólnie: to, co robią na scenie i poza sceną, czyli że są więcej niż kapelą. To jest dla nas wzór do naśladowania. Jeśli chodzi o muzykę, no..., każdy z nas krąży wokół ciężarowej muzyki ze Stanów czy z Polski. Z takich chrześcijańskich kapel ze Stanów będzie tu np. Living Sacrifice, Embodiment, Project 86, z kapel niechrześcijańskich – oczywiście: Korn, Sepultura, Prodigy, ale słuchamy też na przykład Sugar Babes, Massive Attack. Duchowo, jesteśmy związani z nurtem chrześcijańskim w Stanach.

AB: Ciekawie prezentowaliście się na scenie. Twój brat stał za czarną, dość mocno sformatowaną skrzynią, z której jak czarodziej wydobywał tajemnicze dźwięki...

Piotr Nowak: (śmiech!) To nie mój brat, to Bartek! Chodzi oczywiście o sampler! Używamy go, żeby wykorzystać różnego rodzaju motywy dźwiękowe, które podczas grania wzbogacają brzmienie. Głównym autorem większości tych rzeczy jest Daniel. To jest super sprawa. Dzięki samplerowi to, co gramy jest w znacznym stopniu świeże, bo w Polsce nie jest jeszcze tak popularne...

AB: Kto podsunął wam pomysł żeby taką „maszynę” wykorzystać?

PN: Samo życie! Sytuacja wyglądała tak, że kiedy postanowiliśmy grać, wszystko rozbijało się o to, że byli muzycy, a nie byto wokalisty. Nikt z

nas właściwie do dzisiaj nie potrafi śpiewać, jak ktoś posłucha uważnie, to usłyszy. Wpadliśmy więc na pomysł, że kupimy sobie jakieś urządzenie. Jeszcze nie wiedzieliśmy, czy to będzie sampler, czy sequencer... Wokół tego było mnóstwo szalu i ktoś podpowiedział nam, żeby kupić sampler. Na początku postanowiliśmy nagrywać na niego nasze głosy, aby w czasie koncertu je odtwarzać. Był to dobry pomysł, ale na krótką metę, bo wkrótce okazało się, że dużo lepiej jest jednak udzielać się wokalnie na żywo. To podkręca przede wszystkim samą muzykę, więc zaczęliśmy stosować sampler w zupełnie inny sposób.

AB: Momentami przypominacie Pere Ubu i The Stranglers, grupy nowofalowe z przełomu lat 70. i 80. Ci ostatni brzmieni mrocznie dzięki skompresowanemu basowi i archaicznemu polymugowi z początku lat 70. Wasze brzmienie i charakterystyczny towarzyszący mu „duch” powstaje jednak przy zastosowaniu innych „środków”. Skąd biorą się wasze sample? Tworzycie je sami, czy kupujecie CD-romy z gotowymi efektami?

DD: Sprawa jest dosyć prosta. Raz, jest Internet i tam ludzie się nimi wymieniają. Dwa, często nagrywamy swój wokół, coś swojego i przerabiamy to w jakiś „drastyczny” sposób. Na przykład trzaśnięcie drzwiami obniżone o ileś tam tonów, to jest potężny huk, albo ryk lwa obniżony ileś tonów, to dźwięk statku kosmicznego z „Alien” – 8 pasażer Nostromo”. Pomysłów jest dużo... Krzyk kobiety czy wypadek samochodowy ciężko jest odtworzyć na scenie instrumentem, a sampler to idealna sprawa. W tym momencie muzyka może stać się pełniejsza. Nie samo ciężkie gitarowe

brzmienie! Właściwie tylko niebo jest w tym momencie limitem, bo można wszystko nagrać i wszystko odtworzyć. A sprzęt ten nie kosztuje nas dużo, bo jest to jeden ze słabszych komputerów, jakie znaleźliśmy w piwnicy. Chodzi bardziej o pomysły...

AB: Później uruchamiacie te nagrania na scenie w trakcie wykonywanej muzyki. W jednym z kawałków zabrzmiały fragmenty ścieżki dźwiękowej z jakiegoś filmu o ukrzyżowaniu Jezusa...

DD: Często słucham chrześcijańskiej stacji TBN, na której lecą takie właśnie filmy, i gdy zobaczyłem taki fragment, po prostu mnie ścięło... Musiałem to nagrać! Nie wiem czy autor nie pogrywa się, że to wykorzystałem. Kiedyś się z nim rozliczymy! (śmiech). Ponieważ S.O.S jest tak krótki, bo musi zagrać wiele kapel, nie puszczaamy tych „przerwywników” więcej, a mamy ich bardzo dużo. Są tam śpiewy gruzińskie, jest wspomniany wypadek samochodowy z opisem zdarzenia, są jakieś pomruki... W przyszłości będzie tego jeszcze więcej. I wszystko musi być drastyczne! (śmiech).

AB: Efekty dźwiękowe włączone w koncert nie są jakimś nowym pomysłem, ale ciekawą rzeczą jest twórcze ich wykorzystanie. U was brzmi to intrygująco i muszę przyznać, że dzięki samplerom i gitarom skutecznie stworzyliście klimat dobrego filmowego horroru... Przez sprowokowanie uczucia strachu, jak się okazuje, też można, i to mocno, dotrzeć do umysłu i serca słuchacza!

DD: Życie nas nie rozpieszcza. Nasza muzyka to nie opowiadanie ludziom, że jest fajnie i „idziemy na Syjon”, bla bla bla... To stwierdzenie właściwie do niczego, tak naprawdę, nie prowadzi. Tworzy może fajną atmosferę, a tymczasem ludzie giną, jest źle. Gdy w człowieku budzi się Boży strach,

zaczyna myśleć o tym, co naprawdę jest ważne, o śmierci... A śmierć jest czymś przerażającym. No więc staramy się w ludziach wywołać takie uczucie, i dzięki Bogu, bo to On ma tutaj więcej do powiedzenia niż my. Ciekawostka: kiedyś graliśmy w takim fajnym klubie w Warszawie, gdzie akustykiem był satanista, bardzo inteligentny człowiek, prawdziwy wyznawca tego, w co wierzy. Podszedł do nas po koncercie, a wiedział, że jesteśmy chrześcijanami, i powiedział, że ta muzyka go przeraża i czuł ciarki. Przyznał, że był, mówiąc potocznie, rozdygotany. I o to chodzi! Nie żeby ludzi przerażać dla samego przerażenia, ale by pokazać, że nie wszystko jest takie fajne. Gramy po to, by ludziom powiedzieć, że życie jest krótkie i trzeba coś z nim zrobić!

PN: Założyliśmy sobie, że naszą grupą „docelową” są ludzie, którzy nie znają Boga. Zespołów, które śpiewają i opowiadają o miłości Boga i różnych aspektach życia z Bogiem jest mnóstwo i ci, którzy w Boga uwierzyli, mogą w ich muzyce odnaleźć swoje upodobania. Dla nas istotniejsi są ci, którzy Boga nie znają.

AB: Skąd wziął się wspomniany pomysł „zacytowania” sceny sądu Piłata nad Jezusem, kiedy tłum krzyczy – „Wypuść nam Barabasa!” w jednej z „piosenek”? Od czasu „Jesus Christ Superstar” dawno podobnego nie spotkałem.

DD: Z tego, że dzień w dzień staram się żyć z Bogiem, czytam Jego słowo i Biblia jest dla mnie najbardziej dynamiczną księżką, jaką znam. Naprawdę! Kiedy się czyta o tym, co robił Dawid, co robił Jezus, w głowie dzieje się coś niesamowitego i właściwie to można całą symfonię o tym napisać!

AB: Wasza muzyka jest apelem



skierowanym do człowieka tkwiącego w letargu, alarmem mającym zbudzić ze snu. Czulem jak słuchaczy przed sceną ogarniał paraliz i dreszcze. Ta muzyka bardzo mocno oddziałuje na zmysły i psychikę. Dlaczego zależy wam na tak jej mocnej formie?

DD: Wszyscy w zespole są ludźmi nowo nawróconymi, co oznacza, że żyjemy z Bogiem i chcemy opowiedzieć o tym ludziom. Nie chcemy grać dla samego grania, gdybyśmy mieli grać dla siebie, to przestalibyśmy to robić! Każdy z nas przeżył dzień, w którym był przerażony tym, że umrze i lękiem przed tym co się będzie z nim później działo. Każdy postanowił przyjść do Boga,. Dlatego chcemy o tym mówić i wydaje mi się, że warto.

AB: Strach przed karą, przed śmiercią wieczną, może być początkiem jakiejś drogi do Boga. Czasem od tego zaczyna się w człowieku zwrot ku Niemu i odrodzenie duchowe. W spotkaniu z Bogiem nie można jednak poprzestać na lęku...

PN: W moim przypadku nie było może strachu, ale poczucie jakiegoś beznadziejnego życia. Dużo imprezowałem. Budziłem się rano sfrustrowany po imprezie i wciąż nic się we mnie nie zmieniało. Z imprezy na imprezę pogrążałem się w pustkę i do niczego to nie prowadziło. Kiedyś stwierdziłem po prostu, że to jest kompletnie bez sensu. Dzisiaj naprawdę cieszę się, że był taki dzień w moim życiu, że Bóg się o mnie upomniał. To nie był jednak koniec, później trzeba było zwrócić się do Niego, bez tego niczego nie ma. Wielu ludzi mówi, że powinno szukać i na tym poprzestaje. Gramy nawet taki numer – „Jeszcze nie teraz, jeszcze nie czas”.

AB: Potem przychodzi moment odkrywania czym naprawdę jest Miłość Boża...

AT: Gracie dobrą muzykę, ale nie chcecie być popularni. Czy rzeczywiście trudno wam będzie przebić się na wielkie sceny? Mam wrażenie, że chcecie ewangelizować głównie małe grupki na małych koncertach...

DD: Tak, dokładnie! Naszym celem jest bardziej dotrzeć do ludzi, a nie zarabiać. Co musimy robić? Jak najwięcej grać i rozpowszechniać naszą muzykę, nawet gdybyśmy mieli ją rozdawać, co często robimy. Gdybyśmy podpisali kontrakt, odtąd mamy bardzo często drogą trasę biletowaną i nasze płyty po 50 zł leżą w EMPIK-ach pod ścianą. Gdybyśmy więc mieli wydać formalnie płytę, to nie chcemy, bo wtedy będziemy grać mniej koncertów i dotrzemy do mniejszej ilości ludzi. Nie jesteśmy zainteresowani karierą w sensie potocznym.

AT: Czy to znaczy, że w tej chwili gracie bardzo dużo koncertów i macie sporą publiczność?

DD: Dzięki Bogu, tak! Ostatnio mieliśmy taki czas, że właściwie co weekend gdzieś graliśmy, bo okazuje się, że w Polsce jest popyt na małe koncerty klubowe, na których można pobyć z publicznością, z innymi ludźmi, i prawie zna się ich z imienia. Są tacy, co chcą porozmawiać po koncercie, i o to chodzi!

AT: Boicie się nadmiaru popularności, ale mediom też trudno kreować taką muzykę i propagować ją w szerszej skali, jeżeli nie ma współpracy z drugiej strony, jeżeli zespołowi „nie zależy”. Bo trudno nam opierać się ciągle na najbardziej znanych zespołach, to zaczyna być nudne. Brak czasem rzeczy świeżych, nowych, które

potwierdzałyby wiarygodność całego zjawiska. Słuchaczowi trudno uwierzyć, że oprócz najpopularniejszych zespołów, ktoś jeszcze gra taka muzykę, skoro nie możemy jego twórczości zaprezentować w mediach.

AB: To prawda, mentalność współczesnego człowieka jest taka, że szuka wciąż czegoś nowego. Półki w sklepach z płytami są pełne „towaru” i gdy się go widzi, człowiek czuje, że jeszcze tyle rzeczy chciałby usłyszeć. Czy rzeczywiście warto „chować się” przed szerszą publiką?

DD: Jeśli za jakiś czas ktoś zacznie robić większy szum wokół nas, a już coś się zaczyna dziać, to wtedy wyjdziemy z podziemi.

AB: W sumie – oficjalna wasza płyta mogłaby zaistnieć na rynku. Pojawia się jednak znów problem pieniędzy...

PN: Jesteśmy otwarci na wszystko co nam się będzie wydawać za dobre dla sprawy jaką robimy. Jeżeli Bóg da, że się pieniądze znajdą, to jak najbardziej. Z drugiej strony, nagrać płytę, to jest dopiero półmetek. To wszystko jest bardzo trudne. Duża scena to przyjemność, a gra na małej scenie, kiedy potem możemy porozmawiać z ludźmi też jest cenna. Wszystko będzie się powoli zmieniać. Pamiętam gdzie byliśmy rok temu... Naprawdę daleko... i to się cały czas posuwa do przodu.

DD: Jesteśmy trochę przytłoczeni rzeczywistością. Jeśli ja miałem problemy, żeby kupić struny, to co dopiero mówić o dwudziestu godzinach w studio? To kompletnie poza naszym zasięgiem! Ale Bóg pokazuje, że jeśli takie pacholki jak my mogą grać na dużych scenach, to znaczy, że wszystko jest możliwe!

5004-20 11

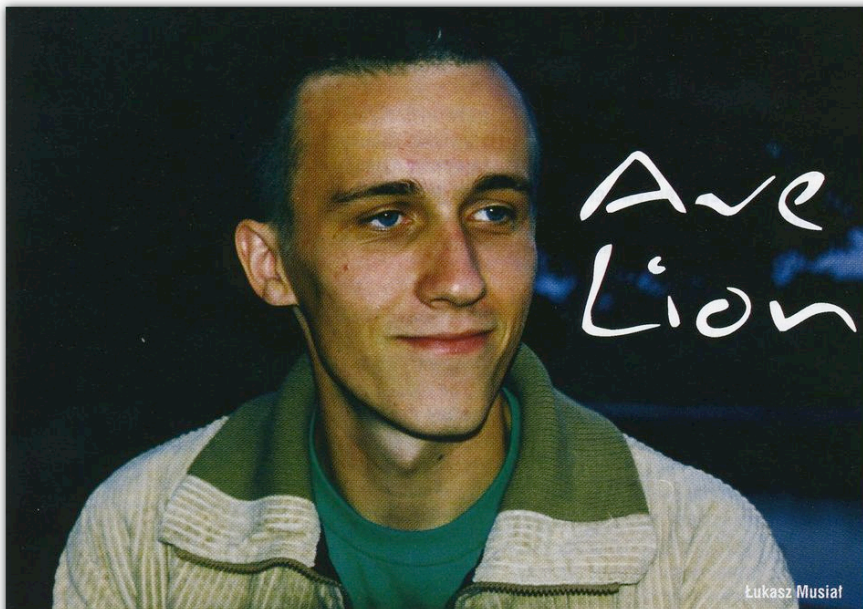
6

AGFA VISTA 200

7

AG





Lukasz Musial

Bóg kocha każdego człowieka

Takimi słowami określa przesłanie zespołu jego wokalista – Lukasz Musial.

Zespół Ave Lion powstał w 1996 roku. Od tamtego czasu kilkakrotnie zmieniał swój skład, zawieszał i wznawiał działalność, nie zdradził jednak muzyki, którą od początku było i jest reggae.

Przez większą część swego istnienia grupa związana była z Łodzią, obecnie prawie wszyscy jej muzycy mieszkają w Toruniu, tam też regularnie spotykają się na próbach. Zespół koncertuje na imprezach klubowych, m.in. w łódzkim „Forum Fabricum” (z Habakukiem), w warszawskim „Paragrafie 51” (z Tumbao i Paraliż Band), toruńskiej „Od Nowie” na „Przedbiegach Afrykańskich”, oraz na plenerowych, takich, jak: toruńskie Juwenalia, Festiwal Kerygmat, Festiwal Rockowy w Węgorzewie, Slot Art Festiwal w Lubiążu, Ost-Rock-Reggae Festiwal w Ostródzie, Reegge Czad Festiwal w Cieszyńcu.

W kwietniu i maju 2002 roku Ave Lion nagrał demo z pięcioma utworami w studio Radia „Sfera”. Na przełomie 2002 i 2003 roku zarejestrował tam utwór „Guide Me”, do którego gitarzysta zespołu, a zarazem grafik, Jacek Kościuszko zrobił teledysk, zauważony i nagrodzony na festiwalach filmowych, emitowany przez lokalne i ogólnopolskie stacje telewizyjne.

Rok 2003, to ich debiut na toruńskim S.O.S. Wystąpili tu jako zespół rozpoczynający Festiwal, w piątek 27 czerwca. Grupa zaprezentowała się bardzo dobrze, a publiczność przyjęła ją ciepło. Dała przeszło 20. minutowy koncert tuż przed grającą reggae Etną. Po występie, na tyłach sceny, rozmawiamy z liderem grupy – Łukaszem Musiałem.

Jak na świeżo oceniasz organizację Festiwalu?

Łatwo jest być sędzią, trudniej docenić ciężką pracę mnóstwa ludzi, którzy organizują tę imprezę od 6 lat. Obserwuję S.O.S od początku, w tym roku patrzę na wszystko trochę z innej perspektywy.

A publiczność?

Część osób znała nas z wcześniejszych koncertów. Na pewno bardzo nam pomogło, że już w chwili wejścia zostaliśmy gorąco przyjęci.

Dawaliście koncerty wcześniej, czy było ich dużo?

Od czasu, gdy gramy w nowym składzie, czyli od ponad 1,5 roku, zagraliśmy kilkadziesiąt koncertów. Byliśmy obecni na wielu imprezach klubowych i festiwalach.

Z podobną publicznością?

Publiczność bywa różna. Zdarzały się i koncerty dla dziesięciolatków z wata cukrową w ręku.

Jak to się stało, że trafiliście na S.O.S., nie gracie przecież muzyki stricte „chrześcijańskiej”?

Owszem, nie gramy muzyki chrześcijańskiej, bo takiej nie ma. Są ludzie, którzy używają tej nazwy ze zwykłego wygodnictwa i robią to często bezmyślnie, wprowadzając przy okazji niepotrzebne podziały. Na samo hasło „muzyka chrześcijańska” wiele osób reaguje alergicznie i ja im się nie dziwię. Jeśli jestem np. cukiernikiem i jestem w Kościele, to nie znaczy, że sprzedaję „chrześcijańskie pączki” i drożdżówki. Jeśli ktoś jest chrześcijaninem, po prostu to widać albo nie, i na nic mu się zdadzą zapewnienia innych, czy jakieś etykiety.

Formujecie się w jakichś grupach czy wspólnotach?

Tak. Większość osób w zespole wraza w wierze we wspólnotach neokatechumenalnych, jedna jest w Odnowie w Duchu Świętym

Jak wygląda aktualnie praca w zespole?

Muzykę generalnie przynoszą dwie osoby, teksty piszę ja, a potem aranżujemy kawałki na próbach wspólnie. Praca nad muzyką jest żmudna, wymaga dużo poświęcenia, ale z miesiąca na miesiąc przebiega sprawniej. Tak naprawdę najtrudniejszą sprawą nie jest tworzenie, ale wytrzymywanie ze sobą, wybaczenie sobie, co często po ludzku jest niemożliwe. Zespół liczy 9 osób i każdy z nas to inna osobowość, inna historia, inne podejście do obowiązków itd. Nic tu nie ukryjesz, bo ile można udawać, że jesteś pokorny i akceptujesz lidera-dyktatora. Maski spadają. I o to chodzi!

Dużo macie prób, jak godzicie to z pracą, czy nauką?

Są wśród nas studenci, jak i ludzie, którzy już pracują, jednak na próby udaje nam się znaleźć przynajmniej jeden dzień w tygodniu. Całe szczęście, Toruń stał się miastem, do którego wszyscy mamy „blisko”. Najczęściej jest tak, że grymy kosztem innych obowiązków.

Skąd pomysł na teksty?

Teksty powstają na bazie tego, co dzieje się w moim życiu, szczególnie tego, co udaje mi się usłyszeć ze Słowa. Łatwo zahaczyć o banał, tym bardziej, że ciągle większość lubi słuchać reggae o „złym Babilonie” i „dobrym Dża-Dża”. Powoli odchodzę od języka angielskiego, który co prawda jest bardziej plastyczny, ale mimo wszystko dla większości niezrozumiały. Poza tym nie chce mi się tłumaczyć, o czym śpiewam.

Najbliższe plany?

Na dziś, to głównie wydanie pierwszej płyty. Na razie mamy na swoim koncie demo, które nagraliśmy 1,5 roku temu oraz singiel, do którego powstał teledysk, autorstwa naszego gitarzysty, grafika Jacka Kościuszki. Klip jest o tyle ciekawy, że jest w całości animowany. Mam materiał na płytę, ale klasycznie brakuje kasy na nagranie.

A po wydaniu płyty planujecie jakąś kampanię reklamową, bądź trasę?

Na pewno wydaniu płyty będą towarzyszyły jakieś działania promocyjne, z teledyskiem włącznie. Będziemy też chcieli promować płytę na koncertach, ale jest za wcześnie, żeby o tym mówić.

Kiedy będzie można zobaczyć was na żywo we własnym mieście?

Na wakacje planujemy krótki odpoczynek, ale już we wrześniu ruszamy z koncertami. W Toruniu zagramy prawdopodobnie w październiku.

rozmawiał: Radek Michalski
zdjęcia: Wojciech Piwnik

Szczegóły dotyczące historii zespołu i jego planów koncertowych znaleźć można na stronie: www.avelion.kdm.pl, kontakt: avelion@kdm.pl



TRÓJKA

**6.00 rano
w niedziele**

wywiad
z **Agnieszką Trzeciakiewicz**
z Polskiego Radia



Prowadzisz Trójkowe audycje poświęcone muzyce chrześcijan w Polskim Radio. Od kiedy?

To są audycje mojego kolegi, Marcina Witana. Co drugą niedzielę prowadzi je Patrycja Michońska. Tak się złożyło, że gdy zaczęłam pracować w Redakcji Katolickiej Polskiego Radia, także na gruncie muzycznym, Marcin zaproponował mi współpracę i od tamtej pory zaczęła się ona coraz bardziej rozwijać. Od kilku lat interesuję się muzyką artystów chrześcijan, próbuję ją reklamować w mediach. A dlaczego o 6.00 rano? Taką godzinę nam zaproponowano i usiłujemy „walczyć”.

Jest nadzieja, że godzina ta ulegnie wkrótce zmianie?

Tego, niestety, nie wiemy. To zależy od kierownictwa Programu Trzeciego. Oczywiście bardzo byśmy chcieli! Chociaż mamy stałych słuchaczy. To zdumiewające! Dzwoni do nas rano coraz więcej osób! Jest coraz więcej zainteresowanych! Często są to mocno ambitni słuchacze, którzy odpowiadają nawet na najtrudniejsze pytania naszych konkurso-zagadek. Wiem, że 6.00 rano jest godziną mocno kontrowersyjną. To nie jest pora na dobrą muzykę i na rozmowy z ciekawymi osobami ze świata muzyki chrześcijan.

Czy audycji słuchają głównie księża i siostry zakonne, które często funkcjonują już od wczesnych godzin porannych?

Wbrew pozorom – nie! Są to głównie ludzie świeccy i młodzi, czasami – starsi. Co do młodych, to nie doszliśmy jeszcze, czy są to ci, którzy wracają z sobotnich imprez i automatycznie rano włączają radio, czy to ludzie, którzy wstają rano i przygotowują się do Mszy niedzielnej...? Ale są wśród nich

i tacy, którzy nastawiają sobie specjalnie budzik na 6.00, by posłuchać...

To niezwykle! A skąd w ogóle twoje zainteresowania tą muzyką?

Nie będę chyba oryginalna, gdy powiem, że wszystko zaczęło się w Toruniu od Armii i Tymoteusza na Festiwalu organizowanym przez Odnowę pod hasłem „Afryka jest głodna”. Armia grała wtedy o 2.00 w nocy. To było przedziwne zjawisko, bo uczestnicy imprezy byli już zmęczeni siedmioma godzinami słuchania muzyki. Mimo żywej, pulsującej muzyki, nikt nie miał już sił, by dalej tańczyć i śpiewać. Zapowiedziano Armię. Najpierw na scenę wyszedł Piotrek Żyżelewicz, perkusista, i przeżegnał się, co dla mnie było kompletnym szokiem. Po nim Tomek Budzyński. Wszyscy na ich widok wstali, a było tam chyba z tysiąc osób. Tomek zaczął śpiewać utwory z płyty „Duch”, która dopiero miała być wydana. Zaczęło się kompletne szaleństwo. Wkrótce usłyszałam tę płytę, także płytę Tymoteusza i ... tak się zaczęło.

Słyszałam, że oprócz „Trójki”, angażuje Cię także „Jedynka”...

Gdy pracujemy w Redakcji Katolickiej, jesteśmy proszeni o przygotowanie programów na Święta, np. na Wielkanoc czy Boże Ciało. Często – są to audycje na żywo. Nieraz jestem proszona, by zająć się ich oprawą muzyczną. Jest dla mnie oczywiste, że ta muzyka powinna pochodzić z kręgu chrześcijańskiego. Również wtedy, kiedy przygotowujemy się Magazyny Redakcji Katolickiej. W radio to bardzo ważne jaka jest muzyka, jakie utwory są na antenie, i ja staram się podzierać muzykę chrześcijańską.

Poza wspomnianą „szóstkową” audycją w Trójce – w jakich audycjach i programach można tę muzykę usłyszeć?

W audycji „Effata” emitowanej przez nas w rannym programie „Radio dla Ciebie”. Tu też „wciskani” jesteśmy we wczesne godziny i jest to problem, jednak ten program też ma swoich słuchaczy. Audycja ma charakter młodzieżowy i jest związana z tematyką religijną.

A w jakiej porze usłyszeć można tę muzykę w święta i niedziele?

W niedziele – na pewno między 10.00 a 10.30 w Magazynie „Z życia Kościoła”. Także we wszystkich programach produkowanych przez Redakcję Katolicką. Staramy się proponować ludziom ten rodzaj muzyki gdzie tylko można.

Czy sądzisz, że w Polskim Radio coś zaczęło się przełamywać, jeśli chodzi o zjawisko, jakim jest muzyka chrześcijan? Bo media państwowe nigdy dotąd szerzej się nią nie interesowały...

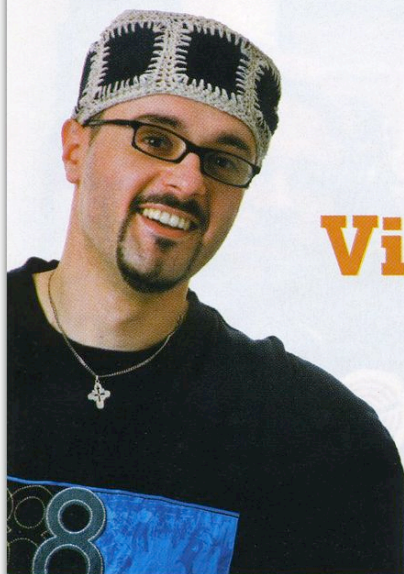
Boję się użyć stwierdzenia, że jest dużo lepiej, ale troszeczkę lepiej na pewno jest. Coś się ruszyło, bo mamy tej muzyki coraz więcej. Mam odczucie, że jest coraz większa potrzeba tej muzyki w radio i że coraz chętniej się ją wykorzystuje. Gdy w świadomości słuchaczy i dziennikarzy zakoduje się, że jest to muzyka na tak samo profesjonalnym poziomie, jak grana przez popularne zespoły „świeckie”, ma ona szansę przebicia. To świetna muzyka, tylko z bardzo niepopularną etykietką – „chrześcijańska”.

rozmawiał: Andrzej Bujnowski OP



Agnieszka Trzeciakiewicz i Mateo

fol. Robert Kozarski



Viola i New Day

Tam-Tam i Tu

czyli muzyka
z piękniejszej
strony świata



Viola i New Day to nowa propozycja na scenie chrześcijańskiej. Założycielem i liderem zespołu jest Rafał 'Boni Boniśniak' - perkusista, kompozytor i aranżer, współpracujący z wieloma artystami, m.in. z Tomkiem Kamińskim, a ostatnio z The Sakala Brothers z Zambii. Muzyka, którą wykonuje New Day, to, jak mówią członkowie zespołu, „muzyka z piękniejszej strony świata” - tak, jak życie pełna radości, a czasem też wymagająca refleksji. Jest ona inspirowana rytmami i kulturą afrykańską, stąd też w utworach zespołu słychać wiele instrumentów pochodzących właśnie z tego kontynentu.

Pomysł na „afrykańską” płytę zrodził się ponad rok temu, gdy Rafał wyjechał do Afryki. Było to sięgnięcie do jego muzycznych korzeni; wspaniała podróż, z której zostały mu nie tylko wspomnienia, ale i mnóstwo materiałów w postaci nagrań, rytmów, bębnow i innych egzotycznych instrumentów o dziwnie brzmiących nazwach, jak ingoma, djembe, kawale, mbira, kalimba czy bellaphone. Bezpośrednio po powrocie do Polski 'Boni spędził pięć miesięcy na wspólnym graniu z zambijskim zespołem The Sakala Brothers, który gościł w Polsce na zaproszenie Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego z Krakowa. Współpraca ta całkowicie zmieniła jego myślenie o muzyce...

„...Po zakończeniu trasy w ciągu 2 tygodni napisałem 10 piosenek. Wszystkie jakieś takie „nie nasze”, nie europejskie, ale takie afrykańskie: rytmy, melodie, skale. Wiem, że to nie moje działanie, lecz ogromna łaska Ducha Świętego. Znajomi namawiali mnie, by to nagrać, pokazać ludziom, więc przygotowałem w moim domowym „studio” demo i pokazałem przyjaciółom, z którymi grałem w poprzednim zespole. Spodobało im się to, co napisałem i przyjęli moją propozycję wspólnego grania...”

Do współpracy zaproszona została również Viola Brzezińska, jedna z najlepszych wokalistek młodego pokolenia, która po przesłuchaniu materiału całym sercem zaangażowała się w ten projekt.

Płyta Violi i New Day zatytułowana została „Tam-Tam i Tu” – gdyż sprawia wrażenie, jakby była trochę z Afryki (Tam-Tam) i trochę z Polski (Tu). To płyta jak świeży powiew wiatru, dająca siłę i wytchnienie. Nie tylko przykuwający uwagę tytuł czy dobór instrumentów, ale sam pomysł, by melodie s-Tam-Tąd przenieść na nasz rodzimy grunt sprawia, że płyta brzmi ciekawie i oryginalnie.

Album przedstawia historię człowieka, którym może być każdy z nas. Teksty opowiadają o tęsknocie za Panem Bogiem, za

Jego miłością (*Obraz Twój z oczu mych splywa wraz ze łzami / Ciernie samotności ranią serce moje / Tylko dusza moja pragnie biec do Ciebie Panie*) i stopniowym odkrywaniu działania Boga w jego życiu (*Dajesz mi Panie nadzieję / Na lepszy czas / Dajesz mi wiarę / Gdy sił już brak*). W efekcie, przepelnia to serce człowieka radością. Odkrywa on potężną jak śmierć miłość Boga miłosiernego, który przebacza wszelkie wyrządzone przez nas zło: *Darowane winy są śladem naszej męki / Darowane winy są znakiem naszych dni*. To Boży Duch pozwala mu krzyczeć, iż *Tylko Jezus jest Drogą, Prawdą i Życiem*.

Ostatnia piosenka na płycie, zatytułowana „Za nadzieję i ludzi”, jest osobistym wyznaniem lidera zespołu, w którym dziękuje on Bogu za wszystkie dotychczasowe łaski, jakimi dobry Stwórca go obdarzył.

Do udziału w nagraniu płyty zaproszono ciekawych gości, m.in. chór młodzieżowy Solmido, który wnosi wiele radości do piosenki „Dajesz nam, Panie”, oraz sekcję instrumentów dętych, tworzącą w piosence „Tylko Jezus” niepowtarzalne tło dla słów refrenu.

W książeczce dołączonej do płyty znajdują się teksty wraz z akordami gitarowymi, które zostały umieszczone specjalnie z myślą o diakoniach muzycznych. Ciekawostką są też bonusy, trzy utwory w wersji instrumentalnej, jako tzw. karaoke. Bardzo mi się ten pomysł spodobał.

Wydawcą albumu „Tam-Tam i Tu” jest Firma PM PROMOCJA MUZYKA z Torunia, której wsparcie i profesjonalne podejście do pracy doceniają muzycy zespołu.

Viola i New Day swoją muzyką pragną wyrazić radość ze spotkania w swoim życiu Jezusa Chrystusa. Każdy z muzyków ma swoją osobistą historię spotkania z Nim oraz własne doświadczenia życiowe, dzięki czemu wspólne granie zyskuje nowy, pełniejszy wymiar. Jak sami mówią, ich muzyka i talenty pochodzą od Pana, chcą więc wykorzystywać je na Jego

chwałę. Starają się też tworzyć wspólnotę – grupę przyjaciół, a nie przypadkową grupę muzyków. Może dlatego działalność zespołu to nie tylko koncerty, warsztaty muzyczne czy spotkania z młodzieżą. Idąc za wezwaniem Ojca Świętego, zespół pragnie dać coś z siebie innym ludziom. Pod opieką grupy znajduje się ośrodek misyjny w Zambii. Pomoc ta, to nie tylko wsparcie finansowe, ale i czysto ludzka przyjaźń ofiarowana ludziom, którzy mimo codziennych problemów są radosni i pełni chęci do życia.

W roku 2004 zespół planuje udać się na trzytygodniową wyprawę, której celem będzie odwiedzenie tej placówki i rozeznanie się w jej potrzebach.

Choć muzycy dopiero zaczynają wspólne granie w ramach nowego projektu, ich piosenki już zostały docenione – utwór pt. „Darowane winy” został umieszczony na międzynarodowym albumie wydanym we Włoszech, który zawiera kompozycje muzyków chrześcijan mówiące o pokoju.

Zespół Viola i New Day tworzą: **Rafał Boniśniak** - perkusista, który przy okazji gra na płycie na setkach innych brzęczących i bębniących instrumentów oraz jest autorem słów i muzyki; **Viola Brzezińska** – utalentowana wokalistka młodego pokolenia, która ma świetny kontakt z publicznością; **Jarek Bielicki** – alchemik komputerowy, grający też na instrumentach klawiszowych; **Przemek Łosoś** – blaszana kanapka (harmonijka ustna) i akordeon; **Bartek Mielczarek** – odpowiedzialny za wszelkie basy (gitara basowa). W nagraniach płyty „Tam-Tam i Tu” wzięli również udział **Michał Burzymowski** – gitara basowa, oraz **Stawek Kosiński** – grający na gitarach. Więcej informacji o Violi i New Day można znaleźć na oficjalnej stronie zespołu: www.newday.art.pl.

Marta Grzesiak

zdjęcia: Damian Jasica / MDM



MUZUNGU CZYLI BIAŁY CZŁOWIEK z Rafałem Boniśniakiem

rozmawia ks. Grzegorz Ułamek

Jak wygląda życie muzyczne w Afryce i jak to się stało, że znalazłeś w niej inspirację?

Muzyka w Afryce towarzyszyła mi przez cały czas. Począwszy od wczesnych ranków, gdy budził mnie śpiew kobiet modlących się w pobliskim kościele, aż po zmierzch zapadający bardzo szybko, któremu towarzyszyły dźwięki bębnów dochodzące z oddali. Śpiew jest dla Afrykańczyków tak naturalny, jak potrzeba jedzenia czy snu. Podróżując przez pewną wioskę niedaleko Chingoli zatrzymaliśmy się pod wiejskim kościółkiem, by odpocząć. Obok, w cieniu drzew, siedzieli parę osób, które śpiewały jakąś pieśń.

Staliśmy jak zauroczeni, gdyż był to śpiew nieprawdopodobnie piękny, o rozbudowanej harmonii, gdzie każdy ze śpiewaków prowadził własną linię melodyczną. Uświadomiłem sobie, iż Afrykańczycy mają wrodzone poczucie harmonii. Podobnie jest z grą na bębnach. Afrykańczycy grają od dziecka, na czym tylko można. Często dzieci ćwiczą na wrakach samochodów i beczkach po oleju. Każdy region posiada charakterystyczne rytmy, związane z tańcami i śpiewami. W wiosce koło Kasisi spotkaliśmy grupkę młodych chłopców grających na własnoręcznie wykonanych instrumentach, między innymi bębnach. Misjonarz, z którym podróżowałem, spytał chłopców, czy jego biały gość (czyli ja) może się do nich przyłączyć. Rozbawieni, zgodzili się. Po chwili wspólnej gry z niedowierzaniem patrzyli jak muzungu (biały człowiek) gra ich rytmy, w dodatku na ich instrumentach. Takich okazji do wspólnego grania i poznawania afrykańskiej muzyki było wiele. Dla mnie jako muzyka, perkusista, była to fascynująca podróż do muzycznych korzeni.

Na płycie, wśród ciekawych aranżacji, loopów i sampli, proponujesz bogate instrumentarium perkusyjne -konga, ingoma, djembe, kawale, mbira, kalimba, bellaphone. Opowiedz o tych instrumentach...

Większość z nich pochodzi z mojej wyprawy do Afryki, są to oryginalne instrumenty zrobione czasami z bardzo dziwnych rzeczy. Na przykład mbira to kawałek hebanowej deseczki i parę starych gwoździ wyklepanych w kształcie małych łyżeczek, całość powiązana jest drutem. Gra się na niej palcami obu rąk. Oczywiście ten instrument stroi! Innym ciekawym eksponatem z mojej kolekcji jest bellaphone. Jest to coś w rodzaju ksylofonu, tylko zbudowany jest on z nieco innych materiałów, takich jak tykwy po owocach, worek na śmieci czy kawałki sznurka. Płytki wykonano z poręczy starego fotela... Ciekawym instrumentem jest też bęben ingoma, pochodzący z Zambii. Zrobiony został z pnia afrykańskiego drzewa, naciągniętą ma skórę z krowy, korpus zdobiony jest motywami afrykańskimi. Posiada on niski, donośny dźwięk.

New Day to polskie problemy wyrażone przez afrykańskie rytmy. Wiara, którą przez nie wyrażacie, jest jednak dla Europy Środkowej i Czarnego Łądu wspólna. Jakie jest dzisiejsze chrześcijaństwo w Afryce?

Pomimo tego, że Kościół i chrześcijaństwo w Afryce jest młode (w niektórych państwach liczy sobie jedynie 100 lat), tam

jest się bliżej Pana Boga. Chodzi o to, że wiara w Afryce jest naprawdę żywa. Jest to wiara przelożona na kulturę, na grunt afrykański. Każda Msza to ogromne święto, które trwa nierzadko ponad trzy godziny, a liturgia jest ubarwiona przepięknymi śpiewami i tańcami. Afrykańczycy przychodzą do Kościoła, bo naprawdę potrzebują wiary. Angażują się w życie swoich wspólnot parafialnych, animują je, wspomagając w tej pracy kapłanów. Chrześcijaństwo w Afryce ciągle się rozwija, ale dzięki niesamowitej ofiarności misjonarzy (również z Polski) ludzie ci mają nie tylko oparcie w wierze, ale i w drugim człowieku.

Określcie swoją działalność: „muzyka z piękniejszej strony świata” – myślisz tu o klimacie i słońcu Afryki czy o...?

Nie chodzi tu tylko o klimat czy słońce, choć te są nieodłącznym elementem krajobrazu, ale o podejście ludzi z Afryki do życia. Oni żyją znacznie spokojniej i mimo wielu problemów potrafią być nadal uśmiechnięci. Potrafią cieszyć się spotkaniem z drugim człowiekiem i podzielić się z nim swoim posiłkiem. Również ich wiara, spotkanie z Bogiem jest wyrazem ich radości. To wszystko składa się na to, że jest to dla mnie „piękniejsza strona świata”.

fol. Krzysztof Raczynski

Wraz ze swoimi przyjaciółmi z zespołu zajmujesz się organizacją i prowadzeniem Chrześcijańskich Warsztatów Muzycznych w parafiach i szkołach. Jaka jest istota tych warsztatów, czym one się różnią od różnych wakacyjnych szkółek muzycznych?

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom wielu animatorów, katechetów czy księży, od dwóch lat prowadzimy działalność edukacyjną, która ma na celu pogłębienie umiejętności muzycznych uczestników z jednoczesnym wskazaniem na ich rozwój duchowy. Jak się okazało, jest to jedna z najlepszych form animacji. Pokazanie młodym ludziom, jak poprzez muzykę można szukać drogi do Pana Boga, jak można modlić się śpiewem i muzyką, jest bardzo dobrą formą pracy z młodzieżą. Odbłyło się już kilka takich „warsztatów”, m.in. w lipcu 2001 roku podczas chrześcijańskich spotkań duszpasterstwa akademickiego OO. Dominikanów z Poznania, w Domu Św. Jacka w Jamnej, czy w miejscowości Rola, podczas rekolekcji ruchu Światło-Życie (I Chrześcijańskie Warsztaty Muzyczne). Wszystkie te spotkania pokazały, jak ważne jest wychodzenie do młodzieży z tego rodzaju formami animacji.

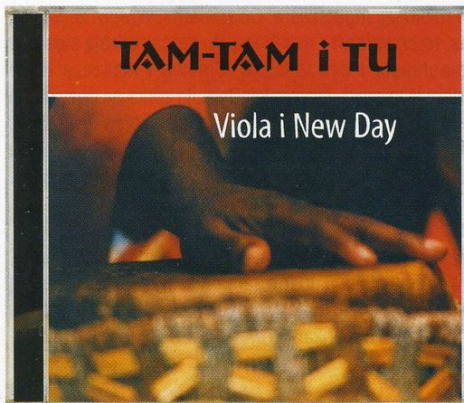
Dlaczego akurat Viola Brzezińska, ta „biała afrykanka” z mocnym soulowym, czarnym głosem, bierze udział w tym projekcie? Powiedz też o innych osobach, które was wspomogły...

Kiedy powstał już projekt tej płyty i piosenki zostały przygotowane w moim domowym studiu, zastanawialiśmy się z żoną, kto mógłby je zaśpiewać. Nie chodziło tylko o głos, ale też i o dobrą interpretację tej muzyki. Wybór nie był przypadkowy, Violkę znalazłem z koncertów z Saruelem, wiedziałem, że ma piękny głos i jest sympatyczną osobą. Kiedy przesłuchała u mnie te piosenki i usłyszałem, jak nuci „Darowane winny”, wiedziałem już, że Viola pięknie to wyśpiewa, z serca. Na płycie można też usłyszeć chór młodzieżowy Solmido, z którym praca była bardzo inspirująca i dała mi wiele radości, oraz sekcję „dęciaków”, muzyków bardzo kreatywnych i czujących ducha tych piosenek.

Wiem, że przewidujecie eskapadę do Afryki, a co z Polską – będzie można was posłuchać na jakiejś trasie???

To prawda, w styczniu przyszłego roku wyruszamy na „wyprawę”, ale nie jest to taka zwykła wyprawa. Jedziemy tam w konkretnym celu. Zespół New Day uczestniczy czynnie w życiu Salezjańskiego Wolontariatu Misyjnego z Krakowa i pod opieką zespołu znajduje się placówka misyjna w Zambii. Część środków ze sprzedaży płyty „Tam-Tam i Tu” przeznaczona jest na ten właśnie cel misyjny.

W Polsce rozpoczynamy właśnie promocję naszego albumu, co łączy się nie tylko z koncertami, ale i spotkaniami w całej Polsce. Jest już zaplanowanych kilkanaście koncertów, m.in. w Rzeszowie, Krakowie, Toruniu czy Wrocławiu.



muzyka,
której
słucha

fol. Tomek Dogiel

JAREK MOCZULSKI

wokalista grupy Ruah

Moje pierwsze doświadczenie muzyczne to, jak pamiętam, Akademia Pana Kleksa, na którą poszedłem z mamą. Miałem chyba 7 lat. Jak się okazało po powrocie, umiałem część piosenek na pamięć. Później pojawił się Michael Jackson, którym zafascynowany byłem do tego stopnia, iż ubierałem się tak jak on i nosiłem długie włosy. Po tym okresie (8 klasa szkoły podstawowej) zaczęły pojawiać się poważne zainteresowania muzyką. Dzisiaj Jackson nadal jest dla mnie, jako muzyk, jednym z niezrównanych i niedoścignionych twórców. Bez przesady, uważam go za geniusza muzycznego. Swoje poszukiwania muzyczne, a mówiąc ściślej – bliskich mi wykonawców, mógłbym podzielić na dwie grupy. W pierwszej, słuchanej chyba częściej, znalazłby się twórcy muzyki filmowej (dla mnie - nierozrywkowej), jak: Howard Shore, Eric Serra, Alan Silvestri, James Horner, Baz Luhrmann, Hans Zimmer, Lisa Gerrard oraz niezrównany John Williams. Nieporównywalną z wymienionymi i wyjątkową jest dla mnie muzyka tworzona przez Clannad i przez Maire Brennan. Słuchając niektórych ich płyt, zwłaszcza tych starszych, z językiem staro-irlandzkim („Dulaman”!), upewniam się, że najlepszym, pierwszym i niezastąpionym Twórcą muzyki jest sam Król Niebios - Bóg.

O tym samym przekonany jestem słuchając muzyki z „drugiej” grupy. Mimo, iż lubię jazz i piosenki jazzowe, nie jestem jazzmanem ani nawet nie słucham zbyt wiele tej muzyki, z wyjątkiem wykonywanej przez Ala Jarreau i Stevie Wondera (choć niektórzy tego ostatniego uważają za piosenkarza pop), czy E. Cassidy. Dalej są najróżniejsi wykonawcy, kompozytorzy i zespoły: wspomniany Michael Jackson, Kirk Franklin, Jamiroquai, Brand New Heavies, Simply Red, Incognito, Maxwell, John Kander, Richard Cocciante, Bruno Pelletier, Lenny Kravitz, Peter Gabriel, Garou, Mariah Carey, Sting, 1 NYC, Amy Grant, Valerie Etienne, Blue Cantrell, Donna Summer, Sade, George Michael (świetna płyta: „Songs from the Last Century”), Lauryn Hill, U2, Elton John, Charles and Eddie, Spin Doctors, Bryan Adams, Baby Face, Eric Clapton, Phill Collins, Depeche Mode, Modjo, Terence Trent d’Arby czy niezrównane Progidy; wykonawcy polscy: Tie Break, Maleo Reage Rockers, Beata Bednarz, Polucjanci. Na koniec dodam tylko, iż nie potrafię pozostać obojętny duchowo gdy słucham 2 Tm 2,3, lub Freda Hammonda (live). Nie sposób nie modlić się słuchając tych ludzi. Nie mam wątpliwości, że Duch Święty działa, gdy słyszysz tę muzykę.



Niech cały Rzeszów słyszy!

Kilka tysięcy osób spotkało się w Parku Sybiraków, by śpiewem wielbić Jezusa

Rzeszów, czwartek, 19 czerwca. Dzień, w którym w Kościele obchodzimy uroczystość Bożego Ciała. Kilka minut po 18.00 na scenę w Parku Sybiraków wychodzi ks. Mariusz Mik z parafii Podwyższenia Krzyża Świętego: *Rozpoczynamy koncert, którego największą gwiazdą jest nasz Pan, Jezus Chrystus!* Koncert „Jednego Serca, jednego Ducha” rozpoczynają podkarpackie grupy chrześcijańskie. Jako pierwszy prezentuje się Przemyski Chór Gospel. Jego opiekun duchowy, ks. Tadeusz Biały, z właściwym sobie dynamizmem zapala publiczność do tańca, klaskania i bujania. Później porcja „czadowego” rocka w wykonaniu grupy Duch ze Stalowej Woli. Atmosferę uspokaja kameralnym, soulowym śpiewem Bartek Jaskot z Mielca. Wreszcie - humor, dynamizm i jazzujące rytmy, czyli schola dziewczęca *Wesołe Nutki* z Rzeszowa. Cały czas napływają ludzie; jest ich już co najmniej kilka tysięcy. Są obaj rzeszowscy biskupi, marszałek Leszek Deptuła, wiceprezydent Rzeszowa Ryszard Winiarski.

Tylko chwalenie Boga ma sens

Przed godziną 20.00 scenę zajmują: grupa New Life 'M, muzycy Filharmonii Rzeszowskiej i kilkudziesięcioletni młodzi podkarpacki chórzyści. - *Czy chcecie posłuchać dobrej muzyki?* - pyta Jan Budziaszek, pomysłodawca koncertu. -

Taaaak!!! - odpowiadają tysiące gardel. - *To sobie zagrajcie sami!* - perkusista Skaldów zachęca w ten sposób do włączenia się do wspólnego śpiewu. Koncert jest nagrywany na płytę. Każdy z utworów Budziaszek opatruje autorskim komentarzem. W jednym nawiązuje do przedpołudniowej procesji: *Albo jesteśmy dziećmi Boga Żywego, albo tłumem podejrzanych ludzi, wykonujących jakieś dziwne praktyki. Ja wierzę, że jesteśmy dziećmi Boga Żywego.*

Po ostrym „Hej Jezu”, równie ostre „Czcijmy Jezusa”. Budziaszek: *Objechałem kawał świata. Zakosztowałem wszystkich rozkoszy tego świata. Doszedłem do tego, że jedyne co ma sens, to chwalenie Pana Boga.* Do tańca ruszają siostry z Łąki. Uśmiechnięte i dynamiczne. Śpiewa i klaszcze także wiceprezydent Winiarski. Marszałek Deptuła zerka na duży ekran z tekstami utworów, wreszcie i on włącza się do śpiewu. *Głośniej, niech cały Rzeszów usłyszy!* - woła najmłodszy z „klanu Pospieszalskich”, Marcin, autor aranżacji do wszystkich utworów.

I niech spadnie deszcz...

I wyciszenie... Żona Marcina, Lidka, intonuje „*Będę śpiewał Tobie, mocy moja*”. Ten piękny utwór zamienia się w indywidualną modlitwę każdego z uczestników koncertu. Jan Budziaszek prosi przed scenę osoby z bębenkami. *Chcielibyśmy obwieścić światu,*

jak heraldzi, że Jezus jest Drogą, Prawdą i Życiem!!! - woła. Rytmiczne bębnienie przechodzi w przebój „Tyś jak skała, Tyś jak wzgórze” w wykonaniu Violi Brzezińskiej. *Czuję ciarki* - podziwiał wokalny kunszt Violi Kasia z Rzeszowa. I już za chwilę „Pan jest Pasterzem moim” w żydowskich rytmach, które potrafią rozkołysać każdego. „Jak dobrze jest dziękować Ci, Panie,” to nie tylko ulubiony utwór Budziaszka. To jego osobiste wyznanie wiary, połączone z opowieścią o ostatnich chwilach życia mamy. Opowieścią o chrześcijańskiej nadziei. Nieopodal ktoś ociera łzę wzruszenia. Piotr Plecha, który przed prawie 20 laty grał na basie w Budce Suflera, intonuje pieśń „Niech Twój Święty Duch”. *I niech spadnie deeeeeeeszcz błogostawieństw Twych!!!* - prosi Piotr, a my wraz z nim. Plac Sybiraków rozświetla blask kilku tysięcy świeczek. „Jezus jest tu”, treść pieśni znakomicie oddaje nastrój chwili. Zgodnie z refrenem, wznosimy ręce wielbiąc imię Chrystusa. Biskup Kazimierz Górny ze sceny udziela zebrany błogostawieństwa. Spadają pierwsze krople deszczu. Budziaszek: *Teraz to już może popadać*. Viola Brzezińska zaczyna na koniec dobrze wszystkim znaną pieśń „Panience na dobranoc”. Chwytamy się za ręce... Młodzi z przodu skandują: *Więcej czadu dla Jezusa!* Lecz to już naprawdę koniec. Muzycy zaczynają składać instrumenty. Idziemy do samochodu kontemplując tę wyjątkową chwilę. Dochodzi godzina 23.00. ■

Pieśni niosące nadzieję

Rozmowa z ks. MARIUSZEM MIKIEM z parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Rzeszowie, współorganizatorem koncertu „Jednego Serca, jednego Ducha”

Jak to się stało, że zaplanowany z tak wielkim rozmachem koncert odbył się akurat w Rzeszowie?

Idea tego koncertu narodziła się niezależnie od siebie w dwóch sercach: Jana Budziaszka, perkusisty Skaldów, i moim. Kiedy spotkaliśmy się 1,5 roku temu, zaproponowałem Jankowi taką formułę koncertu, na którym zgromadzi się rzesza ludzi i będą się oni czuli jak w jednej rodzinie. Będą nie tylko uczestnikami, którzy oklaskują wykonawców - wspaniałych muzyków, wokalistów, ale jednocześnie sami będą wykonawcami. Okazało się, że Janek nosił w sobie od dość dawna bardzo podobny pomysł. Zaproponowałem, by zrealizować go w Rzeszowie. Janek odpowiedział, że jest na to otwarty. Po jakimś czasie skontaktowaliśmy się telefonicznie i zaczęliśmy bardziej konkretne rozmowy.

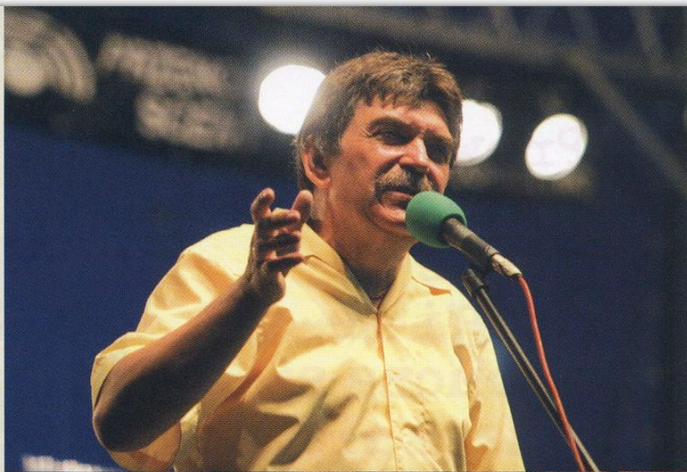
Jak wybierano utwory?

Tak, by było łatwo je zaśpiewać. Większość pieśni to utwory znane i śpiewane od lat. Znają je zwłaszcza ci, którzy zetknęli się wcześniej np. z ruchem oazowym, KSM, Odnową w Duchu Świętym czy innymi ruchami w Kościele.

Te pieśni, jak ksiądz wspominał wcześniej, uczestnicy koncertu śpiewali wspólnie, pod kierunkiem znanych artystów.

O to właśnie w tym koncercie chodziło, by artyści i uczestnicy koncertu razem stali się wykonawcami. By poczuli się jak jedna wielka orkiestra i jeden wielki, zjednoczony chór. By ci, którzy po raz pierwszy i być może jedyny w życiu stanęli obok siebie, przez to wspólne śpiewanie stali się bliscy sobie. Było to zresztą nie tylko śpiewanie dla samego śpiewania, ale modlitwa, wyraz naszej więzi z Bogiem, uwielbienie Go. Dziś wiele rodzin jest pełnych niepokoju, lęku o jutro. Chcieliśmy podarować im te chwile spędzone na koncercie, by ich serca napęłniły się nadzieją.

Jaromir Kwiatkowski
zjęcia: Tadeusz Poźniak
przedruk z „Nowin Rzeszowskich” ■



Prowadź
mnie tam,
gdzie
drogi me
skończą się,
a zaczniesz się
łaska Twa

Monika Zytke
zdjęcia: Jan Bujnowski

STREFA CHWAŁY

XII Spotkania
Muzyków Chrześcijan
Gródek n/Dunajcem
11-15 lipca 2003



PIĄTEK: Jechałam dobie. Z sześciogodzinnym przystankiem w Malborku i czterema przesiadkami. Duża ta Polska. Zwłaszcza jak się mieszka na jej przeciwległym końcu... Przyjazd, powitania jak zwykle gorące – z niektórymi osobami nie widziałam się rok czy dwa. Próby rozeznania topograficznego – ośrodek Arka jest olbrzymi, składa się z kilku budynków na dużym terenie i w tak komfortowych warunkach spotkanie muzyków jeszcze się nie odbywało. Do tego zarówno wspólnota Dom Zwycięstwa, jak i prowadzący dom ks. Klucznik nie szczędzą starań, byśmy czuli się jak u siebie. Dzięki! W pokoju, w którym zamieszkam, znajduję na dzień dobry kartkę ze słowami z Księgi Ezechiela 37,14.

SOBOTA: Jak zawsze – integralną częścią każdego dnia jest uwielbienie – w tym roku prowadzone na zmianę – Piotr Plecha, Mate.O, Jakub Orzeł, Robert Cudzych – oczywiście każdy z zespołem. Jak zawsze jest dużo nowej muzyki, a teksty pieśni – w dużej mierze autorskich – ukazują chyba trafnie etap, na jakim jesteśmy. W tym roku dużo jest o nadziei, oczekiwaniu

i otwarciu na działanie Tego, który może zmienić wszystko. Wokół tych samych tematów koncentruje się nauczanie. Piotr Plecha mówi o patrzeniu na Boga i na to, co mamy, a nie czego nie mamy. I o tym, że Jego interesuje nasze serce, a nie słowa. I o magicznym słowie „sukces”, które zrobiło karierę w naszym sposobie myślenia. A przecież każdy sukces i porażka

może mieć dwie strony: Zły przygniata nas, kiedy nas krytykują i pompuje, kiedy nas chwala, a Pan Bóg umacnia nas w pierwszym, a miarkuje w drugim. Swoimi przeżyciami dzieli się też z nami Neil Prem i Giles Platford z Wielkiej Brytanii, dzięki czemu spotkanie jest nieco międzynarodowe. Neil daje świadectwo o czekaniu na spełnienie się Bożej obietnicy. Wspomina też, jak kiedyś podczas przygotowywania obiadu niepostrzeżenie spadł mu za kuchenkę kawałek kurczaka i tam się zepsuł. Kiedy dało się go poczuć, dopiero zdano sobie sprawę z jego obecności za kuchenką. I podobnie jest z nami – kiedy umieramy duchowo, inni po prostu zaczynają to czuć. I nie są to przyjemne odczucia... Nerwy, pośpiech, przykre słowa, nieprzemyślane decyzje. Zwalamy wszystko na przepracowanie itp., a wystarczyłoby się chwilę wyciszyć. Piotr potem dodaje, że im się więcej modlimy, tym mniej biegamy. Po południu są warsztaty. Do wyboru, do koloru:

- *Aranżacja piosenek* – Marcin Pospieszalski / Joachim Mencil
 - *Droga do gwiazd* – (cokolwiek to znaczy...) – Mate.O
 - *Prowadzenie uwielbienia* – Piotr Plecha
 - *Porady dla młodego zespołu* – o. Andrzej Bujnowski OP
 - *Nagłośnienie i akustyka* – Wojciech Białoskórski
- Nazajutrz warsztaty zostaną powtórzone, więc każdy może skorzystać z dwóch propozycji. Chociaż chciałoby się z pięciu... Spotkanie po raz kolejny pokazuje potrzebę warsztatów w rozmaitych dziedzinach. Trwały po półtorej godziny, a na każdy temat przydałyby się weekend. Myślimy też o warsztatach dla „beznutowców”, które by przybliżyły osobom nie mającym przygotowania teoretycznego te zagadkowe „robaczki”, o spotkaniu poświęconym Triduum Paschalnemu, o szkoleniu instrumentalistów i wokalistów... Zdarzają się takowe w Polsce, na szczęście coraz częściej. I oby ich przybywało. Eucharystię celebrować się w kaplicy ośrodka Arka. Dwuosobowy chór (o który troszczą się Paweł Bębenek i Marcin Pospieszalski) brzmi tu pięknie i przejmująco. O. Andrzej opowiada o historii śpiewu liturgicznego i o tym, jak wyglądał w ciągu wieków śpiew charyzmatyczny. Słowo nas prowadzi w stronę przebaczenia (Rdz 49-50, Mt 10,24-33), a psalm



Piotr Plecha

zapewnia, że *ożyje serce tych, którzy Go szukają*. Jest też sporo czasu wolnego, co jest cudne, bo tak rzadko się widzujemy. Kilka pięknych rozmów: z Janem Bujnowskim, Białoskórskimi w komplecie i osobno,

Kasią Słowik, Stasią Iżyk i paroma innymi osobami pozostanie we mnie na długo. Do tego jeszcze wspólne wieczorne herbatki z opowiadaniem o Afryce (kilka osób akurat stamtąd wróciło) i innych ciekawościach. Coś pięknego.

NIEDZIELA: Niedzieli nie spędzamy, jak to coraz częściej ostatnio w Polsce bywa, w supermarkecie. I to nie tylko dlatego, że w Gródku takowego nie ma... W kolejnym dniu w nauczaniach coraz bardziej dotykana jest sprawa naszego sposobu myślenia i testowania go – na ile toczy się po Bożej myśli, a na ile przesiąkł tym, co włącza nam telewizor, moda i tzw. wszyscy. A On czeka, aż wszystkie nasze ambicje, plany i nadzieje powierzymy Jemu. I chce być numerem 1 w naszym życiu. 1, nie 2. W liturgii Amos (Am 7,12-15) uczy nas postawy wobec naszych podopiecznych: *Nie jestem prorokiem ani uczniem proroków, jestem pasterzem*. A zadaniem pasterza nie jest pouczać, tylko się opiekować.

Mowa jest też o prowadzeniu uwielbienia. Lider uwielbienia ma ekscytującą moc – jak kierowca ferrari – wystarczy tylko impuls przyspieszenia, a już się jest 5 kilometrów dalej. Moc to ekscytująca, ale i niebezpieczna. Przypomina mi się też Monika Richardson na Song of Songs, która tak zapowiedziała kolejnego wykonawcę: *Teraz wystąpi Mate.O, który jest liderem uwielbienia*. Znaczący to – o ile dobrze

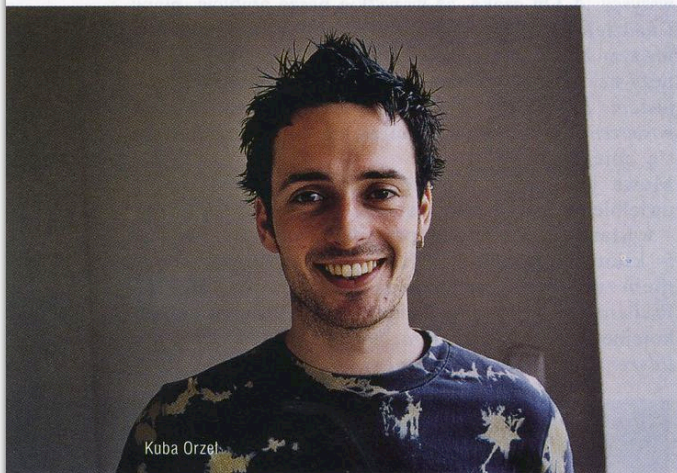


Natalia Otręmba-Niemen

rozumieć – że kiedy wstaje rano, ma więcej powodów do radości od niejednego z nas. Muszę przyznać, że dało mi to do myślenia... Wieczorem – *novum* na spotkaniu muzyków – koncert jazzowy. Kilka nowych formacji, kilka składów spontanicznych zupełnie. Chyba wszyscy są poruszeni. Piotr Jankowski dzieli się, jak wielką widzą potrzebę wyjścia do klubów jazzowych – by przez muzykę czysto instrumentalną dać odpoczynek i nadzieję przychodzącym tam, często bardzo zmęczonym i zniechęconym do życia ludziom.

PONIEDZIAŁEK: Na dzień dobry dziś psalm 124 – *Gdyby Pan nie był po naszej stronie, gdy ludzie przeciw nam powstałi, wtedy pochłonęliby nas żywcem*. Oj, prawda to i to jaka... Nauczanie prowadzone przez Stanisławę Iżyk mówi o czasach ostatecznych i zaczyna się przejmującym fragmentem z Izajasza, o tym, że niebo wraz z ziemią się wyczerpały (Iz 24,4-6).

Żeby się o tym przekonać, czasem wystarczy tylko spojrzeć przez okno. Eksploatujemy Ziemię i kto wie, jak długo ona to jeszcze wytrzyma... Ale z drugiej strony wiemy, gdzie nasz cel i że my, jak było w jednej piosence, po prostu idziemy do domu. Piotr Płecha mówi o tym, co nas odsuwa od Bożej obecności: brak przebaczenia, przewrotność, osądzanie. A często tak niewiele trzeba, by było inaczej. Tak jak w jednej ze śpiewanych tu w Gródku pieśni (dla mnie motto spotkania): *Prowadź mnie tam, gdzie drogi me skończą się, a zacznie się łaska Twa*. Prawda to wielka – On zaczyna działać, kiedy my przestajemy. Czasem wystarczy tylko się zgodzić.



Kuba Orzeł

Mała Madzia Białoskórska, kiedy wybieramy się na modlitwę, mówi: *idziemy robić Amen*. I coś więcej trzeba? Tradycją spotkań muzyków są prezentacje, czyli czas „mikrofonu dla każdego”. I jak zawsze tworzy się wiele spontanicznych a radosnych składów dogadywanych w pośpiechu przy obiedzie. Czasem chodzi o zastępstwo, gdyż mało który zespół przyjeżdża w komplecie (a szkoda...), a czasem o zupełnie nową formację, choćby istniejącą całe pół dnia. W naszym, w taki sam sposób stworzonym, kwartecie gospel nie ma – licząc z sekcją – nawet dwóch osób z tego samego miasta... W tym roku uderza mnie poziom wykonania – nigdy nie był niski, ale tym razem właściwie sami zawodowcy. Naprawdę. Prawdziwy profesjonalizm – taki z sercem – nie zabiera bynajmniej radości, której jest mnóstwo zarówno u występujących, jak i u publiczności. Wieczorem zaproponowano forum – panelową dyskusję na temat kierunku muzyki chrześcijan w Polsce. Temat jest ważny i poważny, ale nie wiedzieć czemu zaczyna się od zbiorowego ataku śmiechu – a śmiać się w 200 osób to przeżyć nie do opisanego. I jest nam to wszystkim ogromnie potrzebne, mimo iż poczucie humoru nie opuszczało nas przez cały czas. Jak już nam przeszło – a trochę to trwało – wracamy do tematu. Czy zawodowi muzycy są pod wpływem mediów, czy mają na nie wpływ? Jakie są nasze motywacje? Czy nie przywykliśmy zbyt łatwo do warunków, jakie mamy? Czy zdołamy uciec od postawy „chrześcijaństwa zawodowego”, na użytek sceny? Każdy musi sobie na te pytania odpowiedzieć sam i to nie raz. Wieczorne uwielbienie jest szczególnie – może dlatego, że ostatnie. Pojawiają się dźwięki, na jakie sami byśmy nie wpadli. I potrzeba nagłąca modlitwy za Izrael. I taniec odkrywany na nowo. I to, co się stało w sercu każdego z osobna, czego nikt drugi nie zobaczy...

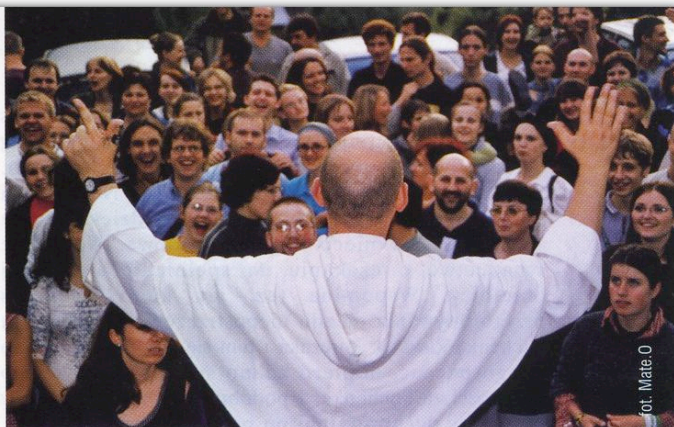


foto. Mate. O

WTOREK: Dziś wyjeżdżamy. Słowo z liturgii jest faktycznie słowem na drogę. Najpierw o Mojżeszu z Księgi Wyjścia, rozdz.2. Pobił on ze skutkiem śmiertelnym, jak się określa to dziś w prawie, pewnego nieciekawego Egipcjanina – skądinąd z czystego poczucia sprawiedliwości. Gdyby Bóg go wtedy zawałał, to pewnie by na skrzydłach poleciał wyzwać Izrael. Chciałby tego – i to nawet za bardzo. A powołanie przyszło w czasie, gdy Mojżeszowi się już zupełnie odechciało. Miał pracę, rodzinę, stabilizację. Nie chciał się nigdzie ruszać. Ale dzięki temu oczyściła się jego motywacja, a to jest nie bez znaczenia. Do tego psalm 69 – nic dodać, nic ująć. A na koniec Mateuszowe ostrzeżenie (Mt 11,20-24), kiedy to Jezus poczył czynić wyrzuty miastom, w których najwięcej Jego cudów się dokonało, że się nie nawróciły. Oby nam takowych czynić nie musiał. A przecież cudów ci u nas dostatek, czego najlepszym dowodem są właśnie – dwunaste już – spotkania muzyków.



Przystanek Woodstock

TO NIE SĄ LUDZIE Z KOSMOSU



rozmowa z Darkiem Malejonkiem

Darku, występowałeś na sierpniowym Przystanku Woodstock. Już nie po raz pierwszy...

Na Przystankach Woodstock grałem już trzy razy z Houkiem i dwa razy z Maleo Reggae Rockers. W 2002 roku występowaliśmy z gościem z Jamajki – Michael Blackiem, weteranem tamtejszej sceny reggae, który od początku lat 70. nagrał 17 płyt. W Żarach byliśmy wspaniale przyjęci. Michael, który występował w wielu miejscach całego świata, kiedy wyszedł na scenę w Żarach i zobaczył to morze ludzi, ugięły się pod nim nogi, jak przyznał się następnego dnia. W czasie grania zauważyłem, że pierwszy numer zaśpiewał niepewnym głosem. Dla mnie był to naprawdę jeden z najlepszych koncertów w życiu. Jest taki czas, kiedy naprawdę wszystko wychodzi. Kiedy nie myśli się o sprawach technicznych, ale przeżywa się każdą chwilę. Reakcja ludzi niesie jak na skrzydłach. W końcu, kiedy ludzie śpiewali nam sto lat, krzyknąłem, że nie chcemy żyć sto lat, ale – wiecznie, i żeby krzyknęli – niech żyją wiecznie! W tym roku graliśmy w finale, tj. na zakończenie imprezy, i zaprosiłem na koncert jeszcze więcej gości z różnych muzycznych światów, z różnych kultur. Ja w ogóle lubię takie muzyczne krzyżówki, kiedy można łączyć różne style i

kultury muzyczne. Zaprosiłem legendy muzyki afrykańskiej – Kofi Ayivora i Gilberta Chicken Chi Amaro z Ghany, z legendarnego zespołu Osibisa. Także młodego szalonego sikha z Pendżabu, który nazywa się Janni Singh. Zaprosiłem też kubańską wokalistkę Milagros Abreu Machado z zespołu Cale Sol oraz załogę polską – Pozytywny Sound System „Ferment”, wykonującą reggae muffin. Jak widać – mieszanka nietypowa i na pewno nie było łatwo... Przed Przystankiem mieliśmy parę dni prób. Ponieważ nie graliśmy nigdy muzyki afrykańskiej, były to dla nas warsztaty muzyczne. Reggae znamy od wielu, wielu lat. Nie jest ona dla nas niczym nowym. Natomiast muzyka afrykańska – to było nowe wyzwanie i nowa muzyczna przygoda. I na koniec dodam: po koncercie, w czasie pokazu ogni sztucznych doświadczyłem namiastki tego, co Pan Bóg przygotował dla nas w niebie, osobistego przeżycia chwały Bożej.

Czy w Żarach gra się dobrze tobie i twoim Reggae Rockers głównie dlatego, że widzicie przed sobą 300 tysięcy ludzi?

Na pewno to, że ci wszyscy ludzie dobrze się bawią, że jest świetne przyjęcie, to bardzo pomaga. Natomiast było jeszcze coś takiego, co mogę określić jako „pomoc z góry”.

Dlaczego tylu młodych bierze udział w Przystanku? Czego oni tam szukają?

To jest pytanie raczej dla socjologów, natomiast jeden z moich znajomych powiedział, że „duch Jarocina musiał gdzieś znaleźć swoje ujście i znalazł właśnie tam”. Ja myślę, że młodzi ludzie zawsze szukają wolności i Przystanek to jest takie właśnie miejsce, gdzie mogą przez te dwa dni poczuć się naprawdę wolnymi. Tam wszystko jest dla nich. Ale co się dzieje potem, kiedy wracają do domu? Czy przypadkiem nie czekają cały rok na następny Woodstock...? Czy ta wolność nie jest jednak złudna, bo ja myślę, że prawdziwą wolność można znaleźć tylko w Chrystusie, tylko dzięki Chrystusowi. I to jest niezależne od miejsca. Dlatego Przystanek to świetna okazja do ewangelizacji. Ludzie na tej imprezie są bardzo otwarci, bardzo chłonni, otwarci na wszystko. Myślę, że również na inne wpływy, na działalność różnych sekt. Nie możemy więc tego miejsca, jako chrześcijanie – przegapić.

Jaką muzykę gra się na Woodstock, kogo zaprasza się na scenę?

Dobór zespołów zależy tylko i wyłącznie od Jurka, który przesłuchuje podobno wszystkie nadesłane kasety i płyty



Milagros Abreu Maldonado



przychodzące do Fundacji (Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – przyp. red.). W tym roku, tak się mówi, podobno było ich sześćset. Ja wiem, że Jurek jest wielkim fanem muzyki, więc on naprawdę słucha tego wszystkiego. A muzykę gra się tam bardzo różną, z przewagą jednak ciężkiej muzyki rockowej. Ucieszyłem się, że w tym roku mogła zagrać na Przystanku Triquetra. Jest tam też folk, jest reggae, chociaż w mniejszej ilości.

Zespoły, które tam przyjeżdżają, czują się pewnie jakoś wyróżnione?

Na pewno. Jest to wielka dla nich pomoc, zagrać tam, zwłaszcza dla zespołów z małych miast. Myślę też, że Woodstock to święto małych miasteczek. Bo większość ludzi, którzy są na Przystanku, pochodzi z małych miejscowości, a nawet wiosek. Wśród młodych zespołów jest też wiele takich, które nie mają żadnej innej szansy na promocję.

Czym jest dla ciebie ta impreza?

Przede wszystkim niesamowitą okazją, aby zagrać dla tylu ludzi na tak wielkiej scenie i żeby przekazać im coś o miłości Boga, o Jego miłosiernym sercu. O tym, czego sam mogłem doświadczyć w swoim życiu. Wierzę, że nikt nie rodzi się bez powodu, bez przyczyny.

A jaka – generalnie – ewangelizacja potrzebna jest Przystankowi?

Na pewno taka, która trafi do jego uczestników. To nie są ludzie z kosmosu. Prawie wszyscy, którzy tam przyjeżdżają, byli kiedyś ochrzczeni, chodzili w swojej szkole na religię. Część z nich była też przecież bierzmowana. Coś gdzieś się musiało stać, że część z nich jest daleko od Kościoła i swej przyszłości nie wiąże już z Kościołem. To jest pytanie i zarazem wyzwanie dla nas... Coś się musiało stać, że oni teraz w nim nie są... Ale nie można też sprawy demonizować, przesadzać w drugą stronę, bo wielu z tych ludzi nie jest nastawiona antykościelnie i normalnie chodzi do kościoła w swoich parafiach. To, czego naprawdę szukają ci ludzie, to prawdziwa wolność, miłość i przyjaźń, które według mnie może dać im tylko Chrystus i chodzi o to, by do tych ludzi podchodzić jak



Maleo i Pozytywny Sound System „Ferment”

do braci. Na zasadzie, że nie jesteśmy lepsi od nich, to znaczy, że nie idziemy jako lepsi do gorszych, mądrzejsi do głupszych, zdrowi do chorych...

Dlaczego młodzi ludzie odchodzą dziś od Kościoła?

Myślę, że te wspólnoty, które były do tej pory, czyli KSM-y, Oazy itp. spełniają swoją rolę, ale do pewnego momentu. Kiedy ludzie kończą szkołę lub uczelnię i wchodzą w dorosłe życie, w tzw. „walkę o byt”, gdzieś coś zaczyna szwankować; to, czego doświadczyli w tych wspólnotach, nie przekłada się na dalsze życie. Potrzebna jest, tak jak mówi Ojciec Święty, wieloletnia formacja i wspólnota, która może kształtować prawdziwą wiarę chrześcijańską. Żyjemy w czasach, w których świat oferuje coraz więcej pokus i oddala człowieka od Boga. Tymczasem Jezus mówi, że nie można służyć dwóm panom, Bogu i mamonie. Ta ostatnia jest nie tylko pieniądzem, ale wszystkim, co można za niego kupić, czyli: komfortem, znaczeniem, sławą, „miłością” itp...

Czy ewangelizujący na Przystanku są, według ciebie, do tego zadania dobrze przygotowani?

Nie wiem, czy wszyscy, ale część – tak. Dla wielu jest to wielkie uderzenie, rzucenie na szeroką wodę. Salezjanie są dość dobrze przygotowani. Dużo pracują z taką młodzieżą. Wiem, że odbywają się przed Przystankiem rekolekcje, które przygotowują do ewangelizacji.

O czym mówisz ludziom ze sceny?

O tym, że Pan Bóg ich kocha i że są niepowtarzalni. Że prawdziwą wolność można znaleźć tylko przez Pana Boga. Mówię im, że Pan Bóg nie jest księgowym, który skrupulatnie liczy grzechy człowieka, ale przede wszystkim kochającym Ojcem, kimś, kto chce uczynić ludzi szczęśliwymi.



Nie jest kimś, kto nieustannie zakazuje, ale kimś, kto daje prawdziwą wolność i prawdziwą przyjaźń. Pamiętam, że gdy graliśmy kiedyś na Placu Defilad w Warszawie i ludzie skandowali tam: Jurek! Jurek!, ja powiedziałem: – to może w takim razie podziękujemy Temu, który stworzył Jurka i który dał życie nam wszystkim, to jest – Panu Bogu – pamiętam, że po tej imprezie, kiedy Fundacja zebrała jeszcze więcej pieniędzy niż się spodziewała, Owsiak powiedział: – No, widzę że masz rację, że Pan Bóg naprawdę nam błogosławi! – To było dla mnie duże potwierdzenie tego, co robię. Także duże przeżycie, że Jurek powiedział to w taki sposób.

Czy prawdą jest, że dziennikarze nierzetelnie pokazują Przystanek w mediach?

Kiedys, gdy pisano o Jarocinie, odgórnie wytyczne w redakcjach nakazywały pokazywanie zepsucia, zgnilizny, pijaństwa, narkomanii, agresji, zadymy. Obawiam się,

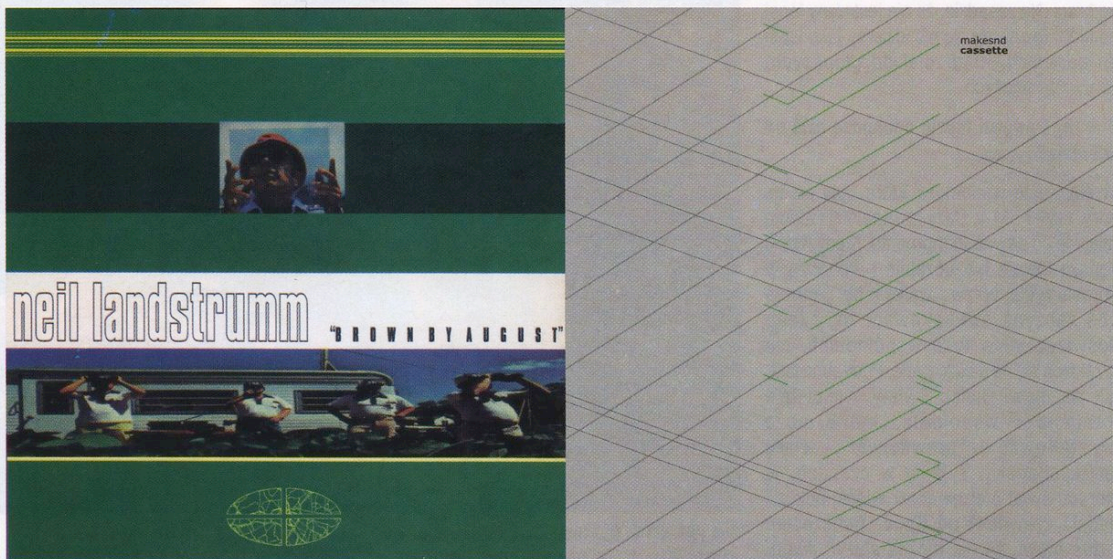
że teraz tę politykę zastąpiła tzw. poczytność. Dlatego dziennikarz ma za zadanie tropić sensację za wszelką cenę. Dlatego także redakcji nie interesuje pokazywanie prawdy, ale kreowanie obrazu atrakcyjnego dla czytelnika. Poza tym dochodzą różne źródła finansowania i związane z nimi opcje postrzegania świata i wartości. Niezależna prasa to fikcja, ale zdarzają się jeszcze niezależni dziennikarze. Zastrzegam, że nie mówię tu o prasie chrześcijańskiej.

Czego życzyłbyś kapłanom i młodym (chodzi o wskazówki, rady), którzy uczestniczą w imprezie jako ewangelizatorzy?

Nie czuję się powołany do tego, by dawać rady księżom. Myślę, że ekipa księdza Draguły, który jest odpowiedzialny za ewangelizację na Przystanku, zebrała już duże doświadczenia i myślę, że inicjatywa „Młodzi Młodym”, która powstała w tym roku jest tego wynikiem. Oni chcą działać nie ze względu na swoje ambicje, ale chcą naprawdę ewangelizować. Przesadza się mówiąc o ludziach, którzy przyjeżdżają na Przystanek Woodstock, że tarzają się tam w błocie, że panoszą się tam narkomania. Widzę, że tam nie ma tego. To się zdarza, ale narkomanii jest na pewno więcej na imprezach techno, agresji jest dużo więcej na stadionach piłkarskich. Uczestnicy Woodstock naprawdę nie są ludźmi z kosmosu, oni są z nas. Ja bym nie myślał o nich jako o jakiejś specjalnej grupie ludzi. Mówienie też o nich jako o bezbożnikach jest mocno przesadzone i niebiblijne, bo Biblia mówi, że jeśli powiesz na kogoś „Raka”, jesteś winny kary ognia piekielnego. Myślę, że najtrudniejszą grupą młodych jest ta, która jest pogrążona w hedonizmie i niczego nie szuka poza komfortem i żeby jak najlepiej się czuć. I niestety, obecnie jest ona większością.

rozmawiał: o. Andrzej Bujnowski OP
zdjęcia: Elżbieta Malejonek, Marcin Perfuński





minimalne uczucia

3
Marek Horodniczy

Minimal to trzeci przystanek w podróży po gatunkach techno. Przystanek najbardziej niebezpieczny i najbardziej... fascynujący. Kiedy 3 lata temu pisałem swoją pracę magisterską na temat techno, pan Bohdan Mazurek – kompozytor związany ze Studium Eksperymentalnym Polskiego Radia – poproszony przeze mnie o muzykologiczną analizę różnych odmian techno stwierdził, że gatunkiem, który – z punktu widzenia realizacji – najbardziej go zaintrygował, jest minimal. Dlaczego ta muzyka może fascynować? Poniższy tekst jest próbą odpowiedzi na to pytanie. Próbą bardzo subiektywną i być może niesprawiedliwą, ale wynikającą z indywidualnego doświadczenia.

Pisanie o minimal techno jest kłopotliwe co najmniej z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że to bodaj najbardziej abstrakcyjna odmiana elektronicznej muzyki tanecznej, a co za tym idzie – najtrudniejsza do sensownego przedstawienia. Po drugie forma, którą przybrał ten gatunek, jest faktycznie minimalna – dopracowane w każdym detalu, oszczędne „bity”, wielokrotne zapętlenia, zupełny brak tradycyjnej harmonii – właściwie wydawałoby się, że nie ma o czym pisać! Trzecia trudność jest być może największa – autor tego artykułu w latach 1995 – 1996 uznał minimal za najdoskonalszą ekspresję techno i bardzo często gościł na imprezach, podczas których grano właśnie taki rodzaj muzyki. Trudno bez emocjonalnego zaangażowania pisać o muzyce, która przez jakiś czas stanowiła ważną część (nie tylko) muzycznego świata.

minimalna historia

Bogu dzięki od 1996 roku minęło już trochę czasu, więc spróbuję. Minimal powstał w USA pod koniec lat 80. jako bezpośrednia mutacja detroit techno (patrz RUaH nr 22). Najważniejszą postacią tego nurtu był na początku Jeff Mills. To on wraz z M. Banksem i R. Hoodem założyli legendarną formację Underground Resistance (w skrócie UR). Na muzykę zespołu wpłynęły w równym stopniu dźwięki z Detroit, jak i europejski, agresywny nurt EBM (Elec-

tronic Body Music), którego najwybitniejszym przedstawicielem był wówczas belgijski Front 242. Minimal techno nie zagrzało jednak długo miejsca w Stanach. Być może ten rodzaj muzyki był zbyt brutalny dla amerykańskiego odbiorcy? Oczywiście powody mogły być zupełnie inne. Koniec końców – wszystko, co najważniejsze, wydarzyło się w obrębie tego gatunku na Kontynencie Europejskim. Szczególnie w Niemczech i Wielkiej Brytanii. Berlin na początku lat 90. stał się stolicą rosnącej w siłę sceny. Tutaj powstały najbardziej wpływowe wytwórnie propagujące minimal – TRESOR i CHAIN REACTION. Tutaj zaczęli również tworzyć Amerykanie z Jeffem Millsem (już nie pod sztandarem UR) na czele. Za kamień milowy gatunku uważa się powszechnie trylogię autorstwa Mills/Hood „Waveform Transmission vol. 1,2,3”. Zwłaszcza część pierwsza, autorstwa samego Millsa, do dzisiaj wyznacza kierunki poszukiwań w – wydawałoby się – zupełnie nierozwojowej formule...

minimalny paradoks

Bo czym właściwie jest minimal techno? To precyzyjnie skonstruowana maszyna, wybijająca jednostajny, dudniący basami, nieskomplikowany rytm. Cała zabawa polega tu na dobraniu odpowiednich dźwięków, które swoją barwą zelektryzują słuchaczy i wprowadzą ich w taneczny trans. Tutaj zaczynają się

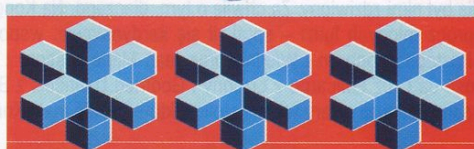
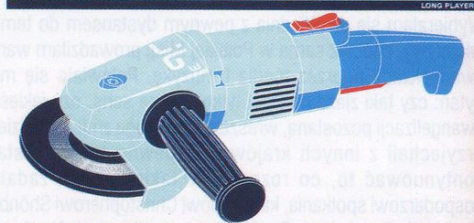
jednak „schody”: na pierwszy rzut oka taka muzyka w wykonaniu różnych artystów powinna być przecież jednakowa. Ale wcale taka nie jest! Inne jest rozpędzone jak lokomotywa minimalne techno Jeffa Millsa (USA), inne – przypominające młot pneumatyczny minimalne techno Neila Landstrumma (Szkocja), jeszcze inne – rozwibrowane, tętniące wieloma nakładającymi się, prostymi rytmami minimalne techno Cristiana Vogla (Niemcy/Chile), Plastikmana (Kanada) czy Joeeya Beltrama (Anglia). Każdy z wymienionych twórców stworzył osobną, fascynującą estetykę w ramach jednego i tego samego gatunku.

minimalna fascynacja

W tym miejscu, 8 lat temu rozpoczęła się moja przygoda z minimalnym. Fascynowała mnie w nim zaskakująca różnorodność muzyki, która choćby ze swej nazwy różnorodna być nie powinna. Po przewertowaniu katalogów takich wytwórni jak wspomniany już TRESOR, +8, NOVA MUTE, PEACE FROG, natrafiłem na obłądną muzykę tworzoną w ramach „tłoczni” o nazwie CHAIN REACTION. W jej dokonaniach minimalne standardy znalazły swe najdoskonalsze wypełnienie w dubowym tle. Tak, tak – dubowym. Błaznana kolekcja (płyty opakowane w blaszane pudełka – m.in. PORTER RICKS i VAINQUEUR) łączyła w sobie najbardziej wyszukane brzmienia minimal techno z pogłosem i linią basu charakterystycznymi dla techniki dubu. Chain Reaction – reakcja łańcuchowa – dla mnie już się wtedy rozpoczęła. Tej muzyki słuchałem tylko na słuchawkach, odpadając w coraz to głębsze przestrzenie transu. Transu, w jaki może wprowadzić tylko genialny technicznie zestaw utworów, penetrujących najgłębsze rejony wymyślanego, bezkresnego oceanu. Wtedy także zobaczyłem coś, czego w tej muzyce dotąd nie dostrzegałem.

maksymalna pustka

Kłamałbym, gdybym w tym miejscu oświadczył, że omawiany gatunek muzyki już mnie nie interesuje. Owszem, wciąż poświęcam mu sporo czasu, ale coraz bardziej widzę, że fascynuje mnie w nim to, co z punktu widzenia klasycznego rozumienia sztuki jest jego największą słabością. Aby dokładniej wskazać, o co mi chodzi, posłużę się dwoma przykładami. Plastikman (Richie Hawtin) jest jednym z najbardziej cenionych kompozytorów minimal techno. Jego płyty „Musik” i „Consumed” przejdą bez wątpienia do historii tej muzyki. Oprócz płyt autorskich, tak jak większość muzyków związana ze sceną electronic dance music (nie mylić z dance’ową młócką!), nagrywa tzw. DJ-SETY – kompilacje zmiksowanych ze sobą rytmem i dramaturgią utworów. Na okładce jednej z takich kompilacji widnieje twarz Richiego z zakneblowanymi ustami i wypełnionymi pustką okularami... Materiał został przygotowany dla jednego z najbardziej prestiżowych czasopism poświęconych kulturze techno – miesięcznika MIXMAG. Płyta wypełniona jest w większości minimalnym i od strony technicznej chyba nie ma słabego punktu. Być może jest nawet perfekcyjna – w odpowiednim momencie odsłuchu poziom adrenaliny osiąga przecież szczyt... Skąd więc mój niepokój – ano, przede wszystkim z okładki. Wierzę – być może naiwnie – że w języku cywilizacji postmodernistycznej, pomimo wszystko, symbole coś oznaczają. Artystę programowo nic niewidzącego i niechającego mi nic powiedzieć (co można wywnioskować z okładki), mógłbym bez zagłębiania się w jego twórczość zignorować. Ale jeśli poświęcę czas jego dziełu, a potem spojrzę na okładkę – ogarnia mnie strach. Bo to jest właśnie kwintesencja minimalu – rozciągnięty do kilku minut urywek czasu, odmierzany miarowym bitem, nieniosącym w sobie żadnej treści. Zamknięte oczy didżeja poprowadzić mogą jedynie na manowce – w wysublimowaną nicność. Przykład drugi dopełni, mam nadzieję, nakreślonego wyżej obrazu. Brytyjska firma PRIMATE wydająca głównie minimal techno z przeznaczeniem na parkiet, za logo obrała sobie... głowę małpy wpisaną w literę „P”. Tak, podczas wspomnianych przeze mnie imprez – w roku 1996 – adrenalina prowadziła mnie jak małpę po niezgłębionej pustce mojego serca.





Patrycja Michońska

Kościół na ulicy

Korespondencja z Wiednia

Koniec maja i początek czerwca, Wiedeń, piękna słoneczna pogoda. Tak może zaczynać się opowieść o wycieczce do stolicy Austrii, którą co roku odwiedzają miliony turystów. W tym roku mogli być nieco zaskoczeni, bo w najważniejszych miejscach Wiednia przywitali ich także ewangelizatorzy z całego świata.

Od 23 maja do 1 czerwca trwał tam Pierwszy Międzynarodowy Kongres Nowej Ewangelizacji pod hasłem „Otwórzcie Drzwi Chrystusowi”. Specjalnie z tej okazji zjechało ponad 5,5 tysiąca ludzi z 30 krajów. Dzięki wspólnocie Emmanuel także i ja mogłam tam być.

Przygotowania do Kongresu w wielu krajach trwały od wielu miesięcy, bo w jego trakcie codziennie odbywało się kilkanaście warsztatów, wykładów i spotkań, które trzeba było opracować. Każdy dzień poświęcony był innemu tematowi: rodzinie, bliźnim, młodzieży, kulturze czy przyszłości ewangelizacji. Codziennie w katedrze św. Szczepana odprawiana była uroczysta Msza święta. Wybierałam się do Wiednia z pewnym dystansem do tematu i tej inicjatywy, chociaż sama w Polskiej Misji prowadziłam warsztaty z ewangelizacji poprzez media i muzykę. Pojawiało się mnóstwo pytań: czy taki zjazd na kilka tylko dni ma sens, czy jakieś owoce ewangelizacji pozostaną, wreszcie – co mogą zmienić ludzie, którzy przyjechali z innych krajów i na pewno tu nie zostaną, by kontynuować to, co rozpoczęli. Takie pytania zadałam też gospodarzowi spotkania, kardynałowi Christopherowi Schönbornowi. Nie był nimi zdziwiony. Za chwilę o tym, dlaczego. Na Kongresie – oprócz młodych ludzi – spotkali się kardynałowie: wspomniany Christoph Schönborn z Wiednia oraz Jean-Marie Lustiger z Paryża, José da Cruz Policarpo z Lizbony i Godfried Danneels z Brukseli. Reprezentowali cztery wielkie stolice, które gościć mają Kongres w

najbliższych latach. I oni także zadają sobie takie pytanie – co zrobić, by entuzjazm i wiara chrześcijan uczestniczących w Kongresie nie skończyła się wraz z nim. Dlatego to dziesięć dni obfitowało w niemal tysiąc imprez na terenie całego miasta – by mieszkańcy odważyli się rozmawiać, pytać. By ktoś, być może przez przypadek, wszedł do namiotu z adoracją Najświętszego Sakramentu i został na dłużej. By turyści zwiedzając piękne cesarskie ogrody i posiadłości weszli także do pałacowej kaplicy.

Taka jest odpowiedź kard. Schönborna i pytanym ewangelizatorów – chcemy pokazać ludziom, że Kościół jest żywy, radosny, otwarty. Chodzi o to, by Kościół nie zamykał się w murach, by wychodził na ulice, do supermarketów, szkół, kawiarni. Tak też się stało – Kongres połączony był z wiedeńskimi Misjami „Stadtmission”.

Po warsztatach większe i mniejsze grupki, w towarzystwie biskupów, rozchodziły się po całym mieście, by rozmawiać z ludźmi. Jedni po angielsku, inni po niemiecku, jeszcze inni po francusku. Pełni radości i zapału – śpiewali i tańczyli na ulicach, dyskutowali, wymieniali kartki z adresami. Jeśli ktoś uczestniczył w noworocznych spotkaniach wspólnoty Taizé, może wyobrazić sobie ten nastrój. Do akcji włączyła się także większość wiedeńskich parafii. Każda przygotowywała imprezy towarzyszące: pokazy filmów, wieczory modlitwy, pantomimy uliczne, festyny i koncerty.

Tuż przy katedrze św. Szczepana, w samym centrum Wiednia, stanęła ogromna scena, przepelniona przez wszystkie 10 dni. Wystawiano tam musicale, przedstawienia teatralne, odbywały się koncerty muzyki klasycznej, rockowej i gospel, swoje świadectwa życia w wierze przedstawiali liderzy wspólnot, muzycy, aktorzy i popularne austriackie modelki.

Już od jakiegoś czasu do przyszłorocznego Kongresu Nowej Ewangelizacji i Misji przygotowuje się Paryż. I znów – chodzi o to, by dać obraz tego, co dzieje się w Kościele, podpowiedzieć metody działania, natchnąć odwagą mieszkańców. Wspólnoty już zbierają pieniądze, by przyjechać, i pomysły, jak „obudzić” Paryż.

Każdy z nas dostał koszulkę z napisem „Otwórzcie drzwi Chrystusowi” i drewniany różaniec przywieziony z Ziemi Świętej. Ci, którzy mieszkali u wiedeńskich rodzin, wymieniali się z nimi zdjęciami i upominkami, wspominają gościnność i ciepło tych ludzi. Owoce Kongresu? Pewnie niektóre pojawią się dopiero za jakiś czas. Ale już dzisiaj mamy nowe pomysły, więcej odwagi, by mówić i cierpliwości, by słuchać. Przede wszystkim zaś pokory i świadomości, że w pojedynkę niewiele zdziałamy.



Sarmacja W niebowzięta

2.

pisze Jacek Kowalski



Twierdza duszy

„Marsz, marsz me serce, pobudkę biją / Strzelaj modlitwy, a chwal Maryją”. Śpiewać w ten deseń można było chyba bardzo dawno, na pewno na grubo przed utworzeniem Zjednoczonej Europy. Był rok tysiąc siedemsetny sześćdziesiąty i ósmy, albo dziewiąty, albo siedemdziesiąty pierwszy, albo i drugi. Śpiewali Polacy, którzy siedzieli na koniach, a wokół nich, a może tylko przed lub za nimi, stali rosyjscy żołnierze.

Śpiew wyszedł Polakom nieźle, ale bitwa – fatalnie. Dostali łupnia i musieli uciekać. Jeden z dużym samozaparciem włókł przytroczony do siodła spory pakunek i wkrótce obaj, czy raczej wszyscy trzej – żołnierz, koń i pakunek – otrzymali po kilka postrzałów i pchnięć białą bronią. Wreszcie dostali się – a przynajmniej sam pakunek dostał się – w ręce moskiewskie. Gdy go rozwinęto, okazało się, że jest to uroczysta chorągiew konfederacka. Załśnił podziurawiony, lecz nadal piękny malowany jedwab, zapaliła się feeria barw i na nowo zabrzmiała malowana pieśń, którą Rosjanie słyszeli na polu bitwy. Była im obca nie tylko z powodu języka; także to, o czym mówiła, musiało wydawać się niezrozumiałe. Podobnie chorągiew, na której oglądali ideowy skrót konfederackich dziejów, musiała zdawać się dziwna i obca. A oto dlaczego.

U dołu chorągwi, pod wielkim urwiskiem, widnieje zielona równina, a pośród niej stoi oddział jeźdźców na siwych rumakach. Jeźdźcy, zwróceny ku sobie, tworzą zamknięty czworobok. Ubrani są w mundury konfederackiej, szlacheckiej armii: amarantowe rogatywki i granatowe katany, z białymi pasami od ładownicy i karabinka skrzyżowanymi na piersiach. W prawicach dzierżą obnażone szable. Jeden z nich unosi rękę i przemawia; usta układają mu się w charakterystyczny grymas, a wąskie wąsiki sterczą butnie ku górze. Odpowiada mu drugi żołnierz, stojący na prawej krawędzi chorągwi. On też podniósł rękę i też chce zdobyć przychylność żołnierzy; dwu z nich odwróciło nawet ku niemu głowy. Obradują.

Dyskusja w wojsku? I to jeszcze wymalowana na chorągwi? Dla Rosjan to musiało być niepojęte. W wojsku powinna przecie obowiązywać dyscyplina, a nie rozgadana demokracja. Jaki jednak skutek odniosły obrady?

Skonfederowani przeciwko rosyjskiej interwencji, zgromadzeni w demokratycznym „kole rycerskim”, wybrali swoich przedstawicieli: szefa wojsk, czyli regimentarza, i cywilnego „szefa w ogóle”, czyli marszałka. Nad urwiskiem, w strefie niebios, kłęczą owi dwaj wąsaci mężczyźni o wygolonych głowach, w karmazynowych płaszczach i kontuszach. Ten z prawej rozwija wielką kartę papieru, po której wodzi palcami prawej dłoni. To marszałek, który studiuje zwałcone prawa polskie, wymagające obrony. Natomiast ten z lewej unosi w jednej ręce szablę, w drugiej buławę. To regimentarz, który będzie bronił zagrożonych praw. Po co jednak kłęczą?

Otóż nie kłęczą z własnej woli, lecz z woli swoich wyborców, którzy nie tylko wybrali ich na urzędników, ale także wybrali Maryję – na królową i hetmankę. Dlatego urzędnicy kłęczą u stóp pagórka, na którym, pod baldachimem, stoi Ona,



zastępująca polskiego monarchę. Odpowiadając na prośby, szeroko rozkłada ręce, w których dzierży buchające kłębam dymu płomienie i długie, świetliste pioruny. Broni i oręduje za konfederatami u Boga. Oj, było za czym orędownać, bo obrady odbywały się na nieciekawym tle, również wymalowanym na chorągwi.

W dali, po obu stronach Matki Boskiej, pod gniewnymi kłębam dymu, na tle płomieni albo wręcz w płomieniach spadających z nieba, suną ogromne fale potopu. Wśród wzbierających morskich toni cwałują jeźdźcy na rozhukanych rumakach. Uciekają ku krawędziom chorągwi; ale na nic ta ucieczka, bo oto jeden spada na ziemię, dwu innych już leży w sąsiedztwie martwego konia i porzuconych dzid, a inny jeszcze jeździec bezradnie wznosi ręce do góry. Przed takim właśnie końcem chcieli się ustrzec konfederaci, wybierając na królową Matkę Boską.

Może dziwić, że w Sarmacji sprawy wiary rozstrzygano jakby demokratycznie. Otóż niezupełnie. Chociaż bowiem konfederacja była rozpolitykowana i rozdyskutowana, chociaż kwitły klótnie i walki stronnictw, nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby zagłosować przeciw Matce Boskiej. Tego akurat wszyscy byli pewni i jeśli o to chodzi, dyskusja namalowana na chorągwi jest bardziej symbolem demokracji, niż wyrazem wątpliwości w wierze. A to, że Matkę Boską obrano demokratycznie, stanowiło tylko dowód na Bożą Opiekę nad Polską i potwierdzało, że Wola Boża objawia się – jak napisał ówczesny poeta – „*głosami mnogiego rycerstwa*”.

No i wreszcie przychodzi wniosek. Aby go wypowiedzieć, trzeba odwrócić sposób „czytania” naszej chorągwi. Otóż do tej pory „czytaliśmy” ją niejako „z dołu ku górze”, czyli tak, jak działało prawo wyborcze: od wyborców, czyli od rycerstwa, ku obranej hetmanką i królową Matce Boskiej. Skoro jednak wybory już się odbyły, rzeczywistość się



odwróciła. Wolność sama sobie nałożyła wędzidło – władzę przekazano jednostce i odtąd już nie ma demokracji, lecz dyktatura. Teraz więc chorągiew trzeba czytać z góry ku dołowi, od Matki Boskiej ku Jej poddanym. Ta dyktatura, choć wymalowana ku widokowi wszystkich i wyśpiewana przez wszystkich, odbywała się już jednak tylko w duszy każdego z osobna. W twierdzy jego duszy.

I o tym właśnie mówi pieśń. Ta pieśń, od której zacząłem tę opowieść. Pieśń, która, jak mi się zdaje, emanuje z malowanej chorągwi, jest jej tłem, esencją, natchnieniem. Rzecz zadziwiająca – choć była to pieśń bojowa, nie ma w niej ani słowa o Moskalach, ani o zemście, ani o zabijaniu. „Walka”, którą opiewa – to nie ta przyziemna wojna, w której giną konfederaci, ale nasze życie, pojęte jako służba pod dowództwem Najświętszej Panny. „*Marsz, marsz me serce!*” – słyszymy na początek i to jest przebudzenie do życia – bo „*pobudkę biją*”. I trzeba strzelać, ale strzelać – modlitwą. A jeszcze wcześniej trzeba stanąć w szeregu, „*do tropu*”, bo „*żadnemu Pani nie da urlopu*”. Albo raczej: każdy z nas ma „*urlop życia, nie wiesz jak długo*”. Ten „urlop” to właśnie łaska pełnienia służby w doczesnym świecie, służby, w której Jezus ma pierwszeństwo, ale wiedzie ku niemu Matka Boska: „*Parol jest Jezus, hasło Maryja*”. Ona też może udzielić swoistej emerytury po dobrej służbie: „*I obyś poszedł z abszejtem swoim / Z błogosławieństwem Maryi twoim*”. Tymczasem każdy służy „*w jej rejmentie*” i w jej „*komendzie*”, bo „*mocniejszy nad nią w świecie nie będzie*”. Służba ta sprawia żołnierzowi taką rozkosz, że mógłby „*stanąć w niebie w momencie*”, więc w razie śmierci – „*przy ostatnim życia momencie, / Wybrańcem Panny bądź w regimencie*”. Ale nie za darmo. Służbą rządzą określone rygory; żołnierz ma dbać, aby „*powinności pilnował szczerze*”; „*Dezerterować od niej nie mogę, / Bo mi uczyni w mym sercu trwożę*”. Nieposłusznych „*z rangi wymażą*”, albo osadzą „*w areszcie*”, gdy „*wzgardzą Panną*”. I wreszcie nadchodzi koniec życia, brzmi wieczorny hejnał: „*Czapstryk już biją*”. Twierdza duszy będzie zamknięta: „*zamkną fortecę, / Idź do kwatery z wojska, człowiecze*”. Ta kwatera – to Raj.

Pieśń na jakiś czas rozeszła się z chorągwią, bo Moskale, zdobywszy chorągiew, zawieźli ją do Petersburga, gdzie zawiśla jako trofeum, świadek ich zwycięstwa. Kiedy oni z kolei dostali łupnia w 1920 roku, na mocy traktatu ryskiego wróciła do Polski i do dziś można ją oglądać w Muzeum Wojska w Warszawie. Do tej pory nikt nie odczytał jej przesłania; spróbowałem to zrobić dzisiaj. Natomiast pieśń miała więcej szczęścia: przeżyła konfederację o sto lat, i to zarówno w pamięci walczących, jak prostego ludu. Brzmiała nie tylko na Sybirze, gdzie słyszeli ją zesłani przyjaciele Mickiewicza, ale i po polskich wsiach, gdzie spisał ją Oskar Kolberg, i w Kalwarii Zebrzydowskiej, skąd trafiła do kościelnych śpiewników.

zdjęcie sztandaru wykonał Paweł Kula.



Nie jesteś sam...
gdy narody się jednoczą.
Nie jesteś sam...
gdy wszystkie serca biją jak jedno.
Nie jesteś sam...
bo Boża Miłość trwa na wieki.
Mimo doświadczeń i burz
Nie jesteś sam!

YOU ARE NOT ALONE

Tak brzmi refren pieśni „You Are Not Alone” zadedykowanej rodzinom ofiar zamachów terrorystycznych w Stanach Zjednoczonych 11 września 2001 roku. Krótko po tragedii, która miała miejsce podczas ataku na bliźniacze wieże World Trade Center i Pentagon, amerykańscy katolicy artyści postanowili włączyć się w akcję pomocy. I zrobili to, co potrafili najlepiej – nagrali pieśń. Z jednej strony ich pragnieniem było przynieść otuchę i nadzieję bliskim ofiar tragedii, z drugiej – przynieść też konkretną finansową pomoc. Dochód ze sprzedaży płyt i kaset VHS przeznaczony został dla Pentagon Survivors Found.

„You are not alone” – nie jesteś, nie jesteście sami – tytuł i myśl przewodnia tej pieśni zaczerpnięte są ze słów wygłoszonych przez prezydenta Georę Busha podczas nabożeństwa w waszyngtońskiej katedrze 14 września 2001.

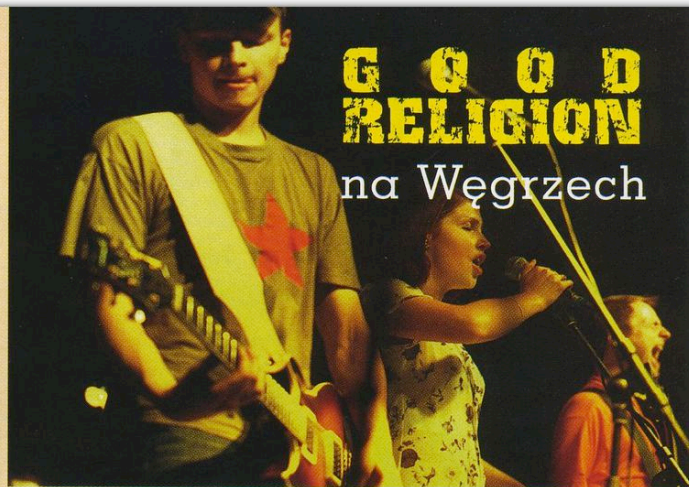
W wydanie „You Are Not Alone” zaangażowało się wielu muzyków chrześcijańskich. Najpierw każdy z nich przekazał po kilkaset dolarów na wynajęcie studia, nagrania i produkcję płyt i kaset. Potem charytatywnie wzięli udział w nagraniach i bezinteresownie – w koncertach. Nazwali się Catholic Artists for Relief. Ich wysiłek został doceniony między innymi przez jury Unity Awards – katolickich nagród przyznawanych najlepszym artystom, kompozytorom, twórcom teledysków i filmów. W zeszłym roku otrzymali nagrody w dziesięciu kategoriach. Wśród nich za: piosenkę roku, teledysk i wydarzenie roku.

Katrina Rae, jedna z inicjatorek Catholic Artists for Relief, wzrusza się wspominając 11 września 2001 roku. Przyznaje, że wielu Amerykanów zadawało sobie pytanie, jak pomóc pokrzywdzonym, jak pomóc rodzinom ofiar, jak zademonstrować swoją solidarność i współczucie. To dlatego katolicy artyści nie wahali się zaangażować w tę inicjatywę. Są w stałym kontakcie z Pentagon Survivors Fund, by upewnić się, że fundusze ze sprzedaży płyt i kaset video docierają do rodzin ofiar zamachu w Pentagonie. „Pieniądze to nie wszystko” – dodaje Katrina – „musimy pamiętać o nich także w modlitwie, bo tę może zaoferować każdy, nawet biedny, albo oddalony o tysiące kilometrów”.

Piosenka „You Are Not Alone” jest emitowana w niemal tysiącu amerykańskich stacjach radiowych i stu kanałach telewizyjnych.

Patrycja Michońska

zdjęcie z archiwum autorki



W dniach 27-29 czerwca w Budapeszcie odbył się Festiwal Uwielbienia pod nazwą „Ez az a Nap” czyli „Oto jest Dzień”, podczas którego wystąpili muzycy chrześcijańscy z całego świata. Po raz pierwszy zagrał też zespół Good Religion.

Na festiwalu dominowała muzyka w klimacie spokojnych nurtów rockowych i gospel. Wystąpiły grupy: Jesus revolution – Norwegia, Testvérek – Węgry, Amaro Del – Ukraina, Noel Richards – Wielka Brytania, Graham Kendrick, Sue Rinaldi – Wielka Brytania, David Boyd – USA, Good Religion – Polska.

Od pięciu lat zespół organizujący „Oto Jest Dzień” stara się stworzyć serię imprez, w trakcie których odbywają się: programy sportowe, zajęcia dla dzieci, uwielbienie przez 24 godziny, występy zespołów węgierskich i zagranicznych oraz 150 wystaw w Hali EXPO. Wszystko w jednym duchu głoszenia Ewangelii. Osobą wspierającą to dzieło jest Noel Richards, który w 1997 roku zorganizował koncert na stadionie Wembley, na którym zjawilo się 45 tysięcy ludzi. Na obecnie organizowanych w Budapeszcie imprezach chciałby zgromadzić co najmniej 70 tysięcy. Zespół Good Religion zagrał w zastępstwie 2 Tm 2,3, który musiał odwołać swój przyjazd. Jednak nie powinniśmy się wstydić tej reprezentacji, gdyż ich występ wypadł bardzo dobrze. Dla publiczności węgierskiej okazał się istnym szokiem, gdyż chwalenie Pana w rytmach muzyki hard core i reggae nie jest znane na Węgrzech.

Good Religion zagrał trzy koncerty – jeden na Festiwalu w Budapeszcie, a kolejne, przygotowane przez polskiego Franciszkanina Pawła Cebulę, w Eger i Miskolcu. GR koncertował wraz z węgierską grupą Testvérek. Publiczność żywo reagowała, zwłaszcza gdy zespoły wspólnie z nią wykonywały utwór „Jezus Chrystus moim Panem” po polsku i węgiersku. Zjeżdżając ze sceny muzyków i tancerz z publicznością był przejawem jedności, jaka nagle dała się wyraźnie odczuć. Ujawniła się tu jednak nie tylko sympatia polsko-węgierska, ale nasze wspólne „obywatelstwo w Niebie”. Kiedy śledziłem przebieg koncertu i towarzyszyłem polskiej grupie, mój sceptyczny stosunek do sceny muzyków – chrześcijan uległ zmianie. Dziś jestem przekonany, że istnienie tego rodzaju zespołów i ich muzyki czemuś służy. Bóg może w każdej chwili przyjść ze swoją mocą i postąpić się nimi ku swojej chwale. Pan poprzez Good Religion pokazał prawdziwie dobrą religię. Obserwowany na świecie kryzys wiary dotyka również Węgry, a tamtejsze kościoły świecą pustkami. Inicjowanie tam takich koncertów jest więc bardzo potrzebne. Organizatorzy zamierzają w przyszłości nawiązać współpracę z polską sceną muzyków chrześcijan, a występ Polaków już zbudował pomost temu służący. Wszystko jest na dobrej drodze, aby Budapeszt w przyszłości stał się stolicą muzyków chrześcijan Europy – środkowowschodniej. Tym bardziej, że wspólny język coraz częściej znajdują wierni katolicy i protestanci. Przełomowym momentem w dialogu ekumenicznym na Węgrzech był sylwester 1997 roku. Wierzący z tradycyjnych i małych kościołów wyrazili wtedy pragnienie jedności i symbolicznie podarli ścianę zbudowaną z podejrzeń, plotek, strachu i osądzeń.

Paweł Filipiak
fot: Tomasz Mielcarz



Najbardziej prawdziwe są piosenki, które gramy na koncertach

Wywiad z **Robertem Ruszczakiem**

z grupy **Czterdziestu Synów i Trzydziestu Wnuków jeżdżących na Siedemdziesięciu Ośmiu Osiłkach**

Pojawiła się właśnie wasza nowa płyta, zatytułowana „Jest takie miejsce”. Kto jest jej wydawcą?

Wydawcą tej, jak i poprzedniej płyty jest Dom Wydawniczy RAFAEL z Krakowa. Przy okazji, na łamach Magazynu Muzycznego RUaH, chciałbym podziękować gorąco Tomkowi Balonowi za zaufanie po raz kolejny.

Gdzie i kiedy nagrywaliście płytę?

W Studio Politechniki Wrocławskiej i wrocławskim studio „ZACHAN”, wcześniej znanym jako „MIX – Studio Dźwięku”. Nagrania realizowali – Romek Bolejko z Politechniki i Maciek Błachnio z „ZACHAN-a”. Ten ostatni zajął się również zgraniem śladów i zrobił mastering płyty. Materiał rejestrować zaczęliśmy pierwszego dnia wiosny (21.03!), a usłyszeliśmy go w całości w Dzień Dziecka (1.06.2003). Maciek jest bardzo dobrym i bardzo dokładnym realizatorem. Jesteśmy stosunkowo młodym zespołem, z niewielkim doświadczeniem studyjnym i on bardzo nam pomógł zapanować nad całością.

Jak wyglądała praca nad materiałem?

Tym razem postaraliśmy się lepiej przygotować do nagrania. Zdecydowanej większości materiału poświęciliśmy dużo czasu na próbach, żeby ostatecznie pozamykać aranże. Materiał ten mieliśmy też dość porządnie ograć na koncertach. Skorzystaliśmy jednak z możliwości, jakie daje studio i w niektórych piosenkach dodaliśmy więcej wokali, przeszkadzajek, gitar i fujarek, co nie jest możliwe podczas grania na żywo. Całość, podobnie jak na pierwszej płycie,

nagrywaliśmy maksymalnie na żywo – gitary, bas i jeden bęben rejestrowane były jednocześnie. Później dogrywaliśmy do tego resztę. Chcieliśmy przez to zachować jak najwięcej emocji i spontaniczności.

Czym, twoim zdaniem, nowa płyta różni się od pierwszej? Co nowego można na niej usłyszeć?

Trudno jest mi to ocenić, bo granie w zespole to swego rodzaju proces. Nie wiadomo, kiedy przestaje się grać coś jednego, a zaczyna drugiego. Chyba, że jest się zaprogramowanym na modę, wtedy można to wszystko przekalkulować. My, chyba od początku naszego istnienia jako zespół, gramy „swoje”. Obecnie wydaje mi się, jesteśmy trochę swobodniejsi w aranżowaniu utworów i w ogóle w samym graniu. Jednak mocne określenie, co jest nowego na nowej płycie i stwierdzenie, co ją różni od pierwszej wolałbym zostawić recenzentom. Mam nadzieję, że płyta zostanie przyjęta ciepło.

Jak powstawały piosenki?

Na płycie znajduje się 14 utworów w tym 7 piosenek mojego autorstwa. 4 napisał Marcin Oleksy, 3 – mój brat Andrzej (debiut autorski!). Muzykę do „Łaska Twoja, Panie” napisaliśmy wspólnie – cały zespół. Piosenki moje i Marcina nawiązują do kompozycji z pierwszej płyty, piosenki Andrzeja balansują pomiędzy uwielbieniem („Spotkanie z...”) a muzyką trochę ostrzejszą („Efraim”, „Obiet-nica”). Wszystkie one, jak zwykle, wychodzą z naszych wnętrz. Trudno to opisać, po prostu czasami coś się zaczyna grać i już jest piosenka, a czasami jakiś temat lub tekst długo pałęta się po głowie, aż w końcu przybiera kształt konkretnej kompozycji.

Ostatnio dużo gracie. Opowiedz o ciekawszych waszych trasach lub koncertach...

Bardzo mocne doświadczenia mieliśmy ostatnio w lipcu podczas naszej wyprawy na Wschód. Zostaliśmy zaproszeni na Białoruś przez pracującego w Witebsku dominikanina, ojca Bronisława, do zagrania kilku koncertów w tym mieście. Już droga i przeprawa przez granicę to opowieść, która mogłaby zająć kilka stron, ale najważniejsze w tej podróży były spotkania z ludźmi. Witebsk to pustynia duchowa, Kościół i wiara przez lata niszczone były tam przez komunizm. Jeszcze w latach 80. buldożery zrównywały z ziemią świątynie. Miasto nie należy do małych, a w czterech tylko parafiach pracuje tam kilku duchownych i siostr zakonnych. Cała impreza odbywała się pod hasłem „Bazar Słowiański”. Zagraliśmy tam trzy koncerty, poza tym braliśmy udział w ulicznej ewangelizacji i spotkaniu z młodzieżą w kaplicy – też dość porządnie. Wszystko w ciągu dwóch dni. Pierwszy koncert graliśmy na imprezie zdominowanej przez wyznawców Kriszny. Cała obsługa sceny, akustyki i część widowni ubrana była w tuniki, scena przystrojona ich symbolami, wokół placu mnóstwo stoisk z ich ozdobami, jedzeniem itp... W czasie naszego koncertu kleryk, który się nami opiekował, tłumaczył nasze wypowiedzi i komentarze do piosenek, a ojciec Grzegorz, pracujący tam oblat, powiedział świadectwo i zaprosił ludzi na modlitwę do kaplicy znajdującej się w niewykończonej hali sportowej. Później występowaliśmy na jednym

z głównych miejsc miasta, na wielkiej betonowej scenie (nagłośnienie z lat 50., brak prądu na scenie, tylko 4 mikrofony, gniazdko do podłączenia gitar na „piątki”!). Jakoś zdołaliśmy się podpiąć i zagraliśmy. Wieczorem czekał nas koncert na przeglądzie młodzieżowych zespołów rockowych – i tutaj była jazda! Na początku, kiedy zobaczyliśmy młodych w skórach, niekoniecznie trzeźwych, chcieliśmy zrezygnować, ale Duch Święty poprowadził nas inaczej i przełamaliśmy się. To był najbardziej rockowy koncert ze wszystkich, jakie dotychczas zagraliśmy. Po każdym z wymienionych występów podchodzili do nas radośni ludzie informując nas, że też są katolikami, niektórymi Polakami. Miałem wrażenie, że muzyka była tam najmniej ważna. Najistotniejsze, że mogli spotkać młodych ludzi, którzy przynajmniej się do Chrystusa. Oni czekają tam na takie świadectwa, na świadectwa ludzi, którzy spotkali ŻYWEGO BOGA. Korzystając z okazji, proszę wszystkich o modlitwę za ten młody białoruski Kościół i jeśli tylko ktoś, jakiś zespół lub wspólnota poczuje, że mogłaby tam pojechać, to nie zastanawiajcie się, tam trzeba zanieść CHRYSSTUSA.

Jeśli chodzi o inne wydarzenia, to rzeczywiście dużo koncertujemy. Staramy się nie odmawiać nikomu, kto nas zaprasza. W czasie koncertów znajdujemy się ponad metr nad ziemią – na wysokości serca, bo tam spotykamy się z innymi ludźmi, właśnie na płaszczyźnie serca. A w takim spotkaniu zawsze jest CHRYSSTUS.

Jak promowana będzie nowa płyta i jakie macie plany koncertowe na jesień?

Choć pierwsze egzemplarze płyty dostępne były już w wakacje, właściwa promocja zaczyna się właśnie jesienią. Naszymi patronami medialnymi są czasopisma RUaH i SEMESTR oraz portale internetowe KDM i WIARA. W gazetach i w Internecie ukazą się pewnie artykuły o nowej płycie, ale największą jej promocją będą koncerty. Piosenki, które na nich gramy, są najbardziej prawdziwe i przez to najlepiej trafiają do ludzi. Chcemy przez nie nieść ludziom Wiarę, Nadzieję i Miłość, i mam nadzieję, że słuchacze to w nich odnajdują. Jeśli chodzi o możliwość kupienia płyty, to jest to zawsze możliwe na naszych koncertach oraz w sklepach muzycznych, które zechcą nawiązać współpracę z naszym wydawcą. Także w sprzedaży wysyłkowej na stronach www.rafael.pl, www.ruah.pl, www.wiara.pl. Jesienią mamy zagrać kilka koncertów, m.in. w Bydgoszczy, Chorzowie, Wrocławiu i Nysie. Jeśli ktoś chciałby poznać szczegóły naszych planów na najbliższe miesiące, to zapraszam na stronę internetową www.40i30na70.kdm.pl

rozmawiał o. Andrzej Bujnowski OP
zdjęcie: Wojciech Piwnik

UWAGA: WARSZTATY TAŃCA

Drodzy Czytelnicy!

Organizowane przez Katolickie Centrum Kultury w Krakowie od sześciu lat Ogólnopolskie Warsztaty Tańca (z udziałem znakomitej tancerki Yary Kupper), o których informował RUaH, pokazały, że tematyka ciała w duchowości chrześcijańskiej wymaga osobnego wprowadzenia. Istnieje potrzeba duszpasterstwa (w formie dorocznych rekolekcji/spotkań) dla osób związanych profesjonalnie lub amatorsko z tą dziedziną sztuki. W związku z tym organizujemy kolejne Warsztaty Tańca (z Yarą Kupper), które odbędą się w Krakowie w dniach 7-11 listopada '03.

Te warsztaty-rekolekcje mogą stać się także okazją do wymiany duchowych doświadczeń z dziedziny tańca i podzielenia się inicjatywami podejmowanymi w tej dziedzinie w Polsce. Tegoroczne warsztaty będą poświęcone głównie tańcowi. Jesteśmy jednak otwarci, by w przyszłości objąć także inne formy scenicznej ekspresji. Ponieważ celem warsztatów jest także promocja tańca jako narzędzia przekazywania Dobrej Nowiny, w programie przewidujemy także spektakl, w trakcie którego zostanie przedstawiona m.in. przygotowana na warsztatach choreografia. Zapraszamy grupy, zespoły, diakonie zajmujące się scenicznym przekazem wartości chrześcijańskich, aby swoją obecnością oraz świadectwem wsparły naszą inicjatywę. Może to być ważny krok w otwieraniu się Kościoła na nowe – nieco zapomniane – formy modlitwy i ewangelizacji.

Marta Libura

Informacje o Warsztatach:

Koszt: 180 zł + koszt noclegów (10 zł/ noc)
Istnieje możliwość **zniżki** przy zgłoszeniach grupowych (powyżej 6 osób). Bezwrotną zaliczkę w kwocie 80 zł prosimy przysyłać na konto KCK w Krakowie: BPH PBK III o/Kraków 10601406 – 320000221147

z dopiskiem: **Warsztaty Tańca**

Dodatkowe informacje: DCI, ul. Wiślna 12a, Kraków tel. (+12) 430 20 10 (dni robocze 10.00-17.00), 0501 254 877 (od 1 września) alibura@poczta.onet.pl



ILUMINACJE

z liderem Pneumy, Kubą Mańkowskim,
rozmawia Grzegorz Waclaw `Dziki

Witaj, Kuba! Może przedstawiś się szerszemu gronu czytelników na wypadek, gdyby nie wszyscy okazali się waszymi fanami?

Pewnie się tacy znajdują. Cóż by tu oryginalnego wymyślić? Jestem Kuba z domu Mańkowskich, jestem z zespołu muzyczno – wokalnego Pneuma i mam ładny charakter pisma...

Opowiedz o samych początkach zespołu.

To było jakieś 6 lat temu, zespół powstał, jak mi się dziś wydaje, za sprawą Ducha Świętego. Początki były, delikatnie mówiąc, dramatyczne. Było nas dwóch, wszystko szło nie tak, jak byśmy chcieli, nie było mowy o koncertach, a co dopiero o płycie. Z czasem wszystko nabierało kształtów i udało nam się dojść do sytuacji, w której nie byłem w stanie zapamiętać imion wszystkich tych, którzy w tym zespole grali. Jak więc widzisz, obfitość, jednym słowem....

Co w twoim przypadku, stało się iskrą do powzięcia decyzji o założeniu kapeli?

To jeszcze zależy, jakiej. Ja już wcześniej trochę grałem. Od 93/94 roku – całkiem aktywnie koncertując, i jak się zapewne domyślasz, chciałem błyszczeć i być docenianym za to, co robię. Potem przyszedł czas na Pneumę, która powstała po którymś Ludźmierzu. Usłyszałem wtedy, że talent, który dostałem, ma być na użytek Tego, który mi go dał. I jakoś to idzie po dziś dzień..

Co zadecydowało, że słowo greckiego pochodzenia wybraliście na imię gdańskiej kapeli?

To był pomysł Artura, który już nie jest perkusistą Pneumy. Ja (jak zwykle) nie chciałem się na taką nazwę zgodzić, bo to nie był mój pomysł – muszę mieć wszystko pod kontrolą. Jakoś to jednak przeszło i dzisiaj jestem szczęśliwy, że tak się stało.

Z tym zespołem jest tak, jak z fragmentem z Pisma, z którego ta nazwa pochodzi – nie za bardzo wiemy, dokąd idziemy i co z nami będzie, a tego już moja „kontrolująca” natura nie znosi.

Jak to było z nagraniem pierwszej płyty?

Pierwsza płyta to przede wszystkim szok spowodowany faktem, że... pierwsza płyta!!! W studio byliśmy zawinięci strasznie, nikt nie wiedział, o co, że tak powiem, chodzi – jak nagrać, co nagrać, z jakim brzmieniem, no i się doigraliśmy. Było nas bardzo wielu, ciężko to było ogarnąć i tak szczerze to się cieszę, że płyta się sprzedała i że już jej nie można nigdzie dostać! Po płycie, paradoksalnie, zaczęliśmy grać bardzo dużo koncertów, a nie wszyscy mieli możliwość z nami jeździć. I tym sposobem na polu bitwy zostało nas trzech. Tak było do listopada 2001 r. Wtedy doznałem oślnienia i zagarnęliśmy do Pneumy Kruka – gitarzystę z ogromną wyobraźnią, jak wieść niesie.

Kruku, może ty powiesz, jakiego to oślnienia doznał Jakub, że wciągnął Cię do zespołu???

Kruk: Kuba dostał oślnienia? Na pewno tak. Skromnie mówiąc, zauważył mnie, grałem

w innych kapelach i co się później okazało, miał mnie na oku już wcześniej. W Pneumie już od jakiegoś czasu odbywały się narady i rozważania nad przyjęciem drugiego gitarzysty (podkreślam: nie był to casting, hi hi hi). Powiem szczerze – byłem fanem Pneumy, stojąc jeszcze po drugiej stronie sceny... Pewnego dnia zadzwonił do mnie Kuba i pyta, czy nie zechciałbym wskoczyć do zespołu na drugie wiostło. Ja oczywiście kazałem mu to powtórzyć jeszcze 33 razy zanim to do mnie dotarło, no i tak się stało. Może jeszcze skromnie dodam, że po dwóch tygodniach prób mogłem już zagrać z nimi koncerty, a teraz mamy na koncie razem nagrane dwie płyty. To po prostu potwierdziło, że się nadaję i odnajduję!!! Może dlatego, że oprócz zamilowania do ciężkich brzmień gitarowych jestem zagorzałym fanem Gwiezdných Wojen i fantastyki – tam zawsze słycać różne dziwne kosmiczne przestrzenie, zmutowane rozwiązania akustyczne i brzmieniowe.

Czyli co, najpierw Cię wciągnął do kapeli, a potem zadał Ci pracę domową do zrobienia?

Kruk: Powiem, że zawsze mnie to pociągało i kręciło, pewnie na tyle utkwilo mi w pamięci, że już od paru ładnych lat zajmując się muzyką gitarową, wykorzystuję moje dziwne eksperymenty gitarowe. Wiem, że na początku Kuba bardzo uważnie śledził ten mój wkład w muzykę Pneumy i wiem, że podobało mu się zawsze, gdy w naszych utworach dużo się działo. Mnie zresztą też, ponieważ uważam, że przez to są one ciekawsze i bardziej tajemnicze. Na „Kokonie” będzie te wszystkie płasy dźwiękowe słycać. Udało się nam skomponować naprawdę ciekawe utwory. Aranżacyjnie udało się połączyć naprawdę ciężkie granie z masą tych moich gwiazdnych dźwięków. Poza tym zawsze byłem maniakiem różnych efektów gitarowych, których, jak na kolekcjonera przystało, mam wiele – to mi pozwala odkrywać i kombinować jak koń pod górę.

Jak to się stało, że Artur, wasz perkusista, odszedł z zespołu tuż przed nagraniem trzeciej płyty? Kto go zastąpił (i czy też doznałeś iluminacji podczas poszukiwania jego zastępcy???)

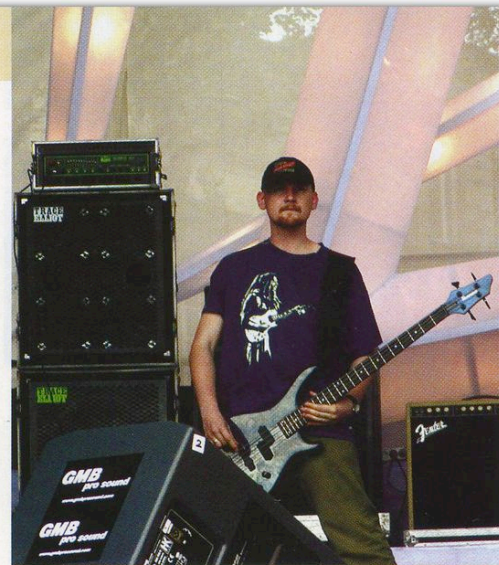
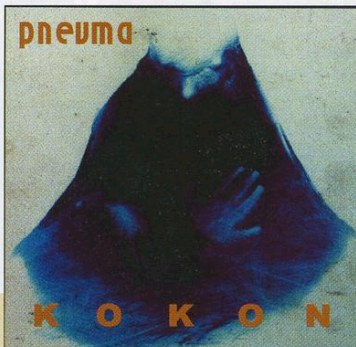
No cóż... przyszedł czas, w którym z niewiadomych powodów sytuacja i atmosfera w zespole zaczęła się zagęszczać, zrobiło się bardzo nieciekawie, i nikt nie wiedział, o co chodzi. Bywało tak, że w drodze na koncerty w busie panowała cisza. W takich warunkach zaczęliśmy przedprodukcję nowej płyty i było to koszmarnie doświadczenie. Czasem wracałem z prób do domu i pytałem: „Boże, co się tutaj dzieje, jak w takiej atmosferze

można coś wartościowego zrobić? Wierzę mi lub nie, byłem tym załamany. Wreszcie Artur odważył się z nami porozmawiać, powiedział o swojej decyzji odejścia z zespołu spowodowanej m.in. planowanym wyjazdem z kraju. Było też wiele innych czynników, ale wolę teraz o nich nie mówić. Faktem jest, że ta rozmowa miała bardzo oczyszczający charakter. Napisaliśmy razem siedem utworów i Artek nagrywając je w studio pożegnał się z Pneumą. Zostawił swój ślad na płycie... Dzwonił do mnie wczoraj z Londynu – pamięta o nas i jesteśmy w kontakcie. Grałem z nim przez ostatnie 8 lat i jest moim przyjacielem. To tyle. Zastąpił go niejaki T.yoy, były „techniczny” Pneumy, związany z nami od początku. Mało kto wie, że T.yoy grał w pierwszym składzie Pneumy, ale jakoś potem się wykruszył. To zresztą doskonale bębniarz. To, że na miejsce Artura wskoczył akurat T.yoy, było po pierwsze decyzją Artura właśnie, po drugie było czymś naturalnym – znaliśmy się i kumpłowaliśmy. To była świetna decyzja, w zespole panuje teraz atmosfera jak na przeglądzie kabaretów „Paka”...

Skoro o płycie mowa, oddaję Ci głos, czyli kto kiedy z kim i za ile.

Płytę zaczęliśmy nagrywać we wrześniu ubiegłego roku. Długo szukaliśmy studia, w którym można by dobrze nagrać perkusję. Znaleźliśmy studio „Jazz'n'java” niedaleko Gdyni. Mają tam super pomieszczenia i doskonale sprzęt. Tam zaczęliśmy też współpracę z Michałem „Myszą” Dominowskim, który jest współproducentem tego krążka. Stworzyliśmy razem producencki tandem – „MysiKikut”... Mysza ma totalny wpływ na wygląd tej płyty, to niesamowity koleś z głową nafaszerowaną nietuzinkowymi pomysłami na brzmienia i aranże, a na dodatek przyjaciel mojej żony z czasów ogólniaka. A przyjaciele mojej żony są moimi przyjaciółmi. Po nagraniu perkusji przenieśliśmy się do stolicy, gdzie przez 9 miesięcy nagrywaliśmy gitary, basy, wokale w najdziwniejszych wersjach. Teraz Mysza miksuje to wszystko i składa do kupy. A za ile...? Nie pytaj! Top secret! Premiera pewnie na początku października – jak Bóg pozwoli.

„Kokon” – skąd taki tytuł i w związku z



tym, co jest myślą przewodnią tej płyty?

Nazwę wymyślił Artur. Ja szukałem czegoś, co może być symbolem niewoli, która się kończy, prędzej czy później. Kokon nadaje się idealnie – jest ohydny i syfiasty, ale wychodzi z niego coś pięknego. Po blisko 70. koncertach, jakie zagraliśmy promując „Beraknę”, miałem taką refleksję (chyba iluminację – dopisek mój), że następna płyta ma być adresowana do ludzi, którzy nie chodzą na nasze koncerty, nie mają pojęcia o Bogu. My jesteśmy bandą grzeszników, ale mamy doświadczenie, że Bóg ratuje nasze życie i tym się chcemy dzielić. Chcemy dotrzeć wszędzie! Do każdego, kto tkwi w kokonie!

Oprócz grania w Pneumie zajmujesz się produkcją remiksów. Czym jeszcze nas zaskoczysz?

Remiksy zrobiłem dla Tymka, choć miałem nadzieję, że po tym dostanę jakieś kolejne propozycje... wciąż czekam. Ale mam co robić. Nie tak dawno skończyłem pisać muzykę do filmu „Wożonko” Abelarda Gizy, w którym to filmie zajmowałem się też dźwiękiem. Teraz robię muzykę do kolejnego filmu, no i piszę muzykę dla kabaretów, czasem do reklam. Realizuję też demówki młodym kapelom. Nie nudzę się.

Któraś z tych kapel jest godna polecenia?

Aktualnie pracuję z zespołem o nazwie Brepn nad ich pierwszym demo i jest to grupa którą warto usłyszeć – grają bardzo melodyjną muzykę, a o melodii dziś trudno. Mam nadzieję im pomóc koncertować tu i ówdzie. Czasy dla kapel są stosunkowo niewesołe, więc, jak to mówią – trzeba sobie pomagać....

Na płycie „Berakha” teksty generalnie szły według klucza Tymoteuszowego, tzn. cytaty bezpośrednio z Pisma. Jak będzie teraz, tzn. kto napisał teksty na płytę i czego one dotyczą?

Tym razem ja napisałem teksty. Pamiętam,



gdy kilka lat temu dużo koncertowaliśmy z Good Religion, mieliśmy pomysł z Gonkiem, żeby zrobić zespół, który w tekstach opisywałby spostrzeżenia człowieka starającego się iść za Bogiem i doświadczającego różnych rzeczy... Stwierdziłem, że najwyższy czas zrealizować ten pomysł. Teksty są bardzo osobiste, obnażyłem się tu i ówdzie. Niech każdy sam oceni.

To, co mnie osobiście zaskoczyło, to zaproszenie do udziału w dwóch numerach artystki znanej do tej pory raczej z łagodniejszego sposobu śpiewania? Zdradzimy, o kogo chodzi???
I skąd w ogóle ten pomysł?

No, można chyba powiedzieć. Chodzi o Violę Brzezińską (w której, po tym, jak zaśpiewała, podkochuje się ukradkiem cały zespół). Zaprosiliśmy ją z marszu, siedząc w studio. Ona po prostu przyszła i zmiażdżyła wszystkich tym, w jaki sposób zaśpiewała. Najpierw, żeby nie uciekła z reżyserki, puściliśmy jej balladę, potem coś mocniejszego, a na końcu utwory, w których miała zaśpiewać refreny. Delikatnie mówiąc, to nie są łagodne piosenki. No i Viola podeszła do mikrofonu i było po nas... Po prostu mistrzostwo świata, i tyle.

Co Viola mówiła na temat muzyczki, jaką zaprezentowaliście jej w reżyserce?

O dziwo, nie uciekła, nawet bardzo jej się podobało. Zaskoczyła mnie zupełnie wymieniając swoje ulubione zespoły z ciężkiej szuflady. Myślałem, że ona słucha tylko jakichś melodii gospelowych, a okazało się, że ma metalowe zacięcie.

Ha ha ha, to dobre, no to może namówicie Violę na nagranie całej płyty w takich klimatach??? **Planujecie wspólne koncerty?**

Zaproponowałem Violi, że napiszę dla niej jakieś piosenki, ale nie odezwała się jeszcze (już ja tego dopilnuję – dopisek mój). Myślałem o czymś spokojnym, ale Twój pomysł na coś mocnego, granego razem bardzo mi się podoba. Jeśli Viola by się zgodziła, to jak tylko zakończy się zamieszanie z nową płytą... jestem za, nawet bardzo!!! A co do wspólnych koncertów, w sensie Pneuma i Viola – tu jest trochę trudniej... Wiesz, organizatorzy

zdjęcia: Rafał Artych

raczej nie zapraszają nas i Saruela na te same imprezy. Do tej pory było tak chyba ze dwa razy... Ale jeśli się zdarzy, to będziemy szczęśliwi mogąc wystąpić z tą jakże utalentowaną wokalistką.

No właśnie, co z koncertami. Dużo ich gracie – z kim, jaki wspominasz najmilej a jaki zasłużył sobie na miano najgorszego?

Gramy raczej sami, ewentualnie z jakimiś miejscowymi zespołami. Ze znajomymi z innych kapel widzimy się raczej na dużych imprezach. Ale dużo grywamy z naszymi kochanymi przyjaciółmi z zespołu 3siostry zwanym przez nas 3 krosty. No, to teraz Marcinek mnie zabije... (a propos Marcinka – wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia!!! – dopisek mój.)

Kto będzie wydawcą płyty?

Płytę wydamy sami, bo po pierwsze, tak jest nam najwygodniej – mamy nad wszystkim pełną kontrolę, a po drugie i tak nikt by nas nie wydał...

Kto zajmie się dystrybucją?

W tej sprawie prowadzimy rozmowy, tak więc nic na razie nie powiem...

A teraz tajemniczy Don Pedro powie nam coś o swojej rodzinie – wspominałeś już o żonie, jak się poznaliście?

Moją żonę poznałem w kościele – byliśmy oboje kiedyś we wspólnocie Odnowy w Duchu Świętym. No i Duch Święty zrobił swoje... Właśnie się pokłóciliśmy, ale chcę powiedzieć, że bardzo kocham moją żonę.

Ja swoją żonę poznałem na rekolekcjach i też się z nią kłóczę. Często się kłócicie, Kikuty? Jak wy, jako chrześcijańskie (o ile ma to tutaj jakiegokolwiek znaczenie) małżeństwo radzicie sobie z pokonywaniem różnicy zdań?

Wydaje mi się, że gdyby zrobić jakąś statystykę, to jesteśmy normalnie kłócącym się małżeństwem. Wydaje mi się, że nasze spory są bardzo często wynikiem ogólnego zmęczenia (poczekaj, aż będziesz miał trójkę, szóstkę albo dziewiątkę dzieci – dopisek mój), a co za tym idzie, obniżonej cierpliwości. Ale co fakt, to fakt – mamy często odmienne zdania i niestety oczekiwania – mówię o sobie. Ja nie potrafię być bezinteresowny i mam nadzieję, że przyjdzie w końcu w moim życiu dzień, kiedy Chrystus da mi za darmo łaskę kochania mojej żony tak, jak ją i mnie kocha.

Czy właśnie dlatego jesteście w Neokatechumenacie?

Nasze małżeństwo jest systematycznie podtrzymywane przy życiu dzięki Słowu, którego dwa razy w tygodniu słuchamy we wspólnocie i mogę powiedzieć, że to dla nas jedyny ratunek, bo znam troszkę siebie i wiem, że bez wierności Bogu przepadnę...

Dzieci mata? Jak sobie radzi z nimi artysta tata?

Mamy dwóch małych rojbrów. Tobiasz ma prawie dwa lata i jest takim małym dynamitem, a Kacper ma 7 miesięcy i małym dynamitem będzie już wkrótce. Bóg zmienia moje postrzeganie świata dzięki mojej rodzinie. Mogę nawet powiedzieć, że uratował moje życie dając mi żonę i dzieciaki. A jak sobie radzę? Nie radzę sobie... Aktualnie jestem na etapie modlenia się o mądrość do wychowania tych dwóch urwisów. Pan Bóg bardzo mi zaufał powierzając mi w opiekę rodzinę...

Muzyka, kolejne płyty, żona, kolejne dzieci. Jaki jest według ciebie sens życia – Jakubie?

Odpowiem krótko – spotkać Jezusa Chrystusa i mieć w sercu zmartwychwstanie! Tak mi się przynajmniej wydaje.



nowy kwartalnik!

* SZTUKA SAKRALNA *

Jakub Żmizdiński

„Aby głosić swoje orędzie, które powierzył mu Chrystus, Kościół potrzebuje sztuki. Musi bowiem sprawiać, aby rzeczywistość duchowa, niewidzialna, Boża stawała się postrzegalna, a nawet, w miarę możliwości, pociągająca”. Jan Paweł II, *List do artystów*

Wśród wielu pism muzycznych ukazujących się na polskim rynku od lat istnieją dwa tytuły poświęcone twórczości w różny sposób inspirowanej tradycją chrześcijańską. Mam na myśli rewelacyjny „Canor”, po który sięga każdy pasjonat rozmiłowany w muzyce stworzonej przed Beethovenem oraz oczywiście „RUaH”. Natomiast ktoś, kto starał się dowiedzieć czegoś więcej o sztukach plastycznych bliskich przesłaniu chrześcijańskiemu, zmuszony był do przeszukiwania wielu, często specjalistycznych pism. Jakież było zatem moje zdziwienie, gdy niedawno w Empiku ujrzałem jeden z numerów „Sztuki sakralnej”.

Już po krótkim przejrzaniu tego świetnie wydanego pisma ma się ochotę zagłębić w jego lekturę. Kwartalnik ten powstał w Krakowie, jego początki przypadają na okres pobytu w Polsce Jana Pawła II w 2002 roku i do dzisiaj ukazały się 4 numery. Pierwsze pytanie, jakie nasuwa się podczas przeglądania artykułów, brzmi: do kogo to pismo jest skierowane? W podtytule „Sztuki sakralnej” widnieją bowiem tak różne dziedziny, jak: architektura, wnętrze, konserwacja, witraż, rzemiosło, techniki budowlane. A to jeszcze nie wszystko, znajdziemy tu bowiem artykuły o sztuce naiwnej, kapliczkach i krakowskich szopkach, o muzyce (duży blok o organach w nr 4) i mediach, fotografii, misteriach i miejscach świętych, a nawet o słowie (rozmowa z K. Globiszem). Nadto w każdym numerze umieszczone są fachowe porady odnoszące się do zabezpieczenia kościołów czy dokumentacji dzieł sztuki, ogrzewania podłogowego, zieleni wokół świątyń czy pokryć dachowych (niektóre stricte techniczno – budowlane teksty mogłyby się równie dobrze znaleźć np. w „Muratorze”). Spektrum tematów jest zatem ogromne. Odpowiedź na postawione powyżej pytanie znalazłem we wstępie do numeru 1, autorstwa znanego historyka sztuki, T. Chrzanowskiego: chodzi o szeroki krąg odbiorców, zarówno twórców, jak też zwykłych konsumentów sztuki, a żywić można także nieśmiałą nadzieję, że pismo trafi też pod plebanie i strzechy... Z lektury większości tekstów wynika, że autorzy stawiają sobie wielorakie zadania: wypełnić lukę informacyjną, prezentować rozwiązania i sztukę szczególnie udaną i twórczą, pobudzać do dyskusji. Na pewno pragną też edukować, ponieważ z wielu tekstów wyczytać można ogromną troskę o kształt świątyń i w ogóle współczesnej sztuki. Wiele miejsca poświęcono perlom tradycji polskiej – drewnianym kościółkom rozsianym po całym kraju i często niszczonej. Autorzy nie szczędzą też krytycznych uwag pod adresem architektury naszych czasów, jak to zwykłe ujmuje wspomniany już prof. Chrzanowski: *Ogluszająca brzydota zabudowy wiejskiej we współczesnej Polsce...*

Program pisma najlepiej wyrażają felietony ks. Nadrowskiego: priorytetem ma być architektura, ale chodzi również o malarstwo, rzeźbę, w ogóle o sztukę związaną z przestrzenią kościoła, głównie świątyń rzymsko – katolickich. Ks. Nadrowski sugestywnie kreśli wizję tworzenia klimatu sacrum, zwracając uwagę na ogromną rolę, jaką sztuki wizualne odgrywają w trakcie

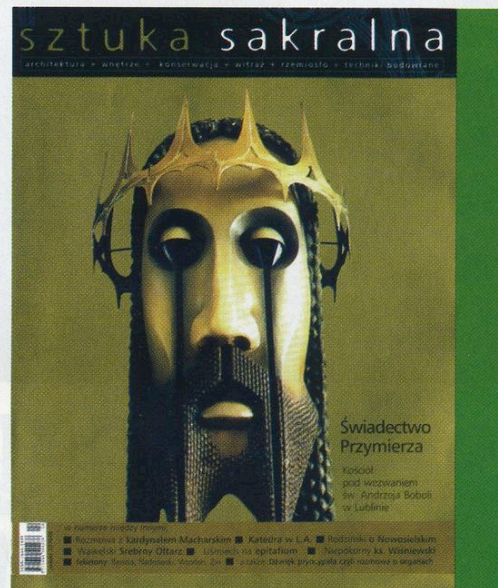
modlitwy, a szczególnie podczas liturgii. Jeśli za tworzenie świątyń i ich wystrój biorą się twórcy duchowo dalecy chrześcijaństwu, może dojść do wieloaspektowej desakralizacji, destrukcji gustów, pobożności i sumień wielu ludzi nawiedzających dany kościół. Może bowiem się zdarzyć, że artysta – miast wytwarzać atmosferę skupienia, sakralnej podniosłości i wyciszenia – wywołuje niepokój, grozę czy apatię.

Jaka winna być zatem sztuka sakralna? – winna mieścić się gdzieś pomiędzy dewocyjnym kiczem a postmodernistycznym eksperymentem, być zanurzona w tradycji, a zarazem na wskroś współczesna. Wiele tego rodzaju dzieł prezentowanych jest w piśmie: sanktuarium w Łągiewnikach, świątynia Maryi Królowej Niepokalanej Jutrzenki Wolności w Katowicach, kościoły projektu S. Niemczyka czy Świątynia Przymierza w Lublinie; malarstwo J. Nowosielskiego, S. Rodzińskiego i M. Luzara, rzeźby W. Kućmy i S. Dousy, witraże J. Bukowskiego, M. Kauczyńskiego, T. Stankiewicz i W. Lubosa, by wymienić tylko współczesnych polskich artystów. Ale znajdziemy także intrygujące prezentacje z Austrii, Francji, Hiszpanii czy USA, wiele dzieł z przeszłości przywróconych do życia po konserwacji, a nawet reportaże o ratowaniu mumii mniczów z krakowskiego kościoła p.w. Św. Kazimierza Królewicza.

Prezentowani artyści i ich dzieła w przeróżny sposób podchodzą do tematyki sakralnej. Niektóre przedstawione realizacje są na pewno kontrowersyjne artystycznie, jak np. kaplica tzw. pomarańczowej Madonny z Wiednia czy świątynie budowane według projektów F. Hundertwassera. Autorzy artykułów czasami wzbudzają się przed ostateczną ich oceną, pozostawiając ją czytelnikom.

Interesujące i potrzebne są na pewno teksty wprowadzające w świat ikonografii i symboliki, również muzycznej. Ogromną zaletą jest szata graficzna – zdaje się ona niekiedy nawet górować nad tekstem – wszakże autorami pisma są ludzie wrażliwi na obraz. Jest zatem miejsce na rysunki i świetne felietony W. Zina, a nawet na galerię fotograficzną prezentującą prace ks. Z. Pytla, obok recenzji wystaw i książek, a także reklam firm przeróżnej branży, od pracowni witraży do przedsiębiorstw budowlanych.

W tym wiele interesującym zestawie tekstów znajdzie dla siebie coś ciekawego i historyk sztuki i artysta plastyk, osoba duchowna i ktoś, kto nie mając pojęcia o sztuce i jej historii pragnie dowiedzieć się czegoś więcej o wnętrzach świątyń,



w których od dzieciństwa się modli i które zdążył mu już spowszednieć, a przecież często kryją mnóstwo treści, piękna i tajemnic.

Przed redakcją „Sztuki sakralnej” stoi wiele ogromnie interesujących, ale i trudnych wyzwań. Choćby wypracowanie spójnej poetyki tekstów, gdyż język niektórych artykułów bywa nadto akademicki, a niektóre wywiady są tak krótkie, że po ich przeczytaniu pozostaje jedynie niedosyt. Ponadto rozszerzenie tematyki o piosenki jeszcze nieporuszone (np. związki liturgii z architekturą i sztuką, czasowy wystrój świątyni itp.), prezentacja interesujących postaci artystów z różnych ośrodków Polski i innych krajów. Najważniejszy jednak zdaje się problem dotarcia do ludzi wrażliwych na sacrum w sztuce, a szczególnie do tych, od których zależą decyzje o budowie i wystroju świątyń, w których modlić się będą przez następne stulecia nasi potomkowie. W tej perspektywie, jak pisze ks. Nadrowski, myślenie i działanie „ulotne” staje się zagrożeniem. Jak ogromnej wagi jest to zagadnienie, przekonuje fragment ostatniej encykliki Jana Pawła II „Ecclesia de Eucharistia” (O Eucharystii w życiu Kościoła) – w rozdziale „Piękno celebracji artystycznej” czytamy: *Kościół nigdy nie uległ pokusie zbanalizowania tej „zażyłości” ze swoim Oblubieńcem. A zatem sztuka sakralna musi odznaczać się umiejętnością trafnego wyrażenia tajemnicy ujmowanej w pełni wiary Kościoła...*

We wrześniu ukazała się zremasterowana płyta zespołu Shomer Moniki Zytke. Znajduje się na niej 17 utworów, głównie tradycyjnych pieśni żydowskich i psalmów w języku hebrajskim, zaaranżowanych przez założycielkę zespołu. W nagraniu płyty gościnnie udział wzięli: Antonina Krzysztoń, Tomek Budzyński i Michał Kulenty.



foto: Jan Bujkowski

SHOMER

שוֹמֵר

reedycja

Kiedyś, jeszcze z chórem Sta Allegra, przygotowaliśmy kilka koncertów dla organizowanej przez Miejski Ośrodek Kultury w Koszalinie serii „Z muzyką przez świat”. Zapraszali różne „rdzenne” zespoły (pamiętam np. koncert cygański czy ukraiński), a jak nie było takiej możliwości, to zamawiali program u grup polskich, lecz odnajdujących się w danej stylistyce. Wystąpiliśmy tam dwa razy – z repertuarem *gospel – negro spiritual* i z muzyką żydowską. Potem, w 1998 roku pojechaliśmy w kameralnym składzie do Niemiec na koncerty, na zaproszenie Alexandra Willa. Program był przekrojowy – znalazło się tam trochę dawnej i obecnej muzyki polskiej, coś z Bacha i klasyków, a także z muzyki *gospel* i żydowskiej. I po pierwszych koncertach okazało się, że właśnie ten ostatni gatunek znajduje szczególnie odbiór, a też i my wyjątkowo dobrze się w tym obszarze czujemy. I tak powstał zespół SHOMER.

NA POGRANICZACH

Monika Zytke

Wybraliśmy na nazwę słowo hebrajskie, choć ta muzyka nie będzie jedynym programem zespołu. **Shomer** znaczy „Ten, Który strzeże”. To słowo zapisane w psalmie 121: „Nie zdrzemnie się ani nie zaśnie Ten, Który strzeże Izraela” – *Shomer Israel*. We współczesnym hebrajskim słowo to oznacza też... ochroniarza. I taka prawda, że tylko On może zapewnić nam w życiu bezpieczeństwo...

W roku 1999 w studiu Edwarda Sosulskiego nagrywamy płytę z tym materiałem. Pierwsza edycja, niestety niskonakładowa, przygotowana na koncerty w Niemczech, rozchodzi się błyskawicznie, potem zaczynają się schody. Schody, które wiedziały, którędy na górę... I długie były – czteroletnie... Oparte na starym przysłowiu, że jak nie wiadomo, o co chodzi... Znikąd

funduszy, znikąd wsparcia. Duże firmy fonograficzne stawiają nieuczciwe warunki, małe nie stawiają nic. Sponsorzy? Nie-Żydzi się nie podejmą, żeby ktoś nie pomyślał, że są Żydami, a Żydzi – żeby się nie wydało, że są... Najdziwniejsze jest to, że w tym samym czasie zbieramy bardzo dobre recenzje na temat tak płyty, jak i koncertów... A jednak do reedycji dochodzi dopiero teraz – jesień 2003 – tyle zajęło zaoszczędzenie na wydanie płyty. Lepiej późno niż wcale, miejmy nadzieję...

Na płycie znajduje się 17 utworów w moich aranżacjach, głównie oryginalne pieśni żydowskie i biblijne psalmy śpiewane po hebrajsku, czyli w języku, w jakim zostały zapisane po raz pierwszy. Śpiewamy w kwartecie (ASIA SKOWRON sopranem, ja altmem, AREK BIS tenorem i ROMAN DROZD basem).



Oprócz tego, instrumentarium nawet spore: SMYCZKI (Marysia Kozłów, Marcin Lorenc, Maciej Gniady, Darek Gutomski, Violetta Jakimcio), FORTEPIAN (Roman Drozd), GITARA (Ania Kabacińska), PERKUSJA (Bartek Janiak), FLET (Joanna Antolak), OBÓJ (Iwona Przybysławska) i KLARNET. Są też goście: ANTONINA KRZYSZTOŃ w pięknej pieśni sefardyjskiej, TOMEK BUDZYŃSKI w klimatach tym razem dalekich od Armii i MICHAŁ KULENTY – wirtuoz nie tylko jazzowego saksofonu,



ale i zupełnie klezmerskiego klarnetu. Jak widać, zaproszeni goście prezentują bardzo odległe od siebie światy muzyczne. To, że wszyscy tak wspaniale odnaleźli się na naszej płycie, potwierdza tylko fakt, iż muzyka żydowska jest dla Europejczyków muzyką korzeni. Muzyka Izraela z powodu wielowiekowego rozproszenia tego narodu po świecie nabrała niebywałych kolorytów. Na płycie mamy więc tradycyjną muzykę wschodu, hiszpańsko brzmiące utwory sefardyjskie w języku ladino (mieszanka hebrajskiego i hiszpańskiego) – *Eni'k Elohenu, Kos yeshu'ot*. Mamy coś ze wschodniej Europy, z harmonią zupełnie ukraińską (*Ivdu ivdu*) i utwory Żydów amerykańskich – *Roni Roni, Hodu l'Adonai*, wreszcie melodie chasydzkie. Nie obszedło się oczywiście

bez znanych wszystkim standardów – *Hava nagila* czy *Hevenu shalom*. Jeszcze przed pierwszym wydaniem płyty zaczynamy koncerty. Odbiór niesamowity – zawsze gorący i bardzo osobisty. Ale jednocześnie otwierają nam się oczy, ile jeszcze w Polsce antysemityzmu. Najsmutniejsze jest to, że większość najzagorzalszych antysemitów, jakich poznałam, nie zna osobiście ani jednego Żyda. Wszystko opiera się na stereotypach i obiegowych hasłach w stylu: „oni rozkradają Polskę”, „niszczą nam gospodarkę”, „a w senacie to same Żydy” itd. Znamienne jest jednak zdanie: „Ja nie lubię Żydów, ale przepadam za muzyką żydowską. To kiedy macie ten koncert?” Muzyka tu może być mostem. Gramy w bardzo różnych miejscach: w plenerze, w teatrach, w kościołach katolickich i protestanckich, wreszcie w synagogach. Śpiewamy po hebrajsku, wracając do korzeni Biblii i języka sprzed tysiącleci. Raz po koncercie w kościele podchodzi do mnie starsza pani i mówi, że była oburzona, słysząc zapowiedź „żydowskiej muzyki w świętym miejscu” i przyszła tylko po to, by nam nawymyślać. „Ale tu zrozumiałam, że w tej kwestii byłam w błędzie przez tak wiele lat”.

Ponownie zaprasza nas też na koncerty Alexander Will z Niemiec. Kiedy wychodzi nas zapowiedzieć, jest poruszony. „I tak oto Polacy śpiewają nam, Niemcom, w lutezańskim kościele pieśni żydowskie”. Mamy wrażenie, że przechodzimy przez jakiś wielki most.

W Koszalinie śpiewamy kiedyś z okazji dnia judaizmu i spotkania z Heleną Datner z warszawskiej gminy żydowskiej. Widzowie są pod wrażeniem jej otwartości i podejścia. Spotkanie ma miejsce w sali seminarium, na ścianie obok dekoracji (przyniesiono hebrajską Biblię, menorę i żydowski szal modlitewny) wisi krzyż. Ktoś zadaje pani Helenie pytanie o scenografię z wyraźną aluzją (a jest to czas ekscesów na zwirowisku w Oświęcimiu). „A, chodzi panu o krzyż? Mnie to nie przeszkadza...” Helena Datner dotknęła chyba sedna sprawy, pokazała złotą postawę w kwestii wszelkich różnic: „nie wierzę w to, nie rozumiem, nie interesuje mnie to, nie porusza. Ale NIE PRZESZKADZA”. Gdyby wszyscy na świecie to rozumieli, nie byłoby czystek etnicznych...

Takie spotkania mogą wiele zmienić w sposobie myślenia. Kiedy towarzyszy im muzyka, powstaje zupełnie szczególna przestrzeń sprzyjająca otwarciu się. A otwarcia tego potrzeba bardzo. Kto jest Polakiem, winien zdawać sobie sprawę, że ta muzyka jest i dla nas po części muzyką korzeni, będąc obecną tak silnie na naszej ziemi przez blisko osiem wieków, a co

zniszczył bezpowrotnie dopiero holocaust. Kto jest chrześcijaninem, winien pamiętać, że nasi Starsi Bracia w wierze mają szczególne miejsce w planach Najwyższego i że właśnie w ich języku Jego słowa zostały zapisane po raz pierwszy.

Tak, muzyka może być mostem ponad podziałami. Kilka lat temu poznałam w Paryżu Mili Havran, mieszkającą tam na stałe Amerykankę żydowskiego pochodzenia. Jej rodzice pochodzą z Polski i z Rosji, wyjechali do Stanów w latach 30. dwudziestego wieku, będąc jeszcze dziećmi, lecz zachowali swoją kulturę i wiarę. Mili była kilkakrotnie w Polsce. Rodzice nie mogli jej tego przebaczyć – dla nich jest to wciąż miejsce zagłady ich narodu, adres piekła na ziemi, gdzie noga uczciwego człowieka nie powinna już nigdy postać. Mili wysłała im płytę *Shomer*, jednak bez okładki, którą rzekomo gdzieś zapodziała. Rodzice, którym nagranie przypada do serca, pytają o wykonawców. Okładka przychodzi w następnym liście. *Polacy?? Nie, to niemożliwe*. A jednak... Mili potem mi powiedziała, że to był dla nich punkt zwrotny.

Tak zaś napisał mi inny Żyd polskiego pochodzenia, zamieszkały od lat w USA, Alex Lauterbach: „Podziwialiśmy autentyczność muzyki *Shomer*, znaleźliśmy w niej naszą duszę. Dla mnie, Żyda urodzonego w Polsce, wychowanego w polskiej przedwojennej kulturze, zakochanego w Sienkiewiczzu i wieszaczach, słuchanie tej płyty było przeżyciem”.

Takie głosy potwierdzają moje poszukiwania – nie chodzi o naśladownictwo. *Shomer* nie jest i nigdy się nie stanie zespołem klezmerskim. Oczywiście staramy się o czystość warsztatu muzycznego i języka, ale dodajemy nasze aranżacje i nasz odbiór tej muzyki. Jest to spojrzenie nieco z zewnątrz, ale chyba ubogacające całość. I pozwalające przejść ponad podziałami, a to często oznacza bycie na pograniczach...

Monika Zytke

zdjęcia zespołu: z archiwum Shomer



misterium uwielbienia (2)



foto: Jan Bujnowski

Uwielbienie przynoszące wyzwolenie

Piotr Płecha

Każdy z nas, dopóki żyje na ziemi, tęskni za pełnią wolności i zмага się w walce o nią. Czy uwielbienie Boga może przynosić nam uwolnienie?

Pewnego dnia apostoł Paweł i jego towarzysz Sylas popadli w tarapaty. „Zbiegł się tłum przeciwko nim, zdarto z nich szaty i bito różgami. Po wymierzeniu wielu razy wtrącono ich do więzienia, przykazując strażnikowi, aby ich dobrze pilnował”. To wszystko z powodu wierności Bogu i Jego woli (Dz 16, 16-26).

W naszym życiu bywa podobnie. Zdarza się, że atakują nas opresje i oskarżenia z powodu wierności Bogu. Zdarza się też jednak na odwrót – z powodu braku wierności Bogu popadamy w niewolę. Jesteśmy niewolnikami tego, komu dajemy posłuch – bywa, że grzechu (Rz 6, 16). Czasem też wcale nie wiemy, dlaczego popadliśmy w niewolę. Nie wiemy, skąd biorą się nasze kompleksy, słabości, zamknięcia, niestałość, choroby, smutek, zniechęcenie czy choćby brak wolności w modlitwie. Przechuwamy, że jest coś więcej, głębiej, i nie potrafimy tego doświadczyć. Tak czy tak, czujemy się oskarżeni przez tłum, odarci z szat, bici różgami i wtrąceni do więzienia. Wiemy, że diabeł wystawił straż, która skutecznie nas pilnuje i wszelkie wzdychanie za wolnością dzieci Bożych czyni bezskutecznym.

Apostoł Paweł i Sylas zostali wtrąceni do *wewnętrznego*, najgłębszego lochu (Dz 16, 24). Z takiego lochu nie ma wyjścia. Na dodatek *zakute im nogi w dyby*. My również czasem dotykamy tego, jak beznadziejnie głębokie są nasze rany. Niektóre nasze więzienia bywają tak wewnętrzne, że tylko my i Bóg wiemy o nich. Boimy się, że nawet ci, którzy nas kochają, odrzuciliby nas, gdyby dowiedzieli się, jacy naprawdę jesteśmy. Czasem wręcz sami przed sobą nie mamy odwagi przyznać się, jak głębokie jest nasze zniewolenie. Wtedy możemy doświadczyć, że i nasze nogi są jakby zakute w dyby – nie jesteśmy w stanie wykonać nawet jednego kroku w kierunku wolności.

O północy Paweł i Sylas modlili się..., śpiewając hymny Bogu (Dz 16, 25). Północ to czas ciemności, środek nocy – kiedy naprawdę nie widać wyjścia z sytuacji. Ale właśnie to jest odpowiedni czas, aby modlić się śpiewając hymny Bogu! Właśnie to jest doskonały czas,

aby uwielbiać Boga, który wyzwala (Ps 68, 21). To jest czas, aby z naszych ust zamiast lamentu płynęła pieśń uwielbienia dla Jezusa, któremu dana jest wszelka władza na niebie i na ziemi (Mt 28, 18), i dla Ojca, bez którego wiedzy nawet włos z głowy spaść nam nie może (Mt 10, 30). To jest czas głośnego, odważnego uwielbienia, nie jedynie w naszym sercu i umyśle, ale również na naszych ustach (Ps 149, 6). Paweł i Sylas śpiewali głośno, tak, że więźniowie im się przysłuchiwali (Dz 16, 25). Więźniowie nie mieli odwagi śpiewać. Ich obciążone sumienie nie pozwalało im. Przysłuchiwali się jednak temu, jak śpiewa Paweł i Sylas. Trudno nawet przypuszczać, że rozumieli, doceniali i podziwiali to, co ci Boży szaleńcy robili. Nie sądzę, aby ktokolwiek z nich wiedział, że właśnie to jest właściwy czas na uwielbienie Boga i że z każdym nowym dźwiękiem zbliża się czas wyzwolenia.

Nagle powstało silne trzęsienie ziemi, tak że zachwiały się fundamenty więzienia (Dz 16, 26). Nie zachwiały się jedynie ściany – zewnętrzne objawy więzienia, ale zostały wstrząśnięte fundamenty. Istnieją fundamenty naszych zniewoleń, chorób, depresji, grzechu, wszelkiej biedy. Te fundamenty – przyczyny są tak głębokie, że nawet my sami nie jesteśmy w stanie do nich dotrzeć. Rozbijamy się jedynie o zewnętrzne ich skutki, jak o ściany. Ciągłe na nowo, mimo podejmowanych prób – bezskutecznie. Uwielbienie ma jednak moc dotrzeć aż do fundamentów zniewolenia. Ma moc je zidentyfikować i wstrząsnąć nimi. Na skutek tego wstrząsu może w naszym życiu dokonać się zmiana identyczna jak w życiu Pawła, Sylasa i ich

współwięźniów: *ZE WSZYSTKICH opadły kajdany!* (Dz 16,26).

Trzeba jednak mieć wiarę i odwagę Pawła – uwielbiać Boga bez względu na pozorną beznadziejną sytuację i na opinie innych ludzi. Zaczniemy od odważnego śpiewania uwielbienia w naszym domu. To dopiero pierwszy krok, a jak czasem trudny... Wiemy jednak, że ten sam Bóg, który wyzwolił Pawła i Sylasa, wyzwoli też nas, a razem z nami wszystkich tych, którzy wspólnie z nami są w więzieniu i przysłuchują się zdziwieni naszemu uwielbieniu.

Natychmiast też otwary się WSZYSTKIE DRZWI (Dz 16,27). Bóg nie tylko uwalnia nasze nogi, abyśmy mogli swobodnie wyjść z więzienia, ale poprzez nasze zdesperowane wiarą uwielbienie, ufające wbrew zewnętrznym faktom, otwiera przed nami wszystkie drzwi, nawet te, które były zawsze zamknięte. Po doświadczeniu ciemności i ucisku przeżytym z wiarą, ufnością i UWIELBIENIEM, wprowadza nas w przestrzeń wolności, których nigdy wcześniej nie znaliśmy. *My sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, całą swoją istotą wdychamy oczekując przybrania za synów* (Rz 8,23). To wdychanie zaczyna znajdować zaspokojenie w uwielbieniu, które wprowadza nas do *Domu Pańskiego* – intymnego przebywania z Nim. Wtedy, *choćby stanął naprzeciw mnie obóz, moje serce bać się nie będzie; choćby wybuchła przeciw mnie wojna, nawet wtedy będę pełen ufności* (Ps 27,3). Dawid wiedział, że nie istnieje tak trudna sytuacja, by uniemożliwiła uwielbienie Boga. Wiedział też, że to uwielbienie sprawia, że Bóg *ukrywa nas w głębi swego przybytku* (Ps 27,5) – tam, gdzie trwa Jego obecność, diabeł nie ma już dostępu. Diabeł nie zna po prostu tego miejsca. Ono jest dla niego tajemne i niedostępne. My jednak jesteśmy tam zaproszeni, a przebywając tam, doświadczamy, że *głowa nasza podnosi się nad nieprzyjaciół, co wokół nas stoją* (Ps 27,6). Kiedy uwielbiamy Boga, żadna sytuacja nie może zapanować nad nami dlatego, że uwielbiając Go, poddajemy się Mu i opieramy się diabłu, który prędzej czy później musi od nas uciec, bo bardzo nie lubi przebywać w Bożej obecności (Jk 4,7). Zachęta Dawida, Pawła i Sylasa jest skierowana do każdego z nas: *ufaj Panu, bądź mężny, niech się twe serce umocni, ufaj Panu* (Ps 27,14). *Złóż w Jego przybytku ofiary radości, zaśpiewaj i zagraj Panu* (Ps 27,6) – tym głośniejsze, im trudniejsza jest sytuacja, w jakiej się znajdujesz. Wtedy doświadczysz, że Bóg naprawdę *uwalnia jeńców* (Ps 146,7), a Jego obecność wstrząsa fundamentami więzienia i otwiera wszystkie drzwi. ■



W maju zespół Saruel wydał swoją nową płytę poświęconą Matce Bożej, zatytułowaną „Miriam”.

Z szefem zespołu, księdzem Cezariuszem Cieszyńskim, rozmawia ksiądz Grzegorz Ułamek

Skąd pomysł na płytę poświęconą Maryi?

Często ludzie pytali, dlaczego Saruel nie śpiewa piosenek maryjnych, przecież to zespół katolicki. Odpowiadałem, że ewangelizacja to przede wszystkim głoszenie Jezusa... Ale przyszedł czas na pogłębienie również duchowości maryjnej, tym bardziej że Matka Jezusa nazywana jest „Gwiazdą Ewangelizacji”. Na przełomie 2002/2003 roku odbyłem wraz z Koordynatorem Salezjańskiego Ruchu Ewangelizacyjnego pielgrzymkę do Medjugorje, by modlić się za całe dzieło SARUEL. Tam ostatecznie zrodził się pomysł nagrania płyty poświęconej Matce Pana. Miał to być prezent dla Niej, a zarazem prośba o Jej opiekę nad całym dziełem.

Na krążku, obok znanych polskich pieśni maryjnych, pojawiają się dwie chorwackie pieśni związane z Medjugorje – „Gospa, Majka moja” i „Zdravo, Kraljice Mira”. Ponoć byliście ostatnio po raz drugi w Medjugorje. Macie jakieś nowe doświadczenia koncertowo-ewangelizacyjne z tej wyprawy?

Nasza ostatnia wyprawa do Medjugorje (maj 2003) nie miała charakteru koncertowo-ewangelizacyjnego. Pojechaliśmy tam z osobami związanymi od lat z naszym dziełem, by zadeklować Maryi nagrany już krążek z dwiema chorwackimi piosenkami, które trudno było nagrać bez odniesienia się do ich bałkańskiego pierwowzoru. Co do koncertów, to może się uda pojechać do Medjugorje na Festiwal Młodzieży. Na przyszły rok mamy również zaproszenie do Albanii. Kto wie, może i to zaowocuje nowymi pomysłami

muzycznymi. W grudniu 2003 prawdopodobnie pojedziemy znów na koncerty do Włoch.

Spotkałem się z opiniami słuchaczy waszych ostatnich płyt („Miriam”, „Pieśni naszych Ojców”), którzy twierdzą, że nowe aranżacje starych, popularnych utworów, śpiewanych w kościołach, w dobie powrotu do ich pierwotnych liturgicznych brzmień są bardzo kontrowersyjne i niekoniecznie odpowiadają charakterowi tych pieśni. Dlaczego wybraliście taki sposób prezentacji „pieśni naszych ojców”? Czy nowoczesne brzmienia zamiast pomagać, nie przeszkadzają?

Ideą nagrania „Pieśni naszych Ojców” było ukazanie piękna bogatej tradycji Kościoła. Czerpiąc z tego skarbcza, chcieliśmy stworzyć aranżacje na miarę naszych czasów. Nie uważamy, że są one kontrowersyjne. Nie spotkał się też z takimi opiniami ze strony słuchaczy. Przeciwnie, taka forma pomaga ludziom dostrzec głębię teologiczną tych utworów, często przyćmiewaną spowszedniałymi i niedbalymi wykonaniami, do których niejednokrotnie jesteśmy przyzwyczajeni. Oprócz Violi Brzezińskiej, od czasu nagrywania tej płyty jako solista śpiewa z nami również Adam Rymarz.

A co z waszym teledyskiem do piosenki „Nie bój się”, który w kwietniu nagrywaliście w Teatrze Roma? Gdzie można go zobaczyć?

Teledysk jest już zrealizowany. Nie mam jednak danych, kiedy będzie odbywać się jego emisja. Fragmenty tego teledysku można zobaczyć na prezentacji multimedialnej znajdującej się na płycie „Miriam”, a sam teledysk będzie zamieszczony na naszej najnowszej płycie (jeśli TVP wyrazi na to zgodę).

Jednocześnie z powstawaniem płyty „Miriam” przygotowawaliście materiał na kolejną płytę ewangelizacyjną. Co się na niej znajdzie? Macie już jej tytuł?

W tym czasie przygotowaliśmy również materiał, który zatytułowaliśmy „UWAGA, częste słuchanie grozi nawróceniem”. Znalazły się na nim trzy nowe piosenki nagrane na żywo w Teatrze Muzycznym Roma w Warszawie, jak i 9 piosenek z naszych czterech poprzednich płyt oraz wspomniana już prezentacja multimedialna o Saruelu (wypowiedzi artystów, fragmenty koncertu). Chcemy tę płytę dodawać jako dodatek do czasopism, które wyrażą taką chęć, a także sprzedawać ją na koncertach za symboliczne 5 zł. Ta płyta ukaże się we wrześniowym numerze magazynu „Don Bosco”. Poza tym pracujemy nad naszą najnowszą produkcją, która zostanie wydana na wiosnę 2004 roku. Znajdą się na niej nowe piosenki, które wykonujemy na koncertach od dwóch lat. Tytułu tej płyty jeszcze nie ma. ■



jest w muzyce wiele hipokryzji

z Nate Mendelem z

FOO FIGHTERS

rozmawia Piotr Iwicki

SPECJALNIE
dla RUaH!

Historia rocka nie zna zbyt wielu wypadków, kiedy muzyk spełniający się w jednym zespole jako perkusista, tworzy własny band, w którym bryluje w roli gitarzysty i wokalisty. Ten scenariusz znakomicie wpisał się w życie Dave'a Grohla, charyzmatycznego bębniarza nieodżałowanej, legendarnej Nirvany, dzisiaj niekwestionowanego lidera popularnej formacji Foo Fighters. Krytycy w opiniach są niemal jednomyślni – Grohl zarówno w starej, jak i nowej roli jest mistrzem. Potwierdza to najnowszy album Fightersów, „One By One”, który szybko stał się światowym bestsellerem, a piosenka „All My Life” trafiła na szczyty list przebojów. Jak zwykle w wypadku Foo Fighters, teksty są wypadkową przeżyć Grohla, czyli człowieka, który zaliczył w swoim życiu zarówno psychiczne, jak i prawne zakręty. Warto jednak wspomnieć, że na tle wcześniejszych dokonań nowy krążek jest najbardziej demokratycznym w toczącej się od 1995 roku historii grupy. Sama zaś historia bandu naznaczona jest licznymi sukcesami i spektakularnymi koncertami, poczynając od płyt platynowych po nagrody MTV. Człowiekiem, który w całej tej drodze towarzyszył liderowi, jest Nate Mendel, basista znany m.in. z gry w Sunny Day Real Estate. Warto wspomnieć, że u boku tego tandemu grał u zarania jeszcze jeden członek SDRE, perkusista, William Goldsmith. Dzisiaj na jego miejscu zasiada wieloletni perkusista Alanis Morissette, Taylor Hawkins. Kwartetu dopełnia gitarzysta, Chris Shiflett.

Piotr Iwicki: Choć jesteście zespołem, to i tak mówi się, że Foo Fighters to firma Grohla.

Nate Mendel: Myślę, że można tak by to mówić dotychczas, jednak nasz nowy album zdaje się być najbardziej demokratycznym w historii.

Sztuka i demokracja? To chyba się wyklucza. Demokracja to kompromis, a muzyka, zwłaszcza rock, kompromisów raczej nie uznaje!

Wiemy, że fani nadal traktują Foo Fighters jako zespół perkusisty z Nirvany. I tego nie zmienimy. Ale wiemy też, jak wiele wspólnej pracy, wolnej od dyktatu Dave'a, włożyliśmy w „One By One”. Inna sprawa, że my wszyscy wiele mu zawdzięczamy. Jednak w miarę upływu czasu rolę twórców nowego repertuaru coraz bardziej rozkładają się na wszystkich członków grupy. Ale przyznam, że każdy utwór jest jak dziecko, a dziecko ma jednego ojca. Najchętniej więc zabrzmi tutaj odpowiedź, że nad „demem”, czyli zarysem każdego tematu, pracowaliśmy razem, dodając co kto miał ciekawego do zaproponowania. Jednak ostateczny efekt zawsze może i nosi głębsze ślady wizji jednego z nas.

No i przy okazji zmieniło się trochę brzmienie.

Masz rację, jest chyba trochę ostrzejsze, bardziej gitarowe. Nic go specjalnie nie zmiękcza.

Ale przez to bardziej ukierunkowujecie się w stronę czysto rockowego odbiorcy, ta popowa część wam odpadnie.

Myślę, że to nie tak. Nasza muzyka zawsze była rockiem, jednak sposób, w jaki go podawaliśmy, mógł przypadać do gustu tym, którzy raczej od ostrej muzyki stronią. Myślę jednak, że o ile w zespole zaistniała tendencja ku bardziej kolektywnym decyzjom, mówię tutaj o szukaniu wspólnej wizji, o tyle samo brzmienie, uczynienie go bardziej drapieżnym, to bodaj stuprocentowo jednomyślna koncepcja. Wszyscy tego chcieliśmy. No i jak widać, nie pomyliliśmy się. Ale dodam, że nie chcemy szukać czy eksperymentować, chodzi nam o zwrot ku klasycznemu rockowemu brzmieniu. Na brzmienie wielki wpływ mieli też Nick Raskulinec i mistrz konsolety, Adam Kasper. Giganci!

Nad samym materiałem pracowaliście bardzo długo.

Długo i z przerwami, niektóre piosenki miały już swój zarys niemal trzy lata temu. W czasie samej produkcji albumu też mieliśmy długie przerwy, głównie za sprawą indywidualnych przedsięwzięć Dave'a. Ale to tylko dobrze zrobiło materiałowi. Dojrzał, my z czasem nabieraliśmy dystansu do wielu rzeczy. To dobrze robi, odłożyć coś na kilka chwil i wrócić do tego ponownie. Czasami te szczegóły, nad którymi upierałeś się, przestają mieć znaczenie. Przyjmujesz argumenty innych, albo to oni przychylają się ku twoim wizjom. To jak w życiu, jednego dnia klócisz się, bo masz w sobie upór osła, reszta zaś jest przekonana o swoich racjach. Za tydzień wszyscy się z tego śmieją, bo to było jakieś nieistotne g... Nie warto na pierdoły tracić energii, lepiej spalić ją nad czymś twórczym, ciekawym, czymś, co porwie innych.

Na płycie pojawił się bardzo specjalny gość. Wszyscy w wywiadach potwierdzacie, że wywierał na to, co robicie, wielki wpływ.

Mówisz o Brianie Mayu?

Tak, mam na myśli gitarzystę legendarnej formacji Queen.

Istotnie, zagrał z nami w piosence „Tired”. Masz rację, uważamy, że ten facet jest dla nas kimś bardzo ważnym. Dzisiaj mało kto słucha starego dobrego Queen, tego ostrego, rockowego...

Ja słucham, Queen wyłącznie z przełomu lat 70. i 80., tak do połowy lat 80. To mój ulubiony zespół. Wówczas grali ostro.

Tak, ale dzisiaj w radiu usłyszysz tylko te nowsze kawałki, bardziej popowe, powiem wręcz, plastikowe. Gdy wróci się do ich starych nagrań, to nie sposób przecenić tego, co zrobił May. To mózg brzmienia Queen sprzed „The Game”. Potem nastąpiły wszystkie syntezatory, wiesz, rock się zmydlił, przynajmniej w kilku wydaniach. Nie ominęło to i ich. Ale u nas May wrócił do tego, co robił kilka dekad temu. Tchnął w „Tired” swojego ducha. Mistrz!

Kontrowersje budzi okładka płyty. Jedni mówią, że to zranione serce, inni, że jedziecie na grepsach w stylu „Biały album” Beatlesów. Inna sprawa, że wewnątrz okładki to samo serce cieką krwią.

Myślę, że o okładce więcej powiedziałby Dave. Sam mam wątpliwości, o co chodzi. Nawet kiedyś zadałem sobie pytanie, co miał na myśli, więc chyba nie jestem zbyt dobrym adresatem pytań, jeśli chodzi o wątpliwości co do okładki. Zadzwoń do niego albo do naszych wydawców. Ja ci nie więcej nie powiem.

A czy swoimi tekstami, muzyką, chcecie zmieniać świat? Macie jakąś misję, której motto wykrzykujecie w songach? Sam często mówisz, że aby coś komuś dać, trzeba najpierw w to samemu wierzyć.

Daj spokój, nie jesteśmy rewolucjonistami w stylu Rage Against The Machine czy Fugazi. Śpiewamy o rzeczach, które są ważne, ale nie chcemy zmieniać nikogo. W nas samych znajdziesz tyle samo dobrych, ile złych wspomnień, raczej możemy tylko przestrzegać. Absolutnie nie mamy zamiaru nikogo zbawiać, choć jeśli komuś w czymś pomagamy, albo gdy nasze teksty wzbudzą refleksję, to jest O.K. Bywa, że ktoś obudzi się z letargu, bo usłyszysz w piosence, że ona jest „o nim”. I taki kawałek poda mu rękę. Czasami nie pomoże wykrzykane „Stój, co robisz!”, ale wiele zdziałać może kilka słów: „Wp... się w to g...”, i bracie uważaj, abyś nie skończył jak ja”. Nasza głowa musi coś przetrawić sama, ludzie wołają, aby dać im szansę oceny, a nie dawać znaki czy pouczać, bo to przypomina działalność reklamową. A czy nasze teksty są drogowskazami? Nie chcę brać czyjś sumienia na swoje barki, każdy człowiek jest panem własnego losu. Ale gdy ktoś zmyli drogę, to powinno się mu jakoś pokazać, że popełnił błąd. To chyba nawet obowiązek, bo w przeciwnym razie będzie nas gryźć sumienie, że nie zareagowaliśmy, gdy był na to czas.

Rock w zasadzie zawsze był kontra. Wyrażał bunt. Czy czujesz się kimś, kto chce pokazać innym ciemne strony ich życia, przeciwstawić się jakimś aspektom naszej egzystencji?

Rock jest muzyką, która zarówno w warstwie muzycznej, jak i literackiej niesie ze sobą emocje. Plastikowe „bla bla bla”, to domena popu, czyli muzycznej konfekcji, która zmienia się, jak i gusta odbiorców, z roku na rok: dzisiaj tak, jutro tak, a pojutrze inaczej. Przemija. Rock, dzięki temu, że dotyka prawdziwych problemów, nie stroni nawet od najbardziej drażliwych tematów. Stąd muzycy rockowi nie boją się wykrzykiwać swojego gniewu czy wyrażać obrazę w stosunków do np. polityków. Owszem, jest w muzyce wiele hipokryzji, bo trudno wierzyć w antyglobalne teksty artystów, gdy sami są elementem wielkiego światowego show-biznesu, układanki wielkich koncertów muzycznych. Ale jeśli nie ktoś z rockowej sceny, to kto ma pokazać młodemu, jak dziwnie poukładany jest ten świat?

Dla wielu drogowskazem jest wiara.

Wielu nadużywa jej w muzyce, odwołuje się do swoich przeżyć religijnych, a potem czytasz o nich na pierwszych stronach brukowców. Myślę, że hipokryzja dotyka muzyki w takim samym stopniu, jak życia w ogóle. Z jednej strony piękne deklaracje, z drugiej kompletnie oderwane od nich życie. Tu ktoś kreuje się na niemal krystalicznie czystego człowieka, a potem okazuje się, że od lat bije swoją dziewczynę albo wciąga koks. Myślę, że prawość trzeba odnaleźć w sobie, a potem uczyć jej innych. Jednemu pomaga w tym wiara w Boga, innemu zwykłe ludzkie sumienie. Najważniejsze jest jednak to, aby nie ulec pokusie zbawiania innych, gdy samemu ma się wiele do zrobienia z własnym życiem.

W tym, co mówisz, odbija się jak w krzywym zwierciadle wielka część całego muzycznego biznesu.

Ty to powiedziałeś, ale w takich ocenach nie jesteś odosobniony. Yoko Ono powiedziała kiedyś Lennonowi w porywie gniewu, że jest tym, przeciwko czemu występuje. To samo można powiedzieć o wielu artystach. Głupota i arogancja ludzka to morze nie do przebrnięcia.

Uff! Zeszliśmy na trudne szlaki. Więc skończmy optymistycznie. Odwiedźcie nas?

Ten rok to tournée po Europie, może więc na naszej mapie znajdzie się jakiś punkcik w Polsce.

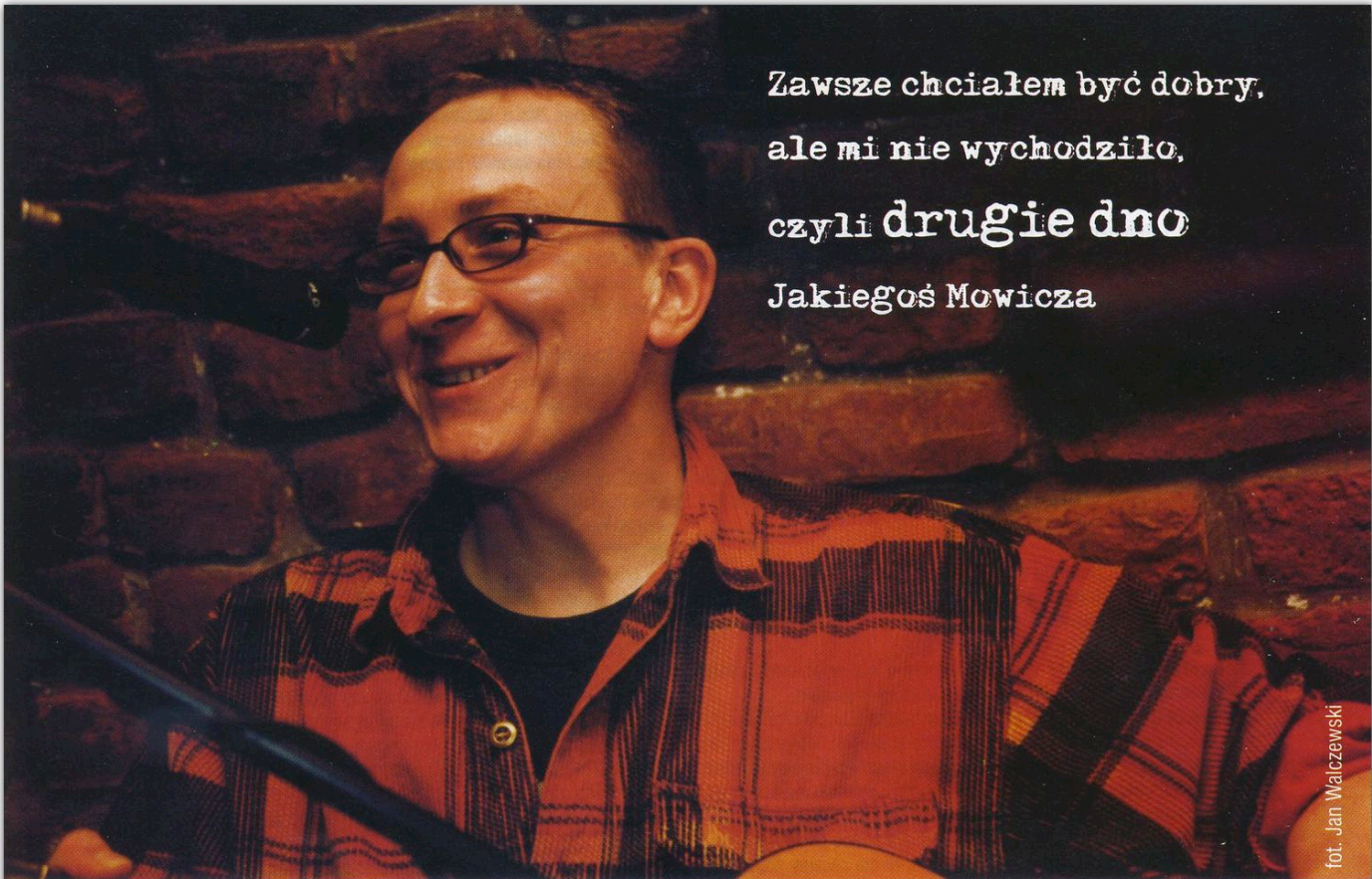


foto. Jan Walczewski

Zawsze chciałem być dobry,
ale mi nie wychodziło,
czyli drugie dno
Jakiegoś Mowicza

z Marcinem Jakimowiczem

rozmawia Cezary Sękalski

• Jesteś autorem czterech książek, jak byś siebie określił: dziennikarz, teolog? W końcu sprawy wiary zajmują w tych książkach pierwsze miejsce...

• Sam nie wiem, kim jestem. Wszystkie rzeczy w moim życiu dzieją się tzw. przypadkiem. W życiu nie napisałem żadnej książki...

• A wyszły już cztery... Teologiem nie jestem na pewno, bo nigdy tej dziedziny nie studiowałem, poza „chodzeniem na religię”, jak wszyscy (*śmiech*). Dziennikarzem tak, ale to też jest „przypadek”. Skończyłem prawo i parę lat temu w ogóle bym nie przypuszczał, że mógłbym cokolwiek napisać... Dopiero kiedy została wydana książka „Radykalni”, odkryłem, jak wielką moc ma słowo pisane. Wcześniej wydawało mi się, że żywe świadectwo ma o wiele większą siłę oddziaływania, a tu okazywało się, że ludzie czytali tę książkę i... Pan Bóg ich przez nią dotykał. Wtedy zacząłem notować liczne sytuacje, w których Bóg ingerował w moje życie i tak powstają kolejne moje książki. Zresztą, mówiąc szczerze, nigdy w życiu nie napisałem żadnej książki. Nigdy nie siadłem, żeby napisać książkę. Moje pisanie to krótkie teksty dla gazetki parafialnej, dopiero potem ktoś to zbiera i wydaje z tego książkę.

• Czym dla Ciebie była książka „Radykalni”?

• To był przełom w moim życiu. I to nie taki przełom, jak się może wydawać...

• ... że wcześniej jeździłeś „maluchem”, a teraz jeździsz mercedesem... (*śmiech*)

• (*śmiech*) Jeżdżę tramwajem. Nie dostałem za tę książkę ani grosza. Przełom polegał na czymś zupełnie innym: na zmianie mojego myślenia. Cała moja formacja religijna mówiła mi, że

• muszę robić dużo dobrych rzeczy, aby zasłużyć na niebo. To było podszewką całej mojej religijności. Nikt mi wcześniej nie powiedział, że słońce Boga świeci nad złymi i nad dobrymi. Mówiono mi raczej, że świeci nad dobrymi i nad złymi, i ta kolejność była dla mnie bardzo istotna. Najpierw idą dobrzy, a dopiero później, jeśli Pan Bóg będzie miał ochotę, zbawi złych. Podczas robienia wywiadów zaczynałem odkrywać coś zupełnie innego. Wcześniej wprawdzie czytałem Słowo Boże, ale ono do mnie nie docierało. A tu nagle spotykam „Dzikiego”, który potrafi przekonująco mówić o Ewangelii, choć jakiś czas temu, gdy widział księdza na ulicy, to spluwał trzy razy przez lewe ramię i przechodził na drugą stronę ulicy. Po ludzku nie miał prawa mi mówić takich rzeczy o Ewangelii. To był dla mnie szok. Zobaczyłem, że ludzie ci wcale nie są dobrzy, z punktu widzenia społeczeństwa są bardzo źli, a mimo to Bóg ich dotyka i daje im swą uzdrawiającą miłość. Ja zawsze chciałem być dobry, nigdy jednak nie doświadczyłem czegoś takiego, jak oni. Zacząłem się zastanawiać, czy aby to, co dotychczas robiłem, nie było próbą przekupywania Pana Boga... Ile w tym było prawdziwej miłości? Ile tęsknoty?

• Czy to nie paradoks, że właśnie neofici stali się dla Ciebie najlepszymi „katechetami” a nie ci, którzy wydawałoby się, od lat z tym Panem Bogiem żyją? Przecież ci muzycy rockowi nie kształcili się w teologii, więc po ludzku, co mogliby powiedzieć o Bogu?...

• Różnica była zasadnicza. Kiedy wieczorem „Dziki” u siebie w domu opowiadał mi, jak był egzorcyzmowany w zakrystii, to ciary przechodziły mi po plecach. Wcześniej spotykałem ludzi, którzy dużo wiedzieli o Bogu, ale kiedy o Nim mówili, nie było we mnie żadnej reakcji. A tu spotkałem nie jeszcze jednego

faceta, który czytał książkę „Krzyż i sztylet”, opisującą, jak Bóg działa na ulicy 66. w Nowym Jorku, ale kogoś, kto opowiedział mi, jak został z niego wyrzucony szatan. Niedawno i niedaleko. Takich rzeczy nie słyszy się co dzień. A 'Dziki' mówił to w taki sposób i tyle było w tym emocji, że wiedziałem, że nie udaje. To, co usłyszałem, zostanie we mnie do końca życia. Rzadko spotykam świadków.

O. Emiliano Tardif mówił kiedyś: Nie szukajcie cudów na wykładach z teologii, bo tam broni się Pana Boga argumentami. Cuda pojawiają się tam, gdzie ludzki rozum nie wystarcza...

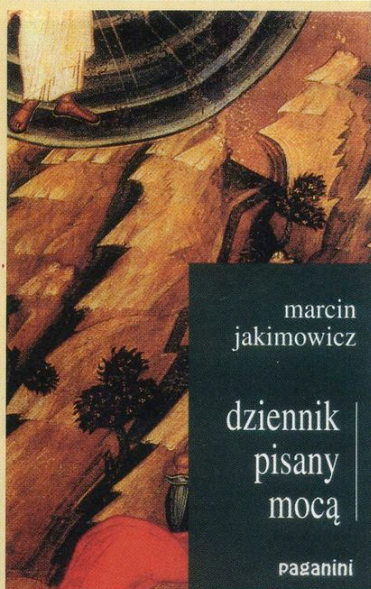
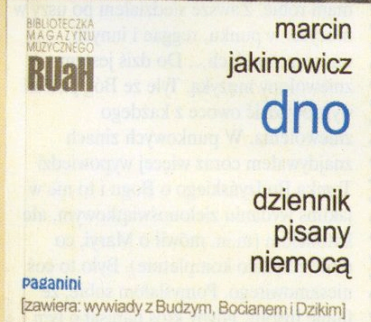
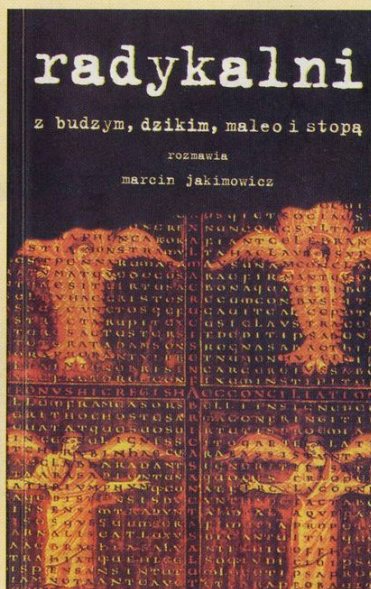
Zaczęłam zupełnie inaczej czytać Słowo Boże. Ze zdziwieniem odkryłem, że wszystko, co przeżywał „Dziki”, o wiele wcześniej przeżywał Abraham. W Biblii napisane jest, że kiedy Bóg zawierał z nim przymierze, Abram upadł na ziemię i czuł się tak, jakby umierał. Napisane jest, że „ogarnęła go wielka ciemność i poczucie lęku”. 'Dziki' czuł dokładnie coś takiego. To nie była sielanka, że ktoś przyszedł, poklepał go po plecach i rzucił: „Jezus cię kocha” i...

...nastąpił happy end?

...On czuł, że umiera. Nie mógł poruszyć nawet palcem, czuł się totalnie sparaliżowany. Facet w sile wieku, który parę miesięcy wcześniej dostał nożem w brzuch i powiedział, że nie będzie się modlił, bo Boga nie ma, nagle słyszy trzy słowa: „Jezus cię kocha” i to go dosłownie paraliżuje, dosłownie tak, jak Abrahama. Miłość Boża była tak potężna, że 'Dziki' – twardziel pełen ironii i szyderstwa – nie mógł na to zareagować w inny sposób. Złamała go miłość.

To, o czym mówisz, to obraz kogoś, kto budzi się do autentycznej wiary. Wtedy Pismo Święte przestaje być jakąś przebrzmiałą historią, ale zaczyna być żywym Słowem, które zbawia. Zaczyna się też odczytywać własne życie przez pryzmat Ewangelii. Czy to właśnie zobaczyłeś w tych muzykach?

Najpierw widziałem to w muzykach, a teraz z dnia na dzień widzę to w swoim życiu. Wszystkie moje książki są o tym. W ostatniej książce opisuję taki przykład, jak Bóg posługuje się tym, co głupie i słabe. Mam małą córkę Martę i kiedyś, gdy wychodziłem na spotkanie modlitewne, moja żona trzymała ją na rękach i mówiła do niej: „Misiu”, a potem spojrzała na mnie i powiedziała, że ma takie rzęsy, jak ja. W trakcie modlitwy staraliśmy się otwierać na dar prorocтва i jedna dziewczyna ni stąd, ni zowąd powiedziała, że widzi misia z



długimi rzęsami. Nastąpił wybuch śmiechu, totalny rechot i posypały się kpiny. A mnie po prostu zatkało... Czemu? Bo chwilę przedtem wyobraziłem sobie Boga, który trzyma mnie na rękach, przytula do policzka jak niemowlę i mówi do mnie pieszczotliwie: „Misiu”. Podzieliłem się tym z wszystkimi, choć to było głupie i trudno, żeby trzydziestoletni facet opowiadał takie historie... Ale to było dla mnie potwierdzeniem, że Pan Bóg chce, bym był dla Niego takim małym niemowlęciem...

Po „Radykalnych” wydałeś książkę „Dziennik pisany mocą”. Czy to znaczy, że Pan Bóg wtedy objawiał Ci się od strony siły, mocy, która przemienia i uzdrawia?

Tak. Miałem za sobą doświadczenie Odnowy Charyzmatycznej i wiele razy widziałem, jak sparaliżowani ludzie wstawali z wózków, głusi rzeczywiście zaczęli słyszeć, a ślepi widzieć. To była taka eksplozja mocy. Cud gonił cud. Wtedy postrzegałem Boga jedynie jako potężnego Stwórcę, który może zrobić wszystko. I On faktycznie taki jest, ale nie dostrzegałem drugiej strony medalu, tego, że On w swej miłości i delikatności potrafi zejść na samo dno, że za swój symbol przyjmie rybę, która żyje na dnie. Mnie się wydawało, że jestem gigantem i skoro zrobiłem „Radykalnych” i 40 tysięcy ludzi tę książkę przeczytało w Polsce, to znaczy, że muszę być niesamowicie zdolnym facetem.

Uprawiałeś „teologię własnego sukcesu”?

Niczego nie musiałem uprawiać, sama rośła (śmiech). Wiesz: jedziesz tramwajem i widzisz, że jakaś fajna laska czyta „Radykalnych”, to sama do głowy przychodzi ci myśl, że może nie jest z tobą tak źle, skoro napisała taką książkę... Albo kiedy pisze do mnie dziewczyna, że tak się zaczytała w pociągu, że wysiadła cztery stacje za daleko i musiała dwie godziny drałować do domu... Teraz wiem, że to wszystko pochodzi od Pana Boga, ale na początku wydawało mi się, że to ja jestem świetny. Wcześniej ewangelizacja kojarzyła mi się z tym, że w kółko powtarza się ludziom: „Jezus cię kocha” i „będziesz zbawiony”...

...i wtedy wszystkim poprawia się samopoczucie...

A tu zobaczyłem, że może być całkowicie odwrotnie. „Stopa” nawrócił się dlatego, że zmarła mu żona i znalazł się w strasznej otchłani i pustce. „Dziki” nawrócił się w momencie, kiedy czuł się sparaliżowany i znalazł się na dnie.



• fot. Jan Bujnowski

• Dorota i Marcin Jakimowicz

• Darek Malejonek nawrócił się wtedy, kiedy przedawkował narkotyki i z punktu widzenia „dobrego katolika” był ostatnią osobą, której Pan Bóg powinien wtedy pomóc. Tomek Budzyński nawrócił się w ten sposób, że wszedł do kościoła, podszedł do niego zakonnik, którego w ogóle nie znał i powiedział mu: „Ty nie wierzysz w Boga, musisz mieć coś wspólnego z okultyzmem”, a drugim bodźcem było to, że przyszedł do niego do domu o. Augustyn i kiedy ujrzał Natalię spytał: „Czy to twoja żona?”, a gdy dowiedział się, że nie, powiedział otwarcie: „Żyjesz w grzechu”. Budzyńskiego to walnęło tak mocno, że pomyślał: „Jakim prawem kumpel z plastyka, którego nie widziałem od lat, wchodzi w moje życie z butami i mówi takie rzeczy?” Spotkałem ludzi, którzy nawrócili się w sytuacjach nie przypominających atmosfery sielanki i pikniku. Nikt nie mógł powiedzieć, że zrobili to dla pieniędzy, że udawali. Wszystkie te późniejsze krzywdzące dziennikarskie komentarze i posądzenia o komercję były bardzo śmieszne, bo jeśli ktoś nie czytał ich świadectw, to nie wie, jak było naprawdę i ile było w tym płaczu i bólu. Wątpię, żeby „Stopa” wymyślił sobie taki scenariusz, że najpierw umiera jego ukochana żona i przyjaciel, a dopiero potem się nawraca, żeby zbijać kasę z zespołem 2 Tm 2,3.

• **I te sytuacje oceniasz jako objaw mocy?**

• To był przeskok. Zobaczyłem, że Bóg, który jest mocą, działa wtedy, kiedy człowiek nie może zrobić nic. Mnie się zawsze wydawało, że ja muszę niesamowicie dużo zrobić. To ja prowadziłem wspólnotę, ewentualnie – gdy starczało czasu – z Panem Jezusem. Teraz widzę, że sam niczego nie mogę uczynić. Arka Noego to nie zaśluga Litzy, Armia to nie dzieło Budzego. To

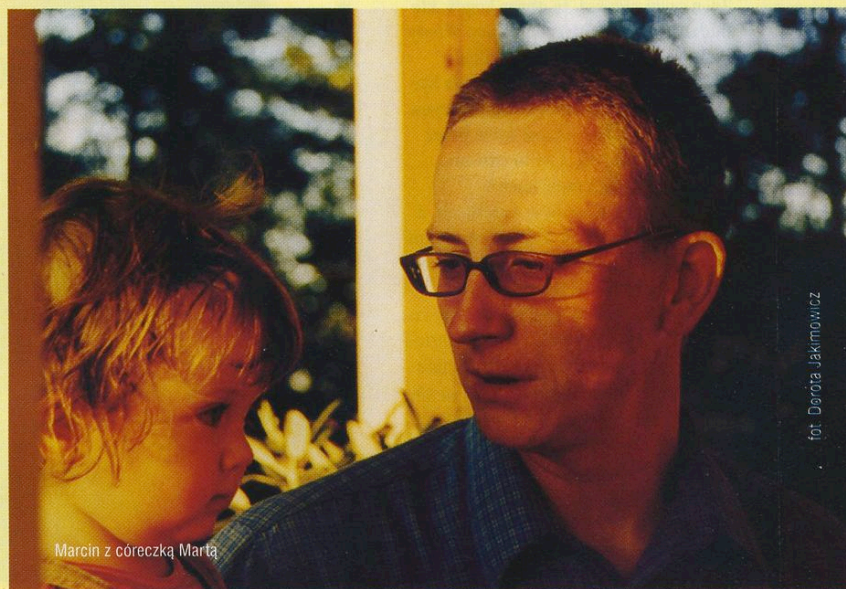
• dar z nieba. Każdy mógłby wydać „Radykalnych”. Dlaczego Pan Bóg wybrał mnie? Nie wiem. W wydawnictwie zacząłem pracować tylko dlatego, że wieczorem chodziłem na spacer z psem. Na spacerze spotkałem sąsiadkę, która spytała, czy nie przyszedłbym do pracy na jej miejsce. Powiedziałem, że spróbuję. Zaryzykowałem. Przez pierwsze pół roku nudziłem się za biurkiem, nie miałem komputera, ani Internetu i nie bardzo wiedziałem, co mam robić. Zawsze siedziałem po uszy w muzyce: w punku, reggae i innych undergroundach... Do dziś jestem zniewolony muzyką. Tyle że Bóg potrafi wyprowadzić owoce z każdego zniewolenia. W punkowych zinach znajdowałem coraz więcej wypowiedzi Tomka Budzyńskiego o Bogu i to nie w jakimś wydaniu zielonoświątkowym, ale katolickim (m.in. mówił o Maryi, co mnie zatykało kompletnie). Było to coś niesamowitego. Pomyślałem sobie, że fajnie byłoby, gdyby ktoś napisał o tym

• książkę, a Pan Bóg zrobił resztę...

• **Jak to się stało, że po napisaniu „Dziennika pisanego mocą” spadłeś na samo „Dno”?**

• Ależ to Bóg spadł na dno! Zaczęłem czytać Pismo Święte i zobaczyłem, że Bóg jest kimś zupełnie innym niż sobie wyobrażałem. Miałem fałszywy obraz Boga i zaczynałem rozumieć, że z Panem Bogiem trudno „osiągnąć sukces”. O Jezusie mówili, że to żarłok i pijak, przyjaciel celników i prostytutek. Nawet taka prosta historia jak narodziny w Betlejem wcześniej kojarzyła mi się z szopką, choinką i karpim, a tu nagle czytam w Ewangelii, że pierwszymi osobami, które zobaczyły Boga byli pasterze. O. Pelanowski pokazał nam, że Talmud wymienia trzy kategorie ludzi, od których nie przyjmuje się pieniędzy na Świątynię Jerozolimską, są to: celnicy, prostytutki i... pasterze. Oni nie mogli nawet łożyć na świątynię! Pasterzy utożsamiano ze złodziejami i właśnie ktoś taki jako pierwszy zobaczył Boga! Dopiero w drugiej kolejności przybyli królowie, ale w przypisie „Tysiąclatki” jest wyjaśnione, że to nie byli żadni królowie, ale magowie (gr. *magoi*), a więc ci, którzy zajmowali się czarną magią. W Księdze Powtórzonego Prawa magia wymieniona jest jako jeden z najbardziej obrzydliwych grzechów, bo jest próbą szukania prawdy poza Bogiem...

• **Z tego, co mówisz, wyłaniają się dwa rodzaje podejścia do wiary: jedno sentymtalne i powierzchowne, naszpikowane naszymi tradycjami, z choinką, prezentami, ze święcieniem jajek (dla niektórych to jest właśnie kulminacja Misterium Paschalnego). Z drugiej strony mamy uważną**



• Marcin z córeczką Martą

• fot. Dorota Jakimowicz

• medytacyjną lekturę Pisma Świętego, która może poruszyć a nawet wstrząsnąć człowiekiem, jeśli tylko on sam na to pozwoli.

• Na okładce książki „Dno” napisałeś: „Uważasz, że jesteś dobrym, pobożnym człowiekiem? Strzeż się!”

• To było o mnie, bo to ja myślałem, że jestem dobrym i pobożnym człowiekiem. Ja pierwszy powinienem się strzec. Najgorsze jest właśnie to, że piszę takie teksty, a potem one najmocniej uderzają we mnie i potem siedzę i płaczę (*śmiech*). Piszę o dnie, a potem doświadczam dna, leżę i kwiczę. Ale to wszystko jest prawdą i nie mogę pisać inaczej. Kiedy chciałem dać tytuł kolejnej książce „Drugie dno”, Dorota spytała, czy nie ma już innych tytułów... Ale nie mogę pisać inaczej, bo właśnie tego doświadczam i myślę, że Pan Bóg jakoś w tym jest. Wymyśliłem za to sielski podtytuł: „muzyka i świąteczny nastrój”... (*śmiech*)

• Czym było dla ciebie „Dno”? Czybyś się stoczył?

• To Bóg się stoczył! Najgłębszym moim dnem jest pycha. Pan Bóg znajduje do mnie dostęp, kiedy ja ledwo żyję i kwiczę. Kiedy człowiek cierpi, jest otwarty jak rana, wtedy może rozmawiać z Panem Bogiem, a nawet krzyczeć do Niego. A jak człowiek jest zrozumiąły i jest w nim pełno pychy, to jest to jego dno i na takie dno Pan Bóg schodzi...

• We wstępie do książki „Dno” napisałeś: „Kiedy pisałem Dziennik pisany mocą, zafascynowany byłem potęgą i mocą Bożego działania. Pisząc dalszy ciąg tej opowieści, zadziwiony dostrzegałem na każdym kroku inne ślady Jego obecności. Co chwila przecierałem oczy ze zdumienia. Zauważyłem słabość, pokorę i delikatność Najwyższego, który stał się dzieckiem. Lwa Judy, który stał się zabitym Barankiem”. Tu kojarzy mi się historia Eliasza, który odkrył Boga nie w potędze burzy, ale w łagodnym zefirku. Czybyś przeżył coś podobnego?

• Cały czas to przeżywam. Najpełniej znajduję Pana Boga nie wtedy, kiedy chciałbym błyszczeć i kiedy w moim życiu wszystko jest super, tylko w sytuacjach, których się wstydzę. Dwa tygodnie po wydaniu książki „Dno”, kiedy wracałem do domu po spotkaniu modlitewnym, zostałem brutalnie pobity. Ta sytuacja powtórzyła się jeszcze raz. Byłem przerażony i nie wiedziałem, co jest grane. A teraz wiem, czemu tak się stało: Pan Bóg pokazał mi, gdzie leży mój największy problem. Przez te pobicia Pan Bóg uzdrowił mnie z... mojego lęku, który towarzyszył mi podświadomie przez

• całe moje życie. Aby się od niego uwolnić, robiłem różne rzeczy. Na koncertach punkowych byłem zawsze w środku młyna. Chodziłem też na mecze i siadałem wśród „kiboli” raz GKS-u Katowice, innym razem Ruchu Chorzów. Czemu? Nie dla sportu. Gdyby nie to, że Pan Bóg dopuścił do dwukrotnego pobicia, nie zobaczyłbym, jak wielki jest mój lęk. Pan Bóg uzdrowił mnie z tego lęku przez... lęk. Lęk okazał się lekiem. Jak to możliwe? A jak możliwe jest przemienienie haniebnego drzewa śmierci w chwalebne drzewo życia? Albo błota, którym całe życie obrzucano niewidomego, w błoto uzdrawiające jego oczy? Opluwali cię i to przeklinałeś? Spróbuj to pobłogosławić! To pełnia uzdrowienia!

• Przypomina mi się sytuacja z początku lat 90., z ewangelizacji w Jarocinie.

• Młody charyzmatyk, zaczepony wieczorem na dworcu przez meneli, powiedział do nich: „W imię Jezusa Chrystusa, puście mnie!” i został zostawiony w spokoju. Było to dla niego potwierdzenie potęgi i mocy, jaka kryje się w imieniu Jezusa. Kilka dni później, podczas ewangelizacji na rynku ktoś podszedł do niego i rozwałił mu łuk brwiowy tak, że trzeba było na pogotowiu złożyć mu kilka szwów. Zastanawiałem się wtedy, kiedy ten chłopak był bliżej Jezusa: czy wtedy, kiedy doświadczał Bożej mocy, czy kiedy mógł cierpieć dla Jezusa...

• W naszym myśleniu religijnym często jest dużo magii. Kiedy wyszedłem ze spotkania modlitewnego, nagle zatrzymał się przede mną samochód, wyskoczyło pięciu facetów. W duchu poprosiłem Pana Boga o pomoc, ale wyładowałem na pogotowiu. Wcześniej, zawsze kiedy prosiłem, doświadczałem Bożej mocy, a tu Pan Bóg nie zadziałał. Wieczorem dostałem nagle SMS-a: „Jezus nigdy Ci nie zapomni, że cierpiełeś dla Niego”. W życiu nie dostałem takiej wiadomości i być może, jeśli kiedyś pójdę do nieba, to właśnie

• dlatego, że choć przez chwilę byłem podobny do Jezusa? Bo ja nic dla Boga w życiu nie zrobiłem.

• Przez całe życie zrobiłem wiele dobrych rzeczy. Lubiano mnie za nie i ceniono. Od jakiegoś czasu ze smutkiem dostrzegam, że te właśnie „dobre” rzeczy zamykają mi drogę do nieba. Paradoks? Nie! Mówiłem o Bogu po to, by się popisać wiedzą i wtajemniczeniem (coż za pycha!), prowadziłem spotkania modlitewne, realizując własne pomysły, napisałem książkę-bestseller, czerpiąc ogromną satysfakcję i chwałę ze znajomości z kultowymi dla mnie kapelami i ludźmi z muzycznego undergroundu... Czy były to sytuacje, w których byłem mały? Nie. A tylko małość daje wstęp do nieba. Muszę wrócić, zmaleć, by nauczyć się szczerości dziecka, wdrapać się na kolana Tatusia i pomachać sobie nogami.

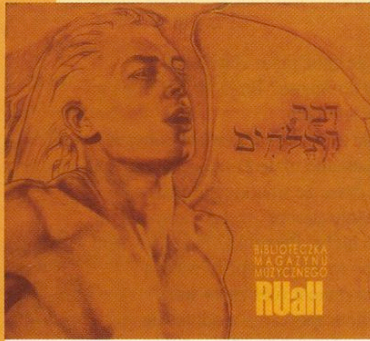
• Jan Chrzyciel chciał się umniejszać, by Jezus wzrastał, a u mnie jest odwrotnie. Ja wcale nie chcę cierpieć i gdybym wiedział, że zostanę pobity, to pewnie zostałbym w domu. Nikt nie szuka krzyża. Krzyż sam przychodzi. To nie jest coś, co człowiek może zaplanować. Dzięki tamtemu zdarzeniu uświadomiłem sobie, jak bardzo się boję. Ten lęk był ukryty w moim sercu przez trzydzieści lat i dopiero wtedy mógł się ujawnić. Bałem się też mówić ludziom prawdę w oczy. Jestem liderem wspólnoty modlitewnej i kiedy miałem kogoś stanowczo upomnieć, to przez dwa dni chodziłem chory. Teraz jestem uwalniany od tego lęku...

• ...czyli każde dno ma swoje drugie dno?

• Pan Bóg dopuścił do tych dwóch pobić nie po to, żeby mnie skrzywdzić. Jestem jego ukochanym dzieckiem, na które z tęsknotą patrzy, a nie pajacykiem w Jego ręku. Zrobił to po to, żebym zobaczył, ile lęku było we mnie przez te trzydzieści lat i żeby z tego mnie wyzwolić. Każda przekłeta sytuacja może stać się błogosławioną. On to potrafi uczynić. Przekonałem się na własnej skórze. ■



• fot. Dorota Jakimowicz



Augustyn Pelanowski OSPPE
Magdalena Wielgołaska

BESTIE I PROROK

paganini

Diabolus in Musica

Muzyka może zwabić, ale nie zbawić

Najpierw pod tramwaj wszedł jakiś chłopak. Nie wpadł, ale zwyczajnie wszedł. Spojrzał w oczy motorniczemu i świadomie ruszył na tory. Motorniczy w ostatniej chwili zaciągnął hamulec. Stańliśmy. Nie polala się krew ale wybuchła agresja. Zaczęła się szamotanina. Młody chłopak odwrócił się i krzyknął: „Co, ku..., mogę sobie chodzić, gdzie chcę. Nawet po torach”. Odwrócił się do nas twarzą. Nie był ani totalnie zalany, ani naćpany. Jego oczy szczyżyły. Cudem uniknął śmierci. Szukał jej? Nie wiem. Miał na sobie koszulkę Slipknot. Wysiadłem na rynku, chciałem przejść przez Empik, by pogrzebać w płytach. Podchodzę, drzwi zamknięte. Przed nimi stłoczona ekipa. Znowu jatka. Wszyscy krzyczą, przepychają się. Aż gęsto od agresji. Gejzer. Nie przejdę. Co jest grane? W Empiku koleś ze Slipknot podpisują płytę. Przez szybę słyszę tylko: six, six, six... Dreszcze... Bywałem na wielu meczach, koncertach. Często lądowałem i w sektorze kiboli i w środku młyna. Ale nigdy nie widziałem takiej agresji i ocierania się o śmierć. Slipknot. Faceci w maskach. Poczulem diabła. Kiedy wszedłem do domu byłem zupełnie rozbity. Zaciśnięm dłoń na różańcu.

Dlaczego o tym piszę? Nigdy nie szukałem diabła w muzyce. Drażniły mnie wszelkie broszury, w których udawano mi, że pan X czy Y jest satanistą. Mam wiele płyt, których nie powinienem mieć, wiem o tym. Ale tego dnia nikogo nie szukałem. Ja go odczułem. Jak Magda z „Bestii i proroka”. Dosłownie, namacalnie. Nawet teraz, gdy spytałem Pana Boga, czy mam pisać o tym, otworzyło mi się słowo. „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle”.

Najnowsza książka „paganiniego” „Bestie i prorok” to poruszające świadectwo o Bogu, który wyciąga z otchłani. O tym, że muzyka może zwabić, ale nie zbawić. Magda otoczona szczelnym murem muzyki metalowej znalazła się w jaskini lwów: „Wieczorem walkman w uszy i noc z Mansonem, rano byłam znowu zamroczonej i nieprzytomnej, kiedy wszyscy szli do spowiedzi, ja nie mogłam wstać, coś mnie dosłownie trzymało, czułam, że nie mam siły przejść tych kilku kroków do konfesjonatu. Kiedy spowiedź się skończyła, ta siła mnie puściła, a ja wpadłam w następny dół”, albo: „Pewnej nocy nie mogłam zasnąć. Nieważne, czy zamykałam, czy otwierałam oczy – cały czas widziałam potworne rzeczy, jakich nie byłabym w stanie sobie wyobrazić, myślałam, że tego nie wytrzymam, zaczęłam się modlić, wszystko się we mnie darło o ratunek i po kilku, kilkunastu minutach spłynęła na mnie jakaś dziwna biel i niesamowite wzruszenie, natychmiast zasnęłam, a rano zerwałam znad łóżka plakat Mansona, który powiesiłam na ścianie dzień wcześniej...” To tylko zapowiedź tego, co dzieje się w książce. Tej zakręconej drodze towarzyszą głęboko zakorzenione w Biblii rozważania ojca Augustyna Pelanowskiego. Nigdy nie słyszałem, by ktoś tak tłumaczył słowa Pisma. To prawdziwe proroctwa dla tych, którzy siedzą skuleni w jaskini lwów. Poruszająca opowieść o samotności Boga i Mojżesza, o szczerości Hioba i ufności Daniela. O prorokach przenoszonych za włosy z „pizzą” od Boga, o „apostołach” diabła i o drapieżnych psach, które nie wszystkich gryzą. To książka o zranieniach (może po lekturze przestaniesz je wreszcie rozdrapywać i przeklinać?), o gniewie, który nie musi być zły i o muzyce, która nie zawsze jest dobra. Odnajdziesz się w tej książce.

Wydawcy dopowiadają: „nie musisz jej czytać od początku do końca. Możesz ją czytać z każdej strony, w każdym miejscu, od której chcesz kartki. Ważne jest jednak to, byś zobaczył, że zarówno świadectwo Magdy, Biblia, jak i tekst Augustyna stanowią jedność. O tym samym z innej strony. Jest to myślenie biblijne. Trzeba mieć kilka punktów widzenia, żeby zrozumieć Jednego, Jedyne Boga w naszej historii życia, która jest tak naprawdę historią wyciągania nas z kłopotów. Hiobem, Mojżeszem, Danielem możesz być ty, tylko może o tym nie wiesz. Przeczytaj tę książkę i odkryj w swojej szarej historii kolory istnienia, które udostępnić Ci może jedynie filtr Biblii. Bez Słowa Bożego jesteśmy tylko stworzeniami, ssakami. W świetle Słowa Bożego jesteśmy dziećmi, w których jest zakochany Ojciec w niebie!”

Marcin Jakimowicz



rys. Augustyn Pelanowski



Jarek Moczulski

Damian Rypiński

fot. Adam Góra

**z Jarkiem
Moczulskim
i Damianem
Rypińskim** z grupy

 **ruah**

rozmawia
Andrzej Bujnowski

Andrzej Bujnowski: Grupa Ruah kojarzy się wszystkim z Jelenią Górą. Czy to faktycznie wasze miejsce?

Jarek Moczulski: Jelenia Góra nigdy tak do końca nim nie była. Damian i ja pochodzimy z Jeleniej Góry, ale obecnie tylko on tam mieszka.

Damian Rypiński: Jelenia Góra jest w pewnym sensie naszym centrum produkcyjnym. 99% naszych utworów powstało w tym mieście. Ja pisałem do nich muzykę, a Igor teksty. Próby natomiast odbywały się w różnych miejscach, we Wrocławiu, w Toruniu i Jeleniej Górze. Nie jest to jednak miejsce, gdzie się najczęściej spotykamy.

AB: Kto tworzy obecnie zespół?

DR: Jarek Moczulski – śpiew, Piotrek Sobota –

gitary, Marcin Stefański – bas, Damian Rypiński, czyli ja – instrumenty klawiszowe. Igor Kwiatkowski, perkusista, ma obecnie dłuższy „urlop”, na bębnach gra więc gościnnie Radek Kuliś, wkrótce może będzie to Kamil Cudzych. Stałego perkusisty w tej chwili nie mamy...

AB: Czym się na co dzień zajmujecie, bo chyba nie samym graniem...?

DR: Ja działałem też w innych zespołach na Dolnym Śląsku, jak Cocon's Club, PH 5 i pół.. Grają one muzykę klubową, można powiedzieć „studencko-rozrywkową”, w stylistyce pop-funk. Oprócz swojej muzyki wykonujemy m.in. utwory innych wykonawców w podobnym klimacie. Ponieważ trudno jest żyć z samej muzyki, staram się o pracę w firmie w Jeleniej Górze. Moją największą pasją

jest jednak muzyka. Na ile Bóg pozwala, cały czas staram się rozwijać w tym kierunku.

AB: Długo uczyłeś się grać na klawiszach?

DR: Swoją edukację zakończyłem na szkole średniej, od dzieciństwa grałem jednak też na innych instrumentach, np. na skrzypcach.

AB: Dziś podobno bronieś pracy magisterskiej. Co studiowałeś zatem przez ostatnie lata?

DR: Przez pięć lat – zaocznie prawo na Uniwersytecie we Wrocławiu. Praca, której bronie, dotyczyła tematyki prawa wyborczego. Obrona poszła nieźle. Dzięki Bogu otrzymałem ocenę bardzo dobrą. Jestem bardzo dumny (śmiech)!

AB: Wielkie gratulacje i życzę ci, żebyś został najlepszym prawnikiem wśród muzyków! Jarku, a ty co robisz przez ostatnie lata we Wrocławiu?

JM: Studiuję historię na Uniwersytecie. Z dwóch powodów: względy finansowe, chociaż, tak naprawdę, ludzie po studiach ostatnio i tak nie mają co robić, po drugie – lubię historię. Przez rzeczy związane z Bogiem pozwala ona zrozumieć pewne sprawy, które mnie zawsze interesowały.

AB: Co robią pozostali muzycy?

JM: Marcin Stefański skończył właśnie studia geograficzne na Uniwersytecie w Toruniu i obecnie uczy angielskiego w gimnazjum, jest także tłumaczem. Igor, autor tekstów, podejmował różne prace, przy czym cały czas starał się rozwijać i grać na perkusji. Od początku jest w zespole i walczy o każdą rzecz. Ostatnio próbuje sprawdzić się w dziedzinie aktorstwa i kabaretu. Gra w serialu, próbuje tworzyć kabaret. Piotr Sobota gra z nami od roku. Współpracuje też z innymi zespołami. Prywatnie pracuje jako funkcjonariusz w służbach więziennych.

AB: Jesteście jedną z dłużej grających grup wśród artystów chrześcijan. Jak wam się udało spotkać?

JM: Było to z 7 lat temu. Śpiewałem wtedy z Igozem, który grał na bębnach. Na basie grał Tomek Dogiel. Byliśmy w Odnowie i stwierdziliśmy, że chcielibyśmy coś robić. Znałem Damiana, który grał na klawiszach i gdzieś tam się pojawiał. Porozmawiałem z nim i zaczęliśmy działać w czwórce. Na pierwszych próbach, które odbywały się w Jeleniej Górze, ćwiczyliśmy piosenki angielskie, także polskich wykonawców chrześcijańskich. Przez pół roku szukaliśmy gitarzysty. Dwaj z nich w międzyczasie od nas odpadli i teraz gra z nami Piotrek. W ostatnim czasie sekcja muzyczna ćwiczy najczęściej przez 2-3 dni, ja dojeżdżam później...

AB: Wspomniałeś o Odnowie w Duchu Świętym...

DR: Ja oficjalnie nie byłem z nią związany. W dzieciństwie w Jeleniej Górze znaleźliśmy się ze szkół

podstawowych, z podwórka. Bliższe kontakty nawiązaliśmy przez wspólnych przyjaciół z Odnowy, czy z Ruchu Światło-Życie.

JM: We Wspólnocie Odnowy byliśmy ja i Igor. Posturowaliśmy w niej muzycznie, byliśmy po części prowadzącymi spotkania. Później, po różnych kolejach losu, odpadliśmy...

AB: Założyliście zespół, który jak slychać na waszej debiutanckiej płycie, grał ambitną muzykę. Skąd w was ta determinacja, by grać, nagrywać muzykę, próbować wypłynąć na szersze wody?

DR: Początki organizacyjne zawdzięczamy Jarkowi, ale prawdziwy entuzjazm zaczyna się zwykle, gdy coś zaczyna wychodzić. Pewne rzeczy z perspektywy czasu widzi się inaczej, trochę z przymrużeniem oka. Momentem przelomowym był Festiwal w Bielsku-Białej, gdzie nas dostrzeżono. To dało nam motywację, że warto się rozwijać. W ciągu 2-3 miesięcy przygotowaliśmy program i dzięki uprzejmości księdza Lesława Kunca z Krosna w 1999 roku ukazała się nasza autorska płyta.

AB: Zanim powiemy o niej więcej, zapytam cię, Jarku, skąd w ogóle u ciebie zainteresowanie śpiewem?

JM: W życiu robiłem i robię różne rzeczy i nie od razu wiadomo było, że zostanę wokalistą. Dla przykładu powiem, że strzelam z łuku. Robię strzały, gram też w hokeja. Mam mnóstwo zainteresowań, choćby historię, o czym mówiłem wcześniej. Śpiewanie nie przyszło nagle. Przy słuchaniu pierwszych polskich chrześcijańskich płyt zacząłem się nawracać. Najpierw były „Listowe piosenki 2”, czyli „Hej, Jezul”. Ta płyta mnie strasznie kopnęła, byłem w szoku, że coś takiego można dla Boga grać! Mama gdzieś to kupiła i od tego momentu zacząłem poważniej myśleć o Bogu. Wcześniej byłem w Ruchu Światło-Życie, ale to były jakieś śmiechy. W końcu pojechałem na rekolekcje, zacząłem na nich śpiewać i coś przeżywać. Ktoś zauważył: to brzmi jak na płycie „Hej, Jezul”. Ja wtedy umiałem ją na pamięć i ktoś powiedział: jak ty śpiewasz! Zawsze wstydzilem się śpiewać, miałem skrytą naturę, byłem nieśmiały i negatywnie nastawiony do swojego głosu. Od tych rekolekcji, a było to chyba w 96 roku, kiedy kilku animatorów uznało mój śpiew za rajc, chociaż dla mnie to była kiepszczina, zapaliłem się i zacząłem robić coś w tym kierunku.

AB: Twój głos brzmi zdecydowanie i czuje się w nim jakiś styl. Niektórzy mają dobry głos, ale brak im świadomości, że można tworzyć nim coś szczególnego. Ty operujesz głosem świadomie i traktujesz go w jazzowy sposób. Pewnego razu zostałeś nawet zaproszony do współpracy z New Life Music...

Marcin Stefański



fol. z archiwum zespołu

JM: ...zostałem zaproszony, bo... śpiewam. Bóg dał mi talent i nawet jeśli nie dorastam umiejętnościami, jakieś tam rzeczy we mnie są...

AB: Zastępować Mietka Szczepniaka w takiej ekipie to poważna sprawa. Jak długo z nimi śpiewałeś?

JM: Kilka miesięcy.

AB: A kim jest dla ciebie Mietek?

JM: Miałem przyjemność rozmawiać z nim raz, dawno temu. Był to okres zachwytu New Life 'M i zarazem początku naszego grania w Ruah. Mietka specjalnie dobrze nie znam. Z opowiadań chtopaków z NLM wiem, że jest człowiekiem niesamowitym, jako muzyk, osobowość i piosenkarz. Na początku to był mój jedyny wzór. Później od tego odszedłem, bo to jest naturalne, że człowiek się rozwija i szuka różnych dróg. Ale to oczywiste, że Mietek jest jednym z nielicznych wokalistów w Polsce, którzy naprawdę śpiewają.

AB: Damian, a ty jakie muzyki słuchasz, co jest twoją inspiracją?

DR: Przez ostatnie lata staram się słuchać bardzo różnej muzyki. Jest ona jednak zamknięta w kilku nurtach; soul, rhythm'n'blues, jazz... Ostatnio poruszały mnie – Erykah Badu, Dave Matthew Band (z pogranicza rocka), Incognito, Brand New Heavies...

AB: Wróćmy do waszej płyty. Rzeczywiście słyszy się na niej wspomniane style. Jak ona powstawała i czy można ją jeszcze gdzieś kupić?

JM: Zostało 15 ostatnich sztuk. Były sprzedawane przez Janusza Kotarbę i przez KDM.

DR: Bardzo miłą rzeczą jest, gdy ktoś nam mówi, że tę płytę gdzieś słyszał lub ją zna i lubi. Mówię trochę przez ironię, bo ukazała się ona w nakładzie około 500 sztuk. Z naszej strony nie było żadnej jej promocji i dystrybucji. W jakichś wspólnotach jednak się rozeszła. Tym bardziej nas cieszy, że została gdzieś doceniona.

JM: Z tego, co wiem, to wydano drugie 500 i w niedługim czasie i one poszły. Fajnie!

AB: Płyta robi wrażenie starannie dopracowanej. Postawiliście na wyszukane, nieszampowe melodie i teksty. Jak ona się rodziła?

DR: Nieskromnie powiem, że to ja miałem



fol. Tomasz Kopała

największy wpływ na jej brzmienie. Wszystko działa się wtedy bardzo szybko. Przygotowywaliśmy ją w okresie wakacyjnym, próby odbywały się co kilka dni w Jeleniej Górze. Siedziałem non-stop w domu i wymyślałem piosenki. Odrzucałem gorsze i udało się wybrać kilkanaście.

JM: Żałuję, że ja nie piszę więcej, bo albo nie mam czasu, albo moje teksty nie są jeszcze do końca dobre... Dziś pisze dla zespołu zwykle jedna osoba, wtedy było inaczej. Spotykaliśmy się z Damianem i na przykład piosenkę „Każdy krok” napisaliśmy razem. On grał, ja próbowałem do tego śpiewać. Jeszcze inna powstała na próbie, gdy Tomek zaczął grać linię basu. Ale Damian napisał większość piosenek sam. Kilka z nich zmienialiśmy jeszcze w studio.

AB: Ktoś kilka lat temu porównał waszą muzykę do New Life Music, ale ja myślę, że wzorowanie się na ambitnej muzyce nie jest rzeczą złą...

JM: A propos New Life powiem tyle, że na początku zawsze tak jest, że gdy jest się mniejszym, mniej się widzi, gdy większym – widzi się więcej. Człowiek dojrzewa, zaczyna słuchać coraz więcej muzyki, sięga do źródeł. Z całym szacunkiem dla New Life'u, który był pierwszy. Są to faceci niesamowici... ale dziś nasza muzyka daleko odbiega od pierwotnych fascynacji NLM.

AB: Czulem, że ta fascynacja dotyczyła głównie ducha ich muzyki...

JM: Niewątpliwie tak...

DR: Rzeczą ważną dla zespołu jest znalezienie swojego miejsca, nie zamykanie się w fałszywej pokorze i kompleksach. Zawsze jest tak, że są zespoły lepsze, działają dłużej, są profesjonalne i są dla nas nauczycielami. Każdy może powiedzieć, że się czegoś od kogoś uczył. A z drugiej strony, czymś złym jest stawianie siebie zawsze niżej...

AB: Znam zespoły, które gdzieś błysnęły, zaistniały i szybko zniknęły. Cieszy to, że wy gracie nieprzerwanie już kilka lat...

JM: Nasz zespół dopiero teraz zaczyna prawdziwie działać. Przez jakiś czas nas nie było. Uważam, że odnośnie naszego rozwoju muzycznego, wzajemnego zrozumienia, to dopiero teraz zaczynamy się rozkręcać i wiedzieć o co chodzi. Chociaż, jeśli chodzi o koncerty, bieżący rok jest najgorszy.

AB: Wszyscy muzycy ze środowiska to odczuwają.

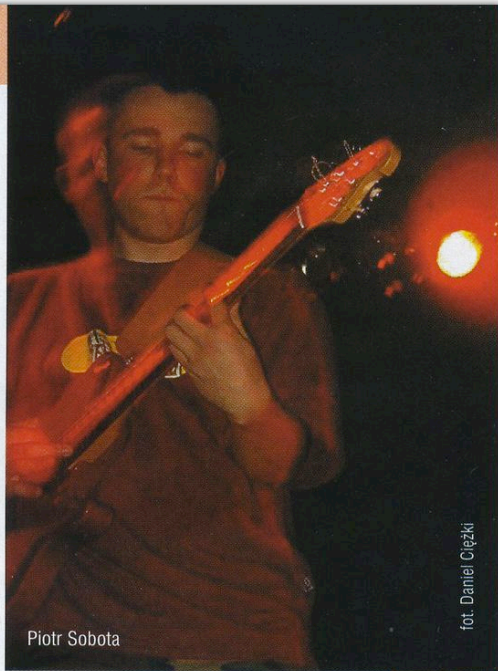
DR: Koncertów nigdy nie mieliśmy dużo, ale nie wpadamy z tego powodu w kompleksy. Mamy do tego zdrowy dystans. Jeśli gdzieś gramy, staramy się to robić prosto i profesjonalnie. Wiemy, że gdy Bóg będzie nas potrzebował, to nas gdzieś postawi. Nie ma w nas uporu, że gdzieś się musimy pokazać. Ten dystans daje nam pokój w sercu i nawet jeśli za kilka lat zespół nie będzie istniał, też będziemy rozpatrywać to w kategoriach planu Bożego.

AB: Śpiewanie o Bogu nie jest w dzisiejszym świecie drogą do kariery na rynku muzycznym. Co jest obecnie waszą motywacją do grania?

JM: Nie widzę nic złego w tym, by grać też rzeczy świeckie. Dyskutujemy właśnie w zespole, czy Ruah ma iść drogą radykalną, czy może półświecką? Nieraz, gdy jest uniwersalny przekaz i dobra muza, można trafić też do tych po drugiej stronie. Jaka jest obecna nasza motywacja duchowa? Sądzę, że człowiek może rozwijać się bez wspólnoty, aczkolwiek idzie mu to o wiele trudniej. Ja sam nie jestem teraz w żadnej wspólnocie. Widzę jednak, jak wiele błędów popełniłem, jak nieraz patrzyłem w niewłaściwy, fałszywy nieco sposób na muzykę i siebie samego... Wielokrotnie Bóg pokazywał mi przez zespół, przez Marcina i Damiana, że nie idę właściwą drogą. Uświadomiłem sobie, że jeśli Bóg mówi „Ja się o ciebie troszczę, niczego ci nie zabraknie”, to ja swoim postępowaniem nie mogę temu zaprzeczać. Jeśli zaprzeczam, to nie wierzę w Jego słowo, wtedy On nie może działać! Staramy się czasami iść po wodzie na ślepo, nie mamy kasy czy czegoś innego, ale idziemy dalej. Gramy nieraz za śmieszne pieniądze, bo wierzymy, że gdy jednej nawet osobie w sercu się coś zmieni, to będzie super!

DR: Przez długi czas zespół był wspólnotą. Poznawaliśmy się nawzajem, przez wspólne rekolekcje i wyjazdy przeżywaliśmy razem okres naszego dorastania i nawracania. Przez wspólnotę z Bogiem otwierały się nam oczy na różne rzeczy. Dzięki przyjaźni, jaką mamy w zespole, budowaliśmy się nawzajem. Takich rzeczy nie zapomina się do końca życia...

JM: Granie razem bardzo oddziaływało na nasze



Piotr Sobota

foto: Daniel Cieżki

życie. Ostatnio odkryłem, że jeśli chcę cokolwiek zrobić na imprezie „Wrocław – Miasto Miłości”, to muszę zacząć od siebie. Wiosną zacząłem chodzić rano na modlitwy o 6.30 na Ostrów Tumski. Musiałem wstawać przed 6.00, żeby tam dojechać... Odniedbałem to, co było zaniedbane. To jest owoc uświadomienia sobie, że muzyka to wielka odpowiedzialność. Nie sztuka mówić, zrobić koncert, najważniejsze – dać miejsce Bogu!

AB: Czy wasza muzyka wciąż oscyluje wokół jazzowych klimatów?

DR: Utwory, które gramy ostatnio na koncertach, są piosenkami, obiektywnie rzecz biorąc, bardziej wpadającymi w ucho.

AB: Żeby dotrzeć do szerszego słuchacza, nie można grać jedynie dla intelektualistów jazzowych...

JM: Trudno pogodzić muzykę przebojową z bardziej ambitną. Chcemy tworzyć dla Boga, ale przy tym rozwijać się muzycznie.

AB: Kiedy będzie można usłyszeć wasze nowe nagrania?

JM: Chcemy przestawić się bardziej na siebie, czyli zmienić metodę produkcji. Tworzyć bardziej na bazie „domu”. Bo ogromne pieniądze idą na studio, a wiele rzeczy można zrobić podłączając kable do dobrego sprzętu w każdym miejscu. Chcemy więc zainwestować..., pójść w tym kierunku.

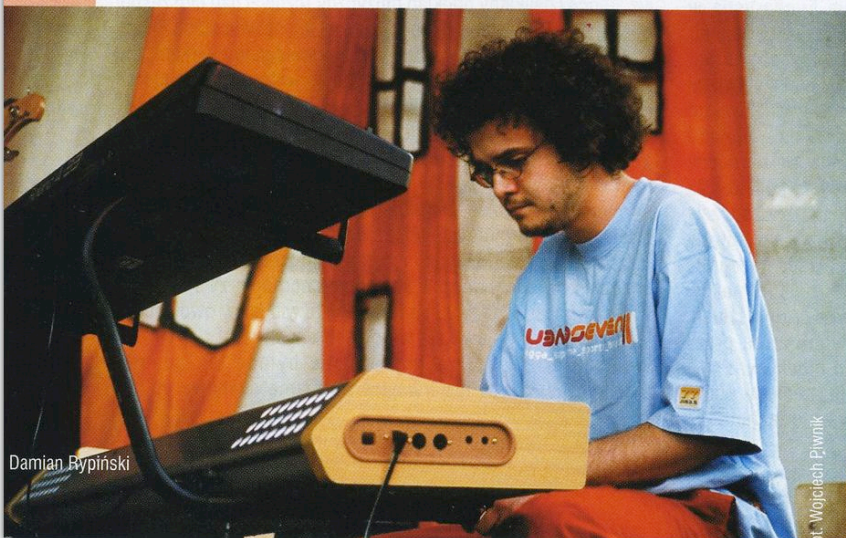
DR: Cały czas zespół tworzymy nowe rzeczy.

AB: Gdzie można usłyszeć wasz nowy materiał? Czy go już gdzieś graliście?

DR: Ostatnio mieliśmy okazję wykonywać go na imprezie „Wrocław – Miasto Miłości”. Graliśmy tam także dwie piosenki z naszej starej płyty w nowej, trochę przearanżowanej wersji.

AB: Wypada mi życzyć, by wasza nowa płyta ujrzała jak najszybciej światło dzienne!

DR: Zapraszamy do odwiedzania naszej strony internetowej, którą znajdziecie na KDM-ie: www.ruah.kdm.pl



Damian Rypński

foto: Wojciech Piwnik



W:MM

WROCLAW MIASTO MIŁOŚCI

24 maja 2003 roku był dla wielu wrocławian dniem, który mocno zapadnie im w pamięci. Studenci z duszpasterstw i wspólnot modlitewnych powołali do życia nową inicjatywę – „Wrocław – Miasto Miłości”, której celem była ewangelizacja i modlitwa za ten ogromny (chyba największy obecnie w Polsce) ośrodek akademicki, ale też dobra zabawa. Imprezę koordynowaną przez franciszkanina, ojca Faustyna Zatokę, objął honorowym patronatem ksiądz kardynał Henryk Gulbinowicz oraz prezydent miasta – Rafał Dutkiewicz.

Święto młodych chrześcijan rozpoczęło się Eucharystią w kościele św. Doroty i Wacława, którą „oprawił” muzycznie chór „Z Piwnicy pod Aniołami” oraz młody, zdolny organista, tegoroczny maturzysta! – Adam Stanisławski. Po Mszy świętej do godziny 18.00 trwała tam adoracja Najświętszego Sakramentu w intencji mających głosić w tym dniu Słowo i ewangelizowanych. Później impreza przeniosła się na scenę ustawioną na pobliskim Placu Wolności (zarówno kościół, jak i plac leżą w samym centrum miasta, blisko Rynku). Rozpoczęły się koncerty. Na początek, w „bloku dziecięcym”, zaśpiewały Faustynki, potem, dla młodzieżowej głównie widowni zagrała wrocławska grupa Czterdziestu Synów i Trzydziestu Wnuków Jeżdżących na Siedemdziesięciu Osłętach, słynna Armia i Ruah. Przerwy między występami wypełniły przygotowane przez studentów pantomimy, świadectwa i krótkie modlitwy. Przez Plac w trakcie imprezy przewinęło się kilka tysięcy osób. Kulminacyjnym punktem spotkania towarzyszyło zachodzące

już słońce i delikatny podkład muzyczny (czuwał nad nim zespół Ruah). W asyście służby liturgicznej na scenę wniesiono Pismo Święte i Ewangeliarz. Rozpoczęło się specjalne ekumeniczne Nabożeństwo Słowa. Poprowadził je wspomniany ojciec Faustyn. Słowa Psalmu 127 – „*Jeżeli domu Pan nie zbuduje, na próżno się trudzą ci, którzy go wznoszą*” – zainicjowały godzinną modlitwę za miasto Wrocław, jego władze i mieszkańców. Po pewnym czasie przerodziła się ona w spokojne muzyczne uwielbienie. Zakończyło je łamanie i dzielenie się przygotowanym już w czasie Eucharystii chlebem, także udzielone zebranych błogosławieństwo. Po imprezie część uczestników spontanicznie została, by pomóc przy sprząnięciu z Placu śmieci i składaniu barierek. Był to widoczny owoc ducha jedności, który pojawił się wśród zebranych. Warto powiedzieć, że impreza nie byłaby tak udana i autentyczna, gdyby nie trwające od marca duchowe do niej

przygotowania (zainicjowali je ci sami młodzi ludzie, którzy we Wrocławiu zorganizowali niedawno tzw. „Msze Artystyczne”). Zaangażowane w projekt wspólnoty, grupy i duszpasterstwa podzieliły między siebie czas do 24 maja i w poszczególnych tygodniach zobowiązywały się do postu i modlitwy za cały projekt oraz osoby odpowiedzialne za jego poprowadzenie. Spotkania odbywały się co tydzień, rozpoczynała je godzinna modlitwa, a potem... prace organizacyjne, podział obowiązków, tworzenie grup i sekcji, koordynacja angażu wolontariuszy. Bez udziału tych ostatnich trudno sobie wyobrazić imprezę – to oni tworzyli grupę porządkową współpracującą z IMPELEM (firmą sponsorującą akcję, która wsparła ją dodatkowo wystawioną specjalnie grupą ochroniarzy), służbą medyczną i „żywnościową” (zajmującą się posiłkami dla zaproszonych gości i obsługi). Młodzi organizatorzy sami przygotowali dekorację sceny, tydzień przed koncertem, nocami, malowali reklamujące go banery, jak za czasów konspiracji – na obrusach i prześcieradłach, ale za to z sercem. By zminimalizować koszty imprezy, sami rozwieźli po mieście plakaty i rozdawali ulotki. Jak często w takich sytuacjach bywa – brakowało wystarczających środków od sponsorów, pomoc finansowa ze strony miasta przyszła w ostatniej chwili.

W dniu imprezy ilość wolontariuszy, zwłaszcza z sekcji ewangelizacyjnej, przerastała oczekiwania organizatorów. Nieocenioną pomocą okazała się też Harcerska Służba Ratownicza (kierująca sekcją medyczną) i żołnierze. Ci ostatni dostarczyli nieodpłatnie namioty i służyli pomocą (autem) przy transporcie cięższego sprzętu. Patrząc na to wszystko z perspektywy czasu, nie sposób nie dostrzec opieki, jaką nad całym projektem rozciągnął Ten, ku chwale Którego był on przygotowywany.

Wniosek nasuwa się prosty – nawet przy małej ilości środków można zorganizować coś „dużego” i ważnego dla miasta, jeśli SPOTKA SIĘ we wspólnej akcji odpowiednia grupa chętnych ludzi. W dużym mieście, w którym trudno zintegrować młode środowiska związane z Kościołem, jak się okazuje – wspólne działanie jest możliwe! We Wrocławiu taka sytuacja w ostatnich latach miała miejsce po raz pierwszy... Myślę, że w czasach postępującej laicyzacji naszego społeczeństwa każde miasto potrzebuje modlitwy i zarazem są w nim osoby chcące modlić się o potrzebne dla niego łaski. „Gdzie dwóch lub trzech zgodnie o coś prosi w imię Jezusa Chrystusa...”

Wszystkich zainteresowanych owocami, jakie przyniosło to jedno popołudnie we Wrocławiu, odsyłam do strony internetowej www.wmiasto.fr.pl. Tam też pojawi się informacja o ewentualnych projektach kontynuowania WMM.

Radek Michalski
zdjęcia: Wojciech Piwnik



Dzień Papieski – po raz trzeci

Już po raz trzeci będziemy przeżywać Dzień Papieski w Polsce. Ta szczególna inicjatywa została podjęta przez Fundację „Dzieło Nowego Tysiąclecia”, powołaną do życia przez Konferencję Episkopatu Polski. Ideą „Dnia Papieskiego” jest upowszechnianie myśli i nauczania Ojca Świętego Jana Pawła II w srodkach społecznego przekazu. Jego obchody przypadają, w myśl inicjatorów tej idei, w niedzielę poprzedzającą 16 października – rocznicę wyboru naszego Wielkiego Rodaka na Stolicę Piotrową.

Program Dnia Papieskiego jest bardzo interesujący. Artystycznym punktem kulminacyjnym Dnia Papieskiego będzie uroczysty koncert w Teatrze Wielkim w Warszawie, w którym wystąpią znakomici polscy artyści. Do dziś pamiętamy ubiegłoroczne widowisko muzyczne, którego autorami byli Jan Pospieszalski (scenariusz), Jerzy Bielunas (reżyseria) oraz Marcin i Mateusz Pospieszalscy (kierownictwo muzyczne). Ten sam zespół pracuje nad tegorocznym koncertem, którego myślą przewodnią jest – podobnie jak całego Dnia Papieskiego – hasło „JAN PAWEŁ II – APOSTOŁ JEDNOŚCI”.



Final Koncertu Galowego z okazji Dnia Papieskiego: Teatr Narodowy, 13 października 2002 r.
Na pierwszym planie The Sakala Brothers z Zambii i Visual Ministry Choir z Wlk. Brytanii.
Fot. z archiwum Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”, Jan Bebel

Jubileuszowy koncert Papięski, upamiętniający 25. rocznicę pontyfikatu, składać się będzie z odrębnych części inspirowanych kalendarzem liturgicznym. Następstwo roku liturgicznego prezentowane będzie w tym widowisku za pomocą pieśni i odniesień do bogatej obrzędowości. W obrazy ukazujące polskie formy kultu religijnego wpleciona jest opowieść o Ojcu Świętym i jego nauczaniu. A w opowieści tej wezmą udział m.in. Anna Maria Jopek, Natalia Kukulska, siostry Steczkowskie, Mieczysław Szcześniak, Grzegorz Turnau, Arka Noego, Marein i Mateusz Pospieszalscy wraz ze swymi rodzinami i wielu innych znakomych artystów. Gościem zagranicznym tegorocznego koncertu będzie włoska grupa Hope Music znana z hymnu Światowych Dni Młodzieży w Rzymie „Emmanuel”. Kto będzie miał szczęście zdobyć jedną z niewielu wejściówek do Teatru Wielkiego, niedzielne popołudnie Dnia Papięskiego 12 października spędzi na znakomitej uczcie duchowej, a wszyscy pozostali mogą oglądać ponad setkę artystów, którzy zaśpiewają dla Ojca Świętego, w transmitowanym na żywo Koncercie w Programie 1 Telewizji Polskiej – początek o godz. 15.00.

Tego samego dnia w godzinach wieczornych na Placu Zamkowym w Warszawie odbędzie się Apel Warszawy z Ojcem Świętym. Nie zabraknie wspaniałej muzyki, modlitwy, której przewodzić będzie Prymas Polski Kardynał Józef Glemp oraz – na co liczą organizatorzy Apelu – setek warszawiaków, którzy będą się modlić za Ojca Świętego i Jego wielkie dzieło budowania jedności wśród chrześcijan i innych ludzi dobrej woli.

Wspaniały program przygotowali dla mieszkańców Krakowa organizatorzy wielkiego koncertu, który odbędzie się na Rynku w Krakowie. Tam program artystyczny składać się będzie z dwóch

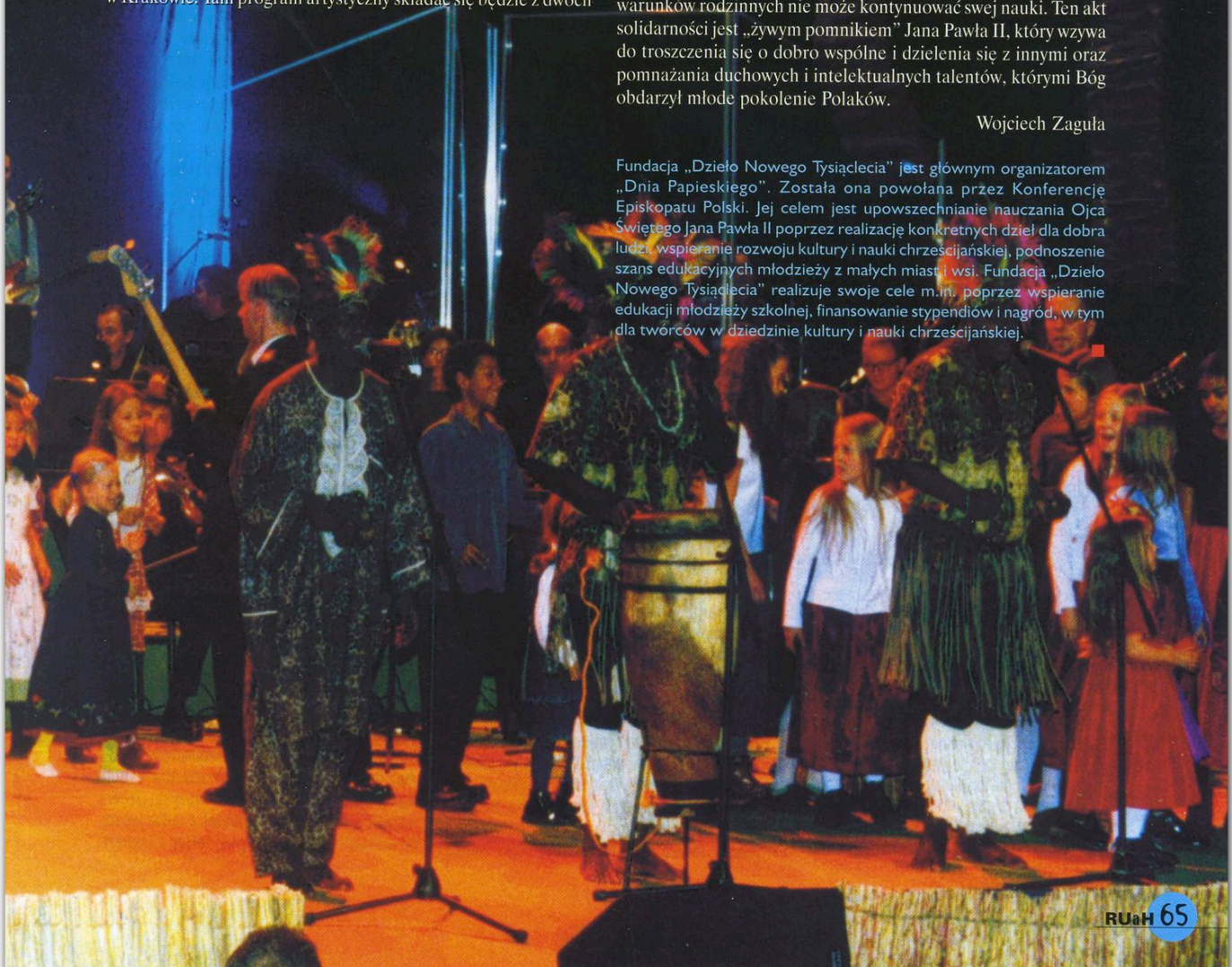
części. Pierwsza z nich to widowisko teatralne, przeplatane świadectwem ludzi Kościoła, w tym Kardynała Franciszka Macharskiego. Druga część krakowskiego programu Dnia Papięskiego to koncert „Przystanek nadziei”, którego gospodarzem będzie zespół „Raz Dwa Trzy”, a jego gośćmi – autorzy i wykonawcy piosenek poetyckich: Andrzej Sikorowski, Anna Szalapak, Robert Kasprzycki, Beata Rybotycka, Janusz Radek, Mariusz Lubomski, Ola Maurer, Mirosław Czyżykiewicz. Organizatorem tego przedsięwzięcia jest Katolickie Centrum Kultury w Krakowie.

Tydzień od 12 do 19 października zdominowany będzie przez koncerty „Papięskie”. Od Białegostoku, gdzie na koncert zaprasza tamtejsza Filharmonia, przez Bielsko-Białą, wspaniały koncert w Bydgoszczy z udziałem Skaldów, Trzeciej Godziny Dnia i grupy 40+30/70, Golców – zapraszających do Częstochowy, imponujący program w Trójmieście, specjalne „Papięskie” wydanie programu Piwnicy pod Baranami, które zaprezentowane zostanie w Lublinie, po wielki koncert w Poznaniu, cały tydzień interesujących wydarzeń kulturalnych w Radomiu, Sandomierzu i Stalowej Woli, po koncert we Wrocławiu – wszyscy świętować będą Dzień Papięski i 25-lecie pontyfikatu Jana Pawła II.

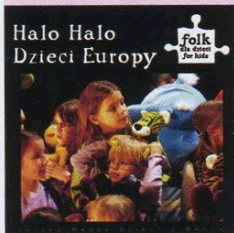
Szczególnym jednak punktem programu „Dnia Papięskiego” będzie zbiórka pieniędzy przy parafiach i na ulicach wybranych miast na cele programu stypendialnego Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”. Podobna, ubiegłoroczna zbiórka pieniędzy, przyniosła ponad 3.000.000 zł. Dzięki tej akcji ufundowano kolejne stypendia uzdolnionej młodzieży, która z powodu gospodarczych problemów regionu lub trudnych warunków rodzinnych nie może kontynuować swej nauki. Ten akt solidarności jest „żywym pomnikiem” Jana Pawła II, który zwoła do troszczenia się o dobro wspólne i dzielenia się z innymi oraz pomnażania duchowych i intelektualnych talentów, którymi Bóg obdarzył młode pokolenie Polaków.

Wojciech Zaguła

Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” jest głównym organizatorem „Dnia Papięskiego”. Została ona powołana przez Konferencję Episkopatu Polski. Jej celem jest upowszechnianie nauczania Ojca Świętego Jana Pawła II poprzez realizację konkretnych dzieł dla dobra ludzi, wspieranie rozwoju kultury i nauki chrześcijańskiej, podnoszenie szans edukacyjnych młodzieży z małych miast i wsi. Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” realizuje swoje cele m.in. poprzez wspieranie edukacji młodzieży szkolnej, finansowanie stypendiów i nagród, w tym dla twórców w dziedzinie kultury i nauki chrześcijańskiej.



DZIECI Z BRODĄ
Halo halo dzieci Europy



Fundacja
GODNE ŻYCIE
płyta / 2003

Jest mi niezmiernie miło, że mogę napisać o tej płycie, gdyż w mojej skromnej opinii jest to jedna z najważniejszych płyt ostatnich lat. W porównaniu z pierwszym wydawnictwem zespołu, które jeszcze od biedy można było porównywać do Arki Noego, ze względu na łączące je podobieństwa (śpiew dzieci, instrumenty Joszka, podobna estetyka), „Halo Halo” porzuca delikatno-infantylne stylistyki na rzecz grubo krojonego folku. Nie dziwię się niektórym ludziom, ba, dziennikarzom nawet, że mieszało im się, kto jest kim. Po tej płycie tylko głupiec będzie mógł powiedzieć, że Dzieci z Brodą to taka Arka Noego. Mamy tu bowiem do czynienia z wyspem folkloru na niespotykaną dotąd skalę. Folkloru, można by rzec, w najczystszej postaci, albowiem to, co zaprezentowali nam węgierscy muzycy w towarzystwie Wojtka Waglewskiego, przyprawia o ciarki na całym ciele. U nas się tak nie gra, inne są bicia (beaty) i inne podziały. Dzieci wykrzykują refreny (śpiewają tylko w zwrotkach). Każdy z utworów zaśpiewany jest w innym języku, a warstwa instrumentalna czerpie ze źródeł muzyki, jaką gra się w danym kraju. Ta różnicowana stylistycznie płyta jest jak jedna wielka radosna podróż po naszych sąsiadach bliskich i dalszych, a tematyka utworów obracająca się wokół przyjaźni sprawia, że u każdego z nich czujemy się jak we własnym domu. Tą płytą Joszko nie tylko zaprezentował się jako samodzielny, posiadający klarowną wizję swojej sztuki muzyk, lecz także niezwykle wysoko ustanowił estetyczną poprzeczkę dla swoich kolejnych wydawnictw. A, że górale to płodny naród...

Grzegorz Waclaw 'Dziki

MALEO & MICHAEL BLACK
Live 2002



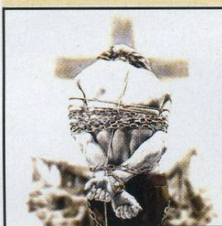
POLSKIE RADIO
S.A. Program III
płyta / 2003

Zacznę od tego, że po rozpadzie grupy Izrael (powiniennem napisać SUPERGRUPY), ze względu na to kto w niej grał, bardzo długo nie pojawiał się nikt, kto mógłby godnie ją zastąpić. Otóż ta konkretna płyta pozwala właśnie w Maleo Reggae Rockers upatrywać godnych następców Izraela. Na najnowszej płycie Maleo porzuca niezrozumiałe dla mnie eksperymenty z wokalem (patrz „Za Zu Zi”) na rzecz surowego, naturalnego głosu. Nie wiem, na ile jest to zasługa niemożności technicznych podczas szesnastu koncertów,

a na ile materiału w przeważającej części złożonego z utworów, takich legend polskiej sceny jak Kryzys, Immanuel, Tymoteusz czy... Boney M. Maleo nie bez kozery typowany jest na jednego z najlepszych wokalistów w tym kraju i to na tej płycie wyraźnie słycać. Dlatego postuluję jak najszybsze nagranie kolejnego studyjnego krążka, w którym nie będzie korzystał z żadnych przetworników i filtrów – wtedy się okaże, czy mamy do czynienia ze starym winem. Dodatkowym atutem tej płyty jest udział czarnoskórego wokalisty, Michaela Blacka. Po raz kolejny polscy muzycy stają na wysokości zadania i bez żadnych słyszalnych kompleksów towarzyszą jednemu z bądź co bądź topowych twórców reggae. Czarny Michaś nie tylko grywał z najlepszymi tego gatunku (Black Uhuru, Ziggy Marley czy Shaggy), lecz także był wielokrotnie nagradzany jako wokalista, showman i twórca reggae. Nie wiem czy ktoś z was miał możliwość podziwiać w latach 80. ubiegłego wieku wspólne koncerty Benjaminia Zephaniah'a z Polish Squad na „Róbrege”, czy wspólne koncerty Twinkle Brothers z Trebuniami, ale tradycji stało się zadość – Jamaikish (jamaican + polish), to piorunująca mikstura i niesamowite przeżycie.

Grzegorz Waclaw 'Dziki

ANASTASIS
Anastasis



PROMOCJA
MUZYKA
płyta / 2003

Skończyły się czasy, gdy najmocniej grającą chrześcijańską kapelą był Tymoteusz. Mocna, ciężka płyta legnickiej załogi. Jednoznaczne, dosadne przesłanie. Ale raczej dla koneserów. Nieprzychylni przechodzą na drugą stronę ulicy... Anastasis - znaczy: zmartwychwstanie. To słowo-klucz jest najważniejszym przesłaniem legnickiej grupy. Choć zespół istnieje od kilku dobrych lat i zagrał w tym czasie setki koncertów, dopiero teraz doczekaliśmy się **debiutanckiego** krążka. Może to i dobrze, bo przez lata wykrystalizował się styl grupy. A jest to niesamowicie ostre granie z pogranicza hard core, nu metalu i industrial. Niewiele melodii, częste zmiany tempa, ciężki dołgający, mroczny riff sprawiają, że to trudny i mało przebojowy materiał. Czasem niestety wydaje się, że chłopcy mają frajdę z samego ciężkiego tojenia. A to trochę za mało. Nieprzychylni się nie przyzwyczajają. Ale ci, którzy lubią taką muzykę, odnajdą się w tej płycie. Przesłanie, które pada ze sceny jest też bezkompromisowe. To Ewangelia przepleciona osobistym, poruszającym świadectwem. Każdy z sześciu muzyków ma za sobą doświadczenia błędzenia, problemów i utraty nadziei. Wszyscy poznali gorzcy osamotnienia i utraty wolności. Teraz ostrzegają przed tym młodych ludzi. Mówią ich językiem: rapem, zaskakującą poetyką tekstów, emocjami, a przede wszystkim ciężką muzyką, która jest ważną częścią ich życia. Na jednym z koncertów, ich występowi przysłuchiwał się znany reżyser, twórca wielu teledysków, Bolek Pawlica.

Wytrzeszczał oczy i z niedowierzaniem kiwał głową. „Oni grają tak, jakby świat zaraz miał się skończyć. Jakby to był ich ostatni koncert. Dają z siebie wszystko, to niesamowite”.

jakiś

JOANNA RZYZCZNIK
Biel



Hurtownia
JACK
płyta / 2003

Spokojna, subtelna, ciekawie zaaranżowana płyta na długie jesienne wieczory. Pamiętnik zapisujący tęsknoty za Bogiem. Poszukiwanie bieli w szarości dnia codziennego. Dla tych, którzy szukają w muzyce oddechu. Odkąd tylko sięga pamięcią wstecz, zawsze śpiewała. Na klatce schodowej, w samochodzie, na podwórku. Nie przypuszczała, że Pan Bóg, którego miłość odkryła w wieku 18 lat, sprawi jej niezwykły prezent: pozwoli profesjonalnie nagrywać płyty i grać wiele koncertów. Pierwsza jej kasetka ukazała się 11 lat temu. Dziś rybniczanka, **Joanna Rzyznioł**, zaprasza do wysłuchania swego trzeciego albumu – „Biel”. Znalazło się na nim dziesięć utworów skomponowanych przez śląską wokalistkę do własnych, bardzo osobistych tekstów. W sposób baczny i wrażliwy opisują one rzeczy ważne. Krążek jest świetnie zaaranżowany. Nawet proste piosenki dzięki muzycznym smaczkom (na przykład grze akordeonu) nabierają charakteru i nie zlewają się ze sobą. Nad produkcją i aranżacją piosenek czuwał Mirek Stępień (Mate.O, Reni Jusis, Budka Suflera), który również zagrał na gitarze basowej, instrumentach klawiszowych, akordeonie, gitarze akustycznej i klarncie sopranowym. „Bardzo się cieszę z najnowszej płyty, bo cała jest... taka moja, całkowicie mnie oddająca” – opowiada Joanna. „Marzenia się spełniają... trochę inaczej, niż sobie to zazwyczaj planujemy, ale się spełniają. Ważne, by umieć je rozpoznać”.

(jakiś)

SONG OF SONGS
/Różni wykonawcy/



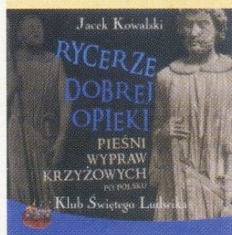
PROMOCJA
MUZYKA
płyta / 2003

Od spokojnych, wpadających w ucho tonów, po ciężkie wtłaczające w krzesło dźwięki. W taką podróż zabiera nas płyta będąca podsumowaniem tegorocznego toruńskiego Festiwalu **Song of Songs**, największej w Europie Środkowowschodniej prezentacji zawodowych artystów i grup wykonujących współczesną muzykę, której inspiracją jest Ewangelia. Krążek o niebo lepszy od nudnej i szarej telewizyjnej relacji z imprezy

(gdybym nie znał tych kapel, po programie telewizyjnym nigdy bym nie wziął do ust takiej muzy!!!). Dla bywalców – przypomnienie, dla niewtajemniczonych krótki przewodnik po muzyce chrześcijan. Tym bardziej, że to nie nagrania koncertowe, ale kompilacja wielu studyjnych materiałów. Krążek zaczyna się przebojowo: „Miasto Święte” – tradycyjny hymn festiwalu, zaśpiewany przez Dorotę Bieńkowską, wpada do ucha i długo nie chce z niego wylecieć. Później subtelna „Modlitwa” Violi Brzezińskiej i Rafała Boniśniaka z New Day, porywająca TGD i Mate.O, skoczna „zagubiona owca”, Magda Aniot („Puk, puk, puk”) i osadzona na folku wrocławska grupa 40 i 30/70. Potem rządzi reggae: znakomity kawałek Etny „Prawda” i piosenka grupy Ave Lion. Dalej trzy piosenki zagranicznych festiwalowych gości: Capewalk, Grega Waltona i White Spirit. Słuchałem, słuchałem i... ucieszyłem się: skończyły się czasy, w których „cudze chwaliiliśmy, swego nie znaleźliśmy”. O wiele bardziej przekonują mnie polskie kapele. Jestem szowinistą? Kompilację kończy naprawdę „ostra jazda”: industrialny toruński Ox, znakomita Triquetra (nie mogę się doczekać płyty!) i promujące swe najnowsze albumy – Armia, Anastasis i Frühstück. Tak wyglądał Festiwal Toruński. Nie byłicie? To posłuchajcie. (jakiś)

JACEK KOWALSKI

Rycerze dobrej opieki



PAGANINI
płyta / 2003

Jeśli ktoś ceni twórczość Jacka Kowalskiego, nie będzie trzeba zachwalać mu tej płyty. Jeśli jednak ktoś jeszcze jej nie zna, a pasjonuje się historią Średniowiecza, w szczególności czasem krucjat, lub też należy do miłośników muzyki dawnej, musi tej płyty wysłuchać! *Rycerze dobrej opieki*, to kolejne, wypuszczone w świat, starannie przygotowane dzieło Jacka. Pieśni złożone na tę swoistą antologię pochodzą z okresu około 150. lat i obejmują twórczość trubadurów, truverów, minnesingerów - wszystkich, którzy biorąc udział w krucjatach do Ziemi Świętej, pozostawili po nich ślad w postaci rymowanych tekstów i melodii (tylko dwie melorecytacje i melodia jednej pieśni są pomysłem autorów płyty). Znajdziemy tu więc pieśni „propagandowe”, zachęcające do krucjat i fragmenty epickie, opowiadające o zmaganiach wojennych krzyżowców. Obok nich, miłosne wyznania i żarliwe modlitwy. Utwory te powstawały w trakcie pielgrzymek i wojen, w niewoli i na rycerskich dworach. Rytmu marszowe sąsiadują z tanecznymi, a wysublimowane kompozycje dworskie ze śpiewem bliskim chorałowi gregoriańskiemu. Nie bądnmy zaskoczeni, jeśli w brzmieniu instrumentów odnajdziemy też wpływy muzyki orientalnej. Klub Świętego Ludwika, tworzący szatę dźwiękową, to pasjonaci muzyki dawnej, którzy obok swych codziennych zajęć

(większość to wykształceni instrumentalisci biorący udział w wielu projektach filharmonicznych, folkowych, czy nawet rockowych) konstruują instrumenty, ćwiczą dawne techniki gry i przywracają do życia zapomniane pieśni. Muzyka, którą prezentują na płycie, śmiało może konkurować z ogromną ilością nagrań utworów francuskiego Średniowiecza, jakie pojawiają się od lat w Europie. W Polsce natomiast, jest prawdziwym ewenementem. Tym bardziej, że Kowalski porywa się na rzecz bardzo ryzykowną: śpiewa starofrancuskie pieśni w przekładzie (jest to świetny, autorski przekład Jacka). A trzeba sobie uświadomić, że nie należą one do najprostszyc, często oryginalny tekst nierozważnie splatał się z melodią. Kowalski jako pieśniarz miał przed sobą nie lada trudne zadanie: jednak barwa jego głosu i autentyczność przekazu stwarzają klimat nie tyle artystowski, ile braterskiego spotkania ludzi zaangażowanych w to, o czym śpiewają. W dobie nowych interpretacji historycznych i krytykowania dawnych poczynań naszych przodków stanowisko Jacka może dziwić - sprawiać wrażenie, że jest on piewca krucjat. Jednak w tekście pokazanej książeczki dołączonej do płyty, pieśniarz i historyk zarazem, usiłuje nakreślić motywacje ówczesnych ludzi. Akcentuje pielgrzymi charakter wypraw krzyżowych, które miały przede wszystkim chrystianizować, barbarzyńską wtedy jeszcze w sferze obyczajów i mentalności, rodzącą się Europę. *Utreja! Jakub Żmizdiński*

IZRAEL Duchowa Rewolucja



W MOICH
OCZACH
płyta
wznowienie:
2003

Czy muzycy Izraela nagrywający przed kilkunastu laty płytę „Duchowa rewolucja” przeczuwali, że uczestniczą w wydarzeniu o charakterze profetycznym? Kilka lat później niektórzy z nich (Darek Malejonek, Piotr „Stopa” Żyżelewicz) przeżyli bowiem prawdziwą „duchową rewolucję” – konwersję religijną, i trwają dziś we wspólnocie Kościoła. Płytę możemy znaleźć od niedawna na sklepowych półkach. Wydawnictwo cieszy tym bardziej, że to jedyny z oficjalnej dyskografii zespołu album, który nie został dotąd przeniesiony na CD (nawet wersja winylowa z 1987 roku zawiera tylko połowę materiału, druga dostępna była tylko na wydanej po latach kasecie). Sentymentalny powrót. Ech, tza się w oku... Nie jest to mój najlepszy krążek Izraela. Bardziej podobają mi się wcześniejsze płyty („Biada, biada, biada” i „Nabij faję”) i znakomity album koncertowy, ale kilka „rewolucyjnych” kawałków zasługuje na duuuuży szacunek. Płyta zawiera aż 23 utwory, z których największymi hitami są: tytułowa „Duchowa Rewolucja”, transowa „Mania” (do dziś z powodzeniem wykonywana na koncertach m.in. przez Armię), piosenka-manifest „Nikt” i „Children On The Road”. Druga (kasetowa) część materiału

jest bardziej plastikowa (a nawet industrialna) niż pierwsza. Dominują syntezatory i automat perkusyjny. Nie jest to już niestety Izrael z pierwszych płyt, ale muzyka z trudem przetrwała próbę czasu. Teksty? To właściwie opowieść o wyborach człowieka, o potężnym, zniewalającym systemie i drodze uwolnienia, powrocie do Boga. Co ciekawe, to już nie niedopowiedziany JAH czy I&I, ale Jezus (Jego imię dosłownie wypiewane jest w piosence „Nikt”). Znasz Izraela? Nie musisz czytać dalej. Grający reggae zespół na trwałe wpisał się do annałów polskiej muzyki rockowej. Nieistniejąca od dekady grupa złożona z najlepszych polskich muzyków alternatywnych była niekwestionowaną gwiazdą, a jednocześnie wzorem do naśladowania dla wielu młodych muzyków, którzy do dziś chętnie sięgają po jej nagrania. (jakiś)

WSPÓLNOTA MIŁOŚCI UKRZYŻOWANEJ Pośród Nocy



VENI
kasetka +
śpiewnik
2003

Długą drogą przebyła Wspólnota Miłości Ukrzyżowanej. Od pełnych ognia i pasji wezwań do Ducha Świętego (pierwsze materiały sprzed lat), aż po mozolne odnajdywanie Go... w środku nocy. „Pośród nocy” to właśnie tytuł najnowszego, szóstego już albumu grupy wywodzącej się z polskiej Odnowy w Duchu Świętym. Powołaniem tej kilkudziesięcioosobowej Wspólnoty jest kontemplacja i ewangelizacja. Często głoszą w różnych miastach Polski rekolekcje, których integralną częścią są pieśni ich autorstwa. Duch Święty wysłuchał modlitw z pierwszych płyt i prowadzi grupę swą drogą. Teksty (coraz trudniejsze, zakorzenione w Słowie Bożym) ukazują Boga, który przychodzi, dotyka i uzdrawia w mroku, gdy bezradny człowiek traci wszelkie oparcie, a grunt usuwa mu się spod nóg. Najbliżej tronu są ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku i optulą swymi szatami w krwi Baranka – przypominają autorzy. Nieznacznie zmieniła się też muzyka. Choć dalej rozpoznawalna jest na kilometr, wcześniejsze spontaniczne, tryskające jak gejzer piosenki „wykrzykujące Bogu” zastąpiły spokojne, stonowane hymny. Nadal czerpiące gęsto z tradycji pieśni Izraela. Do tego stopnia, że grupa z powodzeniem mogłaby wystąpić na krakowskim Festiwalu Kultury Żydowskiej. Tyle że, z tak jednoznacznym chrystologicznym przesłaniem nikt ich tam nie zaprosi. Materiał Wspólnoty, kilkakrotnie odpowiedzialnej za oprawę muzyczną Ogólnopolskich Czuwań Odnowy w Duchu Świętym na Jasnej Górze, muzycznie nie powala na kolana, a na dłuższą metę nawet nuży. Te dobre, stare, sprawdzone na poprzednich albumach patenty, słuchane po raz kolejny, usypiają i z trudem nadają poszczególnym piosenkom niezależny klimat. Do płyty dołączony jest tradycyjnie śpiewnik z solidnym biblijnym komentarzem do poszczególnych pieśni. (jakiś)



fot. z archiwum zespołu

z archiwum

ANTI BABYLON SYSTEM

Zespół **Anti Babylon System** jest zespołem ewangelizacyjnym działającym przy „Diakonii Ewangelizacyjnej” w Bielsku-Białej. Pomysł założenia grupy nie wyrósł z żadnych teoretycznych przemyśleń, ale z prostego wysiłku jej muzyków w naśladowaniu Chrystusa. Radykalna zmiana stylu życia założycieli zespołu i przyjaciół: Pawła i Jacka, która dokonała się dzięki wierze i muzyce, znacząco wpłynęła na ich decyzję. Obaj będąc fanami Boba Marleya snuli plany założenia własnego bandu, który potrafi zagrać lekkie i pulsacyjne rytmy reggae. Swoją wolny czas zaczęli wypełniać ćwiczeniem i komponowaniem utworów w mieszkaniu Pawła oraz poszukiwaniami innych kandydatów do zespołu. Anti Babylon System powstał w 2001 roku, kiedy to grupa rozpoczęła regularne próby w rozszerzonym składzie. Członkowie ABS są chrześcijanami i głoszą przesłanie skłaniające słuchacza do zastanowienia się nad życiem i prawdziwymi wartościami.

Anti Babylon System jest dowodem na to, że muzyką reggae najlepiej można wyrazić słabości człowieka, beznadziejność jego życia bez Boga. Jak sami mówią: „... reggae zawsze było muzyką walki i buntu przeciwko złu, tylko że teraz musimy ustalić, co jest tym złem w naszej konkretnej sytuacji życiowej”. Zespół koncertuje w całej Polsce, gra w kościołach, klubach i festiwalach.

ABS można było zobaczyć i usłyszeć na koncertach i imprezach takich jak: „Festiwal Życia” w Kodniu 2001, 2003, Tarnowskie Góry „Rynek” 2002, X Rocznica Prowincji Palotyńskiej Poznań 2003, Klub „Best” koncert z zespołem Kadosz, Ostrołęka: „Majówka z Jezusem” maj 2003. Grupa ma na swoim koncie kilka własnych nagrań z koncertów, szlifuje materiał na płytę demo i kolejne tytuły (*Przystanek Jezus, Jest jak w niebie, Na każdy dzień, Getsemani, Babilon, Przyjdź*). Przez ostatnie lata skład zespołu ulegał zmianom. Obecnie Anti Babylon System tworzą: **Paweł Kurz:** śpiew, gitara prowadząca, muzyka, teksty piosenek; **Kuba Kwaśniak:** gitara solowa, muzyka, teksty piosenek; **Jacek Polczyk:** bass, muzyka, teksty piosenek; **Witek Wilk:** perkusja; **Jacek Żur:** instrumenty klawiszowe; **Marcin Ziemięwicz:** instrumenty perkusyjne, chórki; **Iwona Ziemięwicz:** chórki. ■

Kontakt z zespołem: tel.: 0606388605, e-mail: kurz@interia.pl / menadżer – Andrzej Sowa: 0604120664



Zapiski

Tośki Krzysztoń

Babcia incognito

Od kilku lat myślałam o tym, żeby ponownie ruszyć z warszawską pielgrzymką do Częstochowy. Ale zawsze coś staowało na przeszkodzie. Tym razem wszystko ułożyło się samo. Po wieczornej mszy w Świętej Annie ksiądz przypomniał o zapiskach, a ja w tym momencie uświadomiłam sobie, że ten czas mam wolny – mogę iść!.. I poszłam. Z całym tym swoim bagażem duchowym i ze sobą. Nie lekka i już nieco nadszarpnięta wiekiem. Modliłam się żarliwie i starałam się być lepsza niż na co dzień. Już drugiego dnia dostałam ostrą reprymendę od babci, która też szła incognito. Chciałam jej nieco użyć, ale ona oburzona krzyknęła: „Co ty mi tutaj! Dalej mi jazda!”. Już następnego dnia byłam jej wdzięczna za tę naukę – ustawiła mnie na całą pielgrzymkę i zobaczyłam moich braci w wędrowaniu na nowo. Przyjmujących to, co przychodzi, ciągnących czasem ciężar ponad siły i tylko Boga

proszących o pomoc. „Moja” babcia szła ciągle w tej samej sukience, wyprostowana i zgrabna.

I niekiedy „dawała w prostą”, ostro odbijała od grupy i widzieliśmy ją potem stojącą tyłem do drogi, po kostki w rzece, ze świeżo umytą i wysuszoną głową – śnieżne włosy na wietrze.

W naszej grupie, jak w każdej, były tuby nagłaśniające. Woziliśmy je na specjalnych wózkach. Diakonia muzyczna od początku polowała na kogoś, kto stale na wózek umieszczał swój plecak. Niewiele to obciążało, ale jak mówili „chodzi o zasadę”. Dopiero pod Częstochową udało się nakryć niesworną kukulkę. Gdy diakonia przez tubę oświadczyła, że zostawi niepożądany tobolek na którymś postoju, „moja babcia” migiem go porwała i ruszyła dalej.

Jeszcze ciągle widzę moich braci w drodze. Zgiętego w pół podpierającego się kijem księdza w zakurzonej sutannie. Błądą dziewczynkę. Miło rozśpiewaną diakonię wraz z naszym pasterzem „pszczołką”. Magdę zawsze uśmiechniętą i „moją babcie incognito”, co idzie dalej i dalej, podrzucając to tu to tam swój niezbyt ciężki bagaż... ■

Teledyski

ELEONORA NIEMEN ✦ MAGDA ANIOŁ ✦ DEUS MEUS
AVE LION ✦ 2 TM 2,3 ✦ ARMIA ✦ TOMASZ BUDZYŃSKI

CD 28
RUaH
paganini

PROWADZ MNIE

1. **TOMASZ BUDZYŃSKI** - „Aniello, mój Aniele”
muz. i sł. Tomasz Budzyński,
reż. teledysku: Szymon Felkel
2. **ELEONORA NIEMEN** - „Kochać będę”
sł. Eleonora Niemen, muz.: Eleonora Niemen i Rafał Gorączkowski
reż. teledysku: Marcin Fischer i Rafał Wieczorek
realizacja: www.prowizorca.com
3. **DEUS MEUS** - „Jahwe”
sł. Andrzej Bujnowski, muz. Lidia Pospieszalska
reż. teledysku: Grzegorz Sadurski
realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
4. **ARKA NOEGO** - „Nie lękaj się”
muz. i sł. Robert Friedrich
reż. teledysku: Grzegorz Sadurski
realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
5. **MAGDA ANIOŁ** - „Anioł Stróż”
muz. i sł. Adam Szewczyk
reż. teledysku: Grzegorz Sadurski
realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich
6. **AVE LION** - „Guide me”
sł. Łukasz Musiał, muz. AVE LION
reż. teledysku: Jacek Kościuszko
7. **2 TM2,3** - „Psalm 130”
sł. Psalm 130, muz. Robert Dręzek
reż. teledysku: Grzegorz Sadurski
realizacja: TVP dla Redakcji Programów Katolickich

RUaH
M I A Ż Y N I
M U Z Y C Z N Y
KWARTALNIK
www.ruah.pl

Wydawca płyty:

paganini s.c.

31-135 Kraków, ul. Batorego 25/11,

tel./fax 012-623 71 81, tel. 012-623 71 82

e-mail: firma@paganini.com.pl

płyta dołączona do numeru 24 kwartalnika **RUaH** (24/2003)



1. **TOMASZ BUDZYŃSKI** - „Aniele, mój Aniele”
2. **ELEONORA NIEMEN** - „Kochać będę”
3. **DEUS MEUS** - „Jahwe”
4. **ARKA NOEGO** - „Nie lekaj się”
5. **MAGDA ANIOŁ** - „Anioł Stróż”
6. **AVE LION** - „Guide me”
7. 2 **TM2,3** - „Psalm 130”

CD 28
RUaH
paganini
www.ruah.pl

PROWADŹ MNIE
teledyski

ISSN 1428-5983 WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE. ZAKAZ BIEM EGZEMPLARZ NIE NA SPRZEDAŻ